TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Jak internet radykalizuje księży

Baby boom w ekipie Trumpa

Bożena Keff, Omer Bartov: dwugłos o Izraelu

Wszystkie demony Krystyny Jandy

MAGAZYN LITERACKI Książki w Tygodniku

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 27 maja – 1 czerwca 2026 | nr 22 (4012)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

MACIERZYŃSTWO POD PRESJĄ

PAULINA MAŁOCHLEB W ROZMOWIE Z JUSTYNĄ DĄBROWSKĄ O BYCIU MATKĄ BEZ OCEN I WSTYDU

STR. 10-15

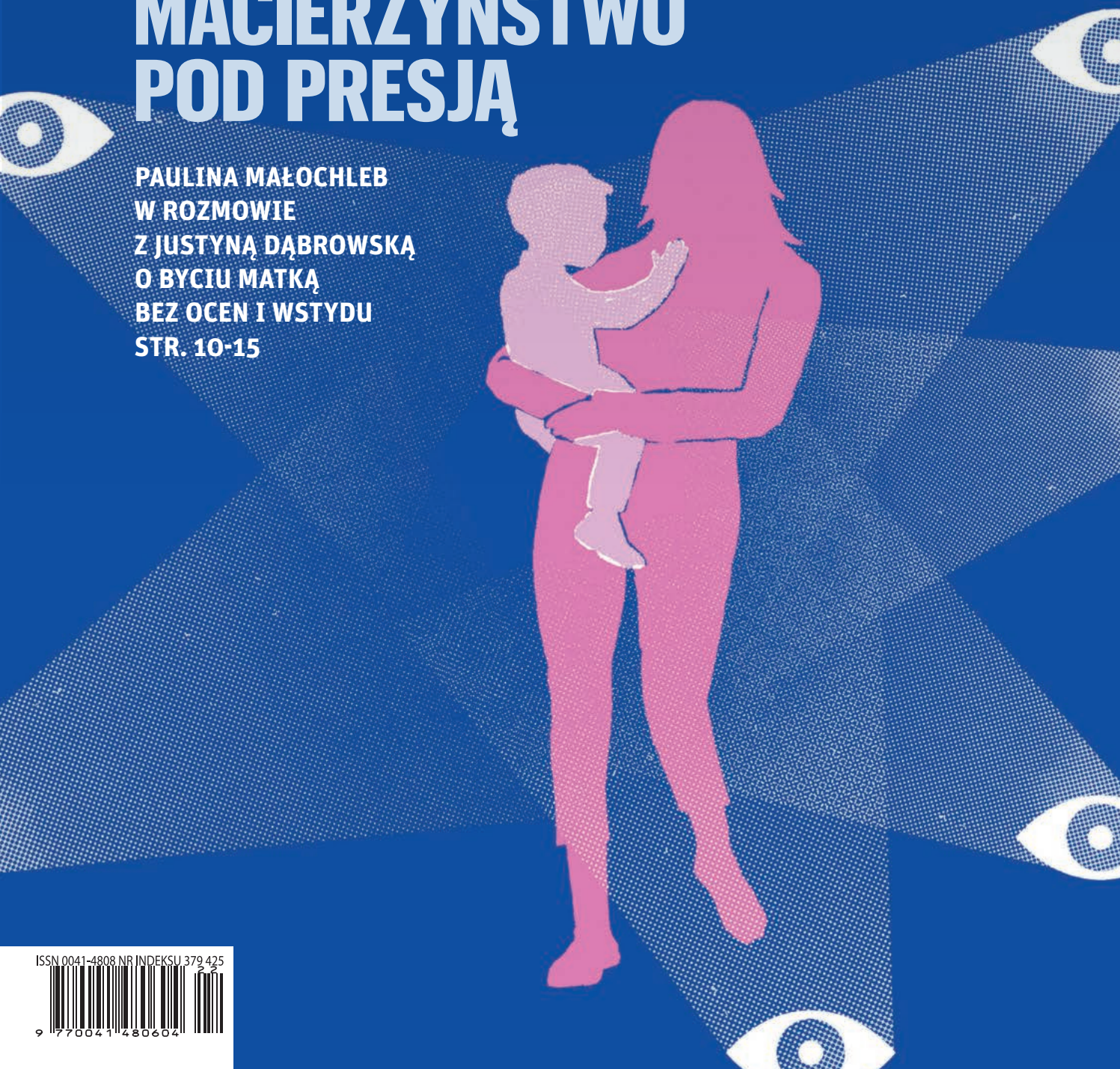

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Albatros 40 lat

Albatros travel

Smaki Francji - Szampania i Burgundia

Wspaniała wyprawa szlakiem francuskich winnic, wybornej kuchni i historycznych miast przez Burgundię i Szampanię.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Paryża. Spacer po Reims i wspólna kolacja w restauracji. **Dz. 2** Wizyta w Épernay i Hautvillers. **Dz. 3** Reims – Troyes – Beaune. Z Szampanii do Burgundii. Zwiedzanie Troyes. **Dz. 4** Burgundia i urocze miasto Beaune. Spacer po średniowiecznym Beaune. **Dz. 5** Gastronomiczna wędrówka po Dijon i winnicach Côte d'Or z degustacją wina. **Dz. 6** Wizyta w miasteczku Chablis i degustacja wina, Auxerre i powrót do domu z Paryża.

6 dni | Wylot z Warszawy 13/09 2026 | od 6.498,-

4 degustacje wina w cenie

3 posiłki dziennie

Safari w RPA i nowy camp Albatrosa

Odkryj Republikę Południowej Afryki – zobacz Pretorię i Soweto, poznaj świat Wielkiej Piątki i zamieszkaj w należącym do Albatrosa Conservation Lodge.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga. Zwiedzanie Pretorii. Rezerwat Przyrody Entabeni. **Dz. 3–8** Rezerwat Przyrody Entabeni. Safari – w poszukiwaniu Wielkiej Piątki. **Dz. 9** Rezerwat Przyrody Entabeni – Johannesburg. Wizyta w Soweto i powrót do Polski. **Dz. 10** Przylot do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 24/11 2026, 20/03, 10/11 2027

od 11.498,-

Romantyczna Anglia

Zamki, legendy i malownicze pejzaże

Zobacz największe atrakcje Anglii, od królewskiego Windsoru i malowniczych wiosek Barnaby'ego po miejsce urodzenia Churchilla i zagadkowe kamienie Avebury.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Londyn. Oksford oczami inspektora Morse'a i dolina Tamizy detektywa Barnaby'ego. **Dz. 2** Zwiedzanie Windsoru wraz z rezydencją królów angielskich. **Dz. 3** Szekspir i Stratford-upon-Avon oraz zachwycające krajobrazy Cotswolds z Chipping Campden. **Dz. 4** Angielski urok Bibury i pałac Blenheim. **Dz. 5** Rzymskie miasto Bath. **Dz. 6** Avebury, Salisbury i Bournemouth. **Dz. 7** Bournemouth – Portsmouth. Powrót do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy 26/08 2026 | od 6.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP10**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Papież rozbraja AI
EDWARD AUGUSTYN

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Miliardy bez refleksji
MARCIN KĘDZIERSKI: *Lubujemy się w sporach o wielkie programy i związane z nimi pieniądze, ale kiedy już dochodzi do ich wydawania, tracimy zainteresowanie*

19 Zostawmy ludziom wybór

KRZYSZTOF SZUKALSKI / DOM CHŁOPAKÓW W BRONISZEWICACH

ROZMOWA Z SIOSTRAMI TYMOTEUSZĄ GIL I ELIZĄ MYK OP *o ministerialnych planach wygaszenia Domu Chłopaków w Broniszewicach*

23 Siła nauki
ANNA GOC: *Polscy naukowcy mówią głośne „Nie!”*

■ ■ ŚWIAT

28 Strefa bezludna
JAN POCHEĆ: *Wielu Libańczyków nienawidzi zarówno Izraela, jak też Hezbollahu*

31 Baby boom w Białym Domu
MARTA ZDZIEBORSKA *o rządzie Trumpa, który zachęca do prokreacji i zarazem tnie pomoc socjalną*

34 Celtycka trójca
PATRYCJA BUKALSKA: *Na czele regionalnych rządów stoją politycy pragnący niepodległości Irlandii Północnej, Szkocji i Walii*

■ ■ OPINIE

36 Ideologia wyższości
ROZMOWA Z PROF. OMEREM BARTOVEM, IZRAELSKIM HISTORYKIEM: *Izrael coraz częściej naraża Żydów na zagrożenie. To przeciwieństwo tego, co syjonizm obiecywał i co miał osiągnąć*

40 Izrael i szaleństwo waszych uczuć
BOŻENA KEFF: *Konflikt Izrael–Palestyna ma cechy konfliktu tragicznego*

TEMAT TYGODNIKA

10
Macierzyństwo pod presją
ROZMOWA Z PAULINĄ MAŁOCHLEB:
Kiedy matki zaczynają mówić o swojej frustracji czy gniewie, słyszą lekceważące, a przede wszystkim zawstydzające: „Sama chciałaś”.

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP”

■ STRONY SPECJALNE ■

59
MAGAZYN LITERACKI „KSIĄŻKI W TYGODNIKU”

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA
43 NATALIA DE BARBARO
83 WOJCIECH BONOWICZ
92 PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP”

REDAKTOR PROWADZĄCY:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ WIARA

44 Księża z internetu
MONIKA BIAŁKOWSKA: *Coraz więcej młodych duchownych buduje tożsamość w oparciu o algorytmy, promując radykalizm zamiast dialogu*

48 Wiara szuka sztuki
ROZMOWA Z O. ANTONIO SPADARO: *Kościołowi bardziej szkodzi kicz niż sztuka zwana „bluźnierczą”*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Lopek i kropka
STANISŁAW CALIK *o Kazimierzu „Lopku” Krukowskim, jednej z twarzy kabaretu przedwojennej Polski*

■ ■ NAUKA

56 Martwa natura

SUSANA MONSÓ / PRINCETON UNIVERSITY PRESS

ROZMOWA Z SUSANĄ MONSÓ, FILOZOFKĄ: *Wielu z nas widziało, jak kot znęca się nad myszą. Zabójcze ugryzienie różni się od tej zabawy. To dowód na kontrolę zachowania. Kot wybiera, kiedy zabija*

■ ■ KULTURA

84 Rozsupłanie
JACEK WAKAR: *Krystyna Janda odkrywa przed nami wciąż nowe karty*

88 Kryzys mistrzów
MICHAŁ WALKIEWICZ: *podsumowanie festiwalu w Cannes*

90 Droga do zatracenia
ANITA PIOTROWSKA *o powrocie filmu „Mikey i Nicky” Elaine May*

91 Przeciw czarnej legendzie
LEKTOR *o biografii Braci Grimm*

■ ■ ZMYSŁY

94 Sport dla dziewczynek
ROZMOWA Z SEBASTIANEM SNACZKEM, PREZESEM FUNDACJI USPORTOWIONA: *Problem nie w tym, że dziewczynki „mniej chcą sportu” albo „się do niego nie nadają”. Przez lata projektowaliśmy system pod potrzeby chłopców*

KS. ADAM

Boniecki: *Ja, dziecko*

Kiedy właściwie przestałem być dzieckiem? Oczywiście nie chodzi o biologię, ale o zmianę myślenia. Na pewno mieszkanie w domu oddzielonym od reszty wsi murem – a oprócz muru wielowiekowym dystansem klasowym – kształtowało świadomość. To był dystans głęboki i mający korzenie w podświadomości. Czy to był infantylizm, nie wiem. Wiem jednak, że kiedy wyrzuceni z pałacu zamieszkaliśmy w niedalekiej mieścinie, odkrywałem zupełnie nowe światy. Chwilami bolało. Kiedy np. chłopak, którego traktowałem jak przyjaciela, ni z tego, ni z owego zwymyślał mnie od zbankrutowanych dziedziców. Zdumiało mnie wtedy to określenie: przecież wcale nie zbankrutowaliśmy. I zdumiała mnie jego, niespowodowana niczym, złość na mnie.

Jednak mimo takich doświadczeń moje postrzeganie świata było wciąż dziecinne. Nawet jeśli przypadała mi w rodzinie rola kogoś od załatwiania spraw (jakieś rzeczy w urzędach, sprzedaż dwóch, nie wiem jakim cudem odzyskanych, stylowych szafek...), w tym wszystkim była jednak mama, która miała na głowie całość.

W zakonie zaczyna się od nowicjatu, który jest m.in. nauką posłuszeństwa. Byłem posłuszny, ale było to infantylne: byłem gotów sadzić kwiatki korzonkami do góry, gdyby mistrz nowicjatu tak kazał. Nie kazał. To był mądry człowiek. Wiem, że patrzył na mnie z niepokojem, ale do profesji dopuścił. Może wierzył, że z czasem dojrzeję.

Dziś widzę, że proces wychowania przyszłego księdza nie bardzo temu

GRAŻYNA MAKARA

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

PRZEMYSŁAW

Wilczyński: *Między „chciałaś” a „musisz”*

W naszym zawodzie to jedna z bardziej upiornych kategorii tematycznych: ważne, ale tak często opisywane, że trudno dodać coś nowego. „Tak, to bardzo ważne, ale trudno mi będzie dodać coś nowego” – wije się na redakcyjnym zebraniu autor, który napisał na jakiś temat dwadzieścia pięć tekstów, a teraz ma pisać dwudziesty szósty.

„Polki nie chcą rodzić dzieci” – krzyczy popularny portal liberalny. „Przerażające! Kobiety nie chcą być matkami” – grozi portal konserwatywny. „Jak do 25. roku życia dają w szyję, to nie jest najlepszy prognostyk” – prognozuje były premier. „Dzieci rodzą się wówczas, kiedy kobiety czują się bezpiecznie, są przedmiotem czci i szacunku (...) To my z kobiety, Matki Bożej, uczyniliśmy Królową Polski” – chwali się mianowany przez byłego premiera premier przyszły.

Z powtarzalnością diagnoz, rozpisanych na prawo i lewo ról, a także

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 26

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

sprzyjał lub może był (jest?) tak pomyślany, że dojrzałość przychodzi po uformowaniu w człowieku innych właściwości. W każdym razie odpowiedzialności za innych i za siebie nauczyłem się dopiero w konfesjonale. Ludzie, których spotykasz tylko raz jeden, są czasem dramatycznie szczerzy. A rozmowy często dotyczą właśnie odpowiedzialności za własne i cudze życie. I z tych rozmów sam się uczysz.

Nauka odpowiedzialności za innych ma etapy. Najpierw jest przegadana. Możliwe, że wynika to z zarozumialstwa lub wiary, że wszystko można wytłumaczyć. Nie będę opisywał poniesionych tu klęsk. Dziś jestem mądrzejszy i chyba pokorniejszy, wiem, że autorem nawrócenia jest Bóg, nie ksiądz; że decydującą rolę odgrywa łaska Boża, nie zaś uczone mowy księdza. Że ksiądz jest świadkiem, co najwyżej pomocnikiem.

Wiem też, że czasem zdanie, nawet słowo, do którego nie przywiązuję szczególnej wagi, może mieć dla rozmówcy decydujące znaczenie. Na pewno dziś mówię mniej, a czasem nie mówię nic, bo wiem, że mój rozmówca wie. Wiem też, że człowiek wydobywający się ze złych nawyków nie musi (jak w pobożnych lekturach) mieć samych sukcesów. Zresztą wiem, że ksiądz, nawet mądry, nie jest Bogiem, że droga nawrócenia może być wyboista i jeśli Bóg jest cierpliwy, to cierpliwy musi być spowiednik.

Choć elementy z dzieciństwa mi zostały, nie jestem już dzieckiem. Starcy, jeśli nawet przejawiają symptomy zdziecinnienia, nie są dziećmi: są starcami z bagażem przeżytych lat. Nie jest łatwo patrzeć na czas miniony, w którym już żadnych korekt się nie zrobi. Jedyną nadzieją jest miłosierdzie ludzi i Boga. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

recept na wyjście z kryzysu nie potrafił się już dłużej godzić Kamil Pachecki – specjalista ds. obronności, strzelec oraz, jak można przeczytać na stronach Klubu Jagiellońskiego, były żołnierz WOT. „Obowiązkowa służba wojskowa także dla kobiet. Nie chcesz iść? Miej dzieci" – wystrzelił, ułaskawiając od wojska (poza matkami) także samotnych ojców „i tych mężczyzn, którzy mają więcej niż dwójkę dzieci".

Nie chciałbym być w skórze dzieci powołanych do życia i chowanych przez kobiety zastraszone tą nową koncepcją poboru – ale to myśl poboczna. Ta główna przyszła mi do głowy, gdy czytałem kapitalny wywiad **JUSTYNY DĄBROWSKIEJ** z **PAULINĄ MAŁOCHLEB** – o kobietach pod presją macierzyństwa. Skoro w psychologii utarła się już zdejmująca tę presję koncepcja „wystarczająco dobrej matki" – może podobna powinna przeniknąć do socjologii? W dobie demograficznego kryzysu zrobiliśmy z dzieci pozycję w GUS-owskiej tabelce, a z kobiet – niedomagające wykonawczynie patriotycznego planu zastępowalności pokoleń.

Wystarczająco dobre społeczeństwo nie mogłoby się chwalić współczynnikiem dzietności 1,1. To jasne. Ale może bez odium winy – bez szantażowania Matką Boską, bez „sama chciałaś" od cioci i „musisz" od publicysty – byłoby odrobinę zdrowsze? ©℗

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".

TP MOC CZYTANIA NA BOŻE CIAŁO

Najbliższy numer „Tygodnika" ukaże się w sprzedaży dzień wcześniej niż zwykle, JUŻ WE WTOREK, 2 CZERWCA.

Wewnątrz między innymi:

ANNA GOC
Gdy twój bliski cierpi psychicznie: jak mu pomóc i zadbać o siebie

WOJCIECH WAGLEWSKI
w rozmowie z **WOJCIECHEM BONOWICZEM:** Kiedy śpiewam, to myślę o niej przede wszystkim

WOJCIECH BONOWICZ / MONTAŻ „TP"

MAREK RABIJ
Dlaczego polski paszport rośnie w cenę

PATRYCJA BUKALSKA
Na stacji Arctowskiego, czyli 50 lat polskich misji w Arktyce

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

18–24 MAJA 2026

AMERYKAŃSKIE WOJSKA W POLSCE zasili 5 tys. żołnierzy – ogłosił Donald Trump, powołując się na „relację" z Karolem Nawrockim. Z wpisu prezydenta USA w mediach społecznościowych nie wynika, czy to wysłanie dodatkowej brygady, czy rotacja. ■■■ **PIERWSZE SAMOLOTY F-35**, kupione w USA, przyleciały do Polski. Na razie są 3, do 2029 r. mamy mieć 32 maszyny. ■■■ **POROZUMIENIE Z IRANEM** zostało w „dużej mierze wynegocjowane" – twierdzi (nie po raz pierwszy) Trump. W ciągu miesiąca po wejściu w życie ugody liczba statków przepływających przez cieśninę Ormuz ma wrócić do poziomu sprzed wybuchu konfliktu. ■■■ **ROSYJSKI ATAK** na obwód kijowski (z wykorzystaniem m.in. hipersonicznego pocisku balistycznego) przyniósł co najmniej 4 ofiary śmiertelne; skala uderzenia należała do największych od czasu wybuchu wojny pełnoskalowej.■■■ **PUTIN I XI JINPING** podczas wizyty rosyjskiego przywódcy w Pekinie przedłużyli traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. ■■■ **IZRAELSKIE SŁUŻBY** zatrzymały kolejną flotyllę płynącą z pomocą Gazie. Kilka europejskich stolic (w tym Warszawa) ogłosiło *persona non grata* ministra Itamara Ben Gwira, który drwił z pojmanych aktywistów. ■■■ **EBOLA W KONGU** : zmarło już ponad 100 osób, ale WHO twierdzi, że wirus nie spełnia kryteriów pandemicznych. ■■■ **W KRAKOWIE** odwołano w referendum prezydenta Aleksandra Miszalskiego (KO). Frekwencja wyniosła 29,99 proc. – o 2 proc. ponad wymaganą. ■■■ **KOALICJA MA PROBLEMY** w skali całego kraju: w maju rząd popierało 33 proc. badanych przez CBOS; 52 proc. respondentów było niezadowolonych z faktu, że jego szefem jest Donald Tusk. ■■■ **„RAJD** ukraińskiego kierowcy na drodze do Morskiego Oka budzi zrozumiałe oburzenie" – napisał premier na platformie X; jak widać Tusk reaguje już nawet na tak drobne incydenty jak wykroczenie, które policja ukarała mandatem 100 zł. ■■■ **PLAGA FAŁSZYWYCH ZGŁOSZEŃ** o pożarach dotknęła m.in. rodzinę prezydenta Nawrockiego; siłowe wejście służb do zajmowanego przez nią mieszkania wywołało oburzenie opozycji. ■■■ **ROZPORZĄDZENIE** w sprawie transkrypcji zagranicznych aktów małżeństwa par jednopłciowych w urzędach stanu cywilnego bez wyroku sądu podpisali szefowie resortów cyfryzacji oraz spraw wewnętrznych i administracji. Jarosław Kaczyński grzmi, że zmiana „stawia na pierwszym miejscu interesy pewnej mniejszościowej grupy domagającej się, żeby jej odmienność w ogóle nie była brana pod uwagę, żeby w związku z tym dzieci musiały za to płacić". ■■■ **POLSKI ASTRONAUTA** Sławosz Uznański-Wiśniewski zaprotestował przeciwko zakazowi publicznych wypowiedzi, jaki usiłowała nałożyć nań szefowa Polskiej Agencji Kosmicznej. Spór dotyczy niedostatecznego wykorzystania przez polskie firmy środków inwestowanych w program kosmiczny. ■■■ **POLSKIE SUKCESY.** Paweł Pawlikowski otrzymał nagrodę za reżyserię filmu „Ojczyzna" na festiwalu w Cannes. Ewa Pajor zdobyła piłkarską Ligę Mistrzyń, strzelając dla Barcelony dwie bramki w finałowym meczu z Olympique Lyon. ©℗

ALESSANDRA TARANTINO / AP PHOTO / EAST NEWS

POWYŻEJ: Papież Leon XIV podczas prezentacji encykliki „Magnifica humanitas". Watykan, 25 maja 2026 r.

PAPIEŻ ROZBRAJA AI

Nowe technologie, oparte na sztucznej inteligencji, to najważniejsze wyzwanie dla współczesności. Leon XIV apeluje do tych, którzy je tworzą i z nich korzystają, by dla zysku nie poświęcali tego, co bezcenne.

EDWARD AUGUSTYN Z WATYKANU

Dobrze wiem, jak wysoka jest stawka. Zarówno jeśli chodzi o zyski, jak i o to, co AI może" – mówił przed rokiem Dario Amodei, współzałożyciel firmy Anthropic – start-upu, który w 2021 r. oderwał się od ChataGPT, stworzył własnego asystenta AI (Claude'a), a dziś jego szacowana wartość jest bliska biliona dolarów. W grupie (niewielkiej) największych graczy na rynku nowych technologii Anthropic jako jedyny odmówił administracji Donalda Trumpa współpracy w inwigilacji obywateli i rozwijaniu technologii broni autonomicznej, za co grozi mu odebranie zleceń rządowych. A dziś jako jedyny zaproszony został na pre-

zentację encykliki „Magnifica humanitas” w Watykanie.

ETYKA | To pierwsza taka sytuacja – przynajmniej w najnowszej historii Kościoła. Budząca wściekłość konkurencji, bo rzeczywiście stawka jest wysoka, zwłaszcza jeśli chodzi o zyski.

Ale nie konflikt z Trumpem przymnożył Anthropicowi sympatii papieża ani deklarowana troska o bezpieczeństwo i etykę ich technologii (to może zadeklarować każdy), ale dziesięcioletnia współpraca z Watykanem. Zresztą, z inicjatywy założycieli Anthropica („W 2016 r. przyszli do mnie i mówią, że szykuje się coś bardzo ważnego, o wielkim wpływie, i uważają, że Watykan powinien być tego świadomy i zacząć o tym myśleć” – wspominał dominikanin o. Eric Salabier, do którego się zgłosili).

Rozpoczęte wtedy regularne rozmowy z Papieską Radą Kultury przyspieszyły mocno w 2022 r., po premierze ChataGPT. W dialog włączyły się też inne watykańskie instytucje oraz naukowcy, duchowni, filozofowie i etycy z „innych religii i tradycji mądrościowych”.

Leon XIV o sztucznej inteligencji w „Magnifica humanitas”

Chciałbym wreszcie użyć słowa, które jest mi szczególnie drogie: „rozbroić”. Rozbroić AI znaczy wyrwać ją z logiki zbrojnej rywalizacji, która dzisiaj nie jest już wyłącznie militarna, lecz także ekonomiczna i poznawcza. Jest to wyścig do stworzenia najsprawniejszego algorytmu i najszerszego zbioru danych (dataset) po to, by utrwalić przewagę geopolityczną lub handlową nad wszystkimi innymi.

Rozbroić znaczy zerwać tę równoznaczność między potęgą techniczną a prawem do rządzenia. Rozbroić nie znaczy wyrzec się technologii, lecz nie dopuścić, by zapanowała nad tym, co ludzkie. Znaczy wyzwolić ją spod monopoli, uczynić ją przedmiotem debaty i sprzeciwu, a tym samym przestrzenią przyjazną ludziom.

(...) Sztuczna inteligencja jest już środowiskiem, w którym jesteśmy zanurzeni, i władzą, z którą musimy się liczyć. Dlatego nie wystarczy jej regulować: trzeba ją rozbroić i uczynić przyjazną.

MONOPOL | Dlaczego warto o tym wiedzieć? W nowej encyklice, opublikowanej w poniedziałek, 25 maja, Leon XIV wielokrotnie zwraca uwagę, że dziś to nie państwa kierują innowacjami i są motorami rozwoju, ale „podmioty prywatne, często ponadnarodowe, dysponujące zasobami i zdolnością oddziaływania większymi niż wiele rządów”. Żyjemy w czasach – pisze papież – gdy „światowe bogactwo wzrosło w kategoriach absolutnych, ale nasiliła się jego koncentracja w rękach nielicznych”.

Do tych nielicznych a możnych papież apeluje o odpowiedzialność, roztropność i transparentność. Ale nie jest aż taki naiwny, by jednocześnie nie domagać się państwowych, a najlepiej międzynarodowych regulacji. Nawet za cenę spowolnienia rozwoju sztucznej inteligencji.

Co nie oznacza, że jest przeciwny nowym technologiom. Tylko nie uważa ich za moralnie neutralne narzędzie. Algorytmy – pisze Leon – „mają oblicze” tych, którzy je zaprojektowali i wyszkolili, odzwierciedlają ich wizję człowieka i świata, włącznie ze stereotypami lub ideologiami, jakimi się kierują. Papież ma świadomość trudności, jakie wiążą się z mówieniem i pisaniem o sztucznej inteligencji („istnieje ryzyko, że wszelkie tezy dotyczące AI mogą się w krótkim czasie zdezaktualizować ze względu na zdumiewające tempo rozwoju tych systemów. Po drugie, wszyscy – także ci, którzy je projektują – niewiele wiemy o ich rzeczywistym funkcjonowaniu”). A jednak bardzo precyzyjnie, trafnie i zrozumiale ją opisuje, podobnie jak najważniejsze zagrożenia z nią związane. I nie ukrywa, że walka o jej zdominowanie przypomina wyścig zbrojeń – dlatego apeluje, by zawczasu ją rozbroić (patrz ramka).

DOKTRYNA | Wbrew pozorom nie tylko sztuczna inteligencja jest bohaterem głównym nowej encykliki. Drugim, nie mniej ważnym, jest antropologia – wizja człowieka w świecie nowych technologii; a trzecim – katolicka nauka społeczna, której podstawowym celem jest obrona godności każdego człowieka.

Dwa pierwsze rozdziały dokumentu im poświęcone to błyskotliwa synteza nauczania kolejnych papieży od końca XIX w. oraz dokumentów soborowych, osadzona w kontekście współczesnych problemów, jak wojna, emigracja, e-uzależnienia (nowe niewolnictwo), prawa kobiet i mniejszości – spotęgowanych zastosowaniem sztucznej inteligencji. Jeśli ktoś szuka krótkiego, kompetentnego kursu w tej dziedzinie, może śmiało sięgać po „Magnifica humanitas”.

Nawiązań jest w niej wiele, nie tylko do nauczania Kościoła i nie zawsze wprost: w krytyce tezy, że przemoc jest immanentną cechą człowieka i skoro nie da się jej uniknąć, można ją jedynie „optymalizować”, słychać polemikę z poglądami Petera Thiela, nowego ideologa Doliny Krzemowej.

ZACHWYT | Piszę te słowa podczas prezentacji encykliki w Auli Pawła VI, nie ochłonąwszy jeszcze po pierwszej lekturze dokumentu. Jego analizę wraz z komentarzami opublikujemy w kolejnym numerze „Tygodnika”. Ale już dziś wiemy, że to ważne przesłanie spotka się z gwałtowną reakcją ze strony twórców AI. Zapewne pojawią się zarzuty, że papież próbuje, jak to nieraz w historii bywało, powstrzymać postęp.

Byłoby sporym nieporozumieniem, gdybyśmy sprowadzili encyklikę jedynie do krytyki nowych technologii. Wręcz przeciwnie, „Magnifica humanitas” jest – jak sam tytuł mówi – wielkim zachwytem nad „wspaniałym człowieczeństwem”: jego mądrością, doświadczeniem, kreatywnością i różnorodnością. Dzięki którym powstają dzieła, mogące zadziwić albo zatrwożyć świat. A na pewno go odmienić. ©℗

Minister przestępca

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Itamar Ben Gwir, izraelski minister bezpieczeństwa, który poniżał zatrzymanych aktywistów z flotylli płynącej do Strefy Gazy, ma za sobą liczne wyroki o rasizm i wspieranie żydowskiego terroru.

„Witamy w Izraelu, my tu rządzimy" – krzyczał rozbawiony minister na nagraniu, które opublikował na platformie X, machając izraelską flagą nad zmuszonymi do klęczenia aktywistami. Publikacja spotkała się z miażdżącą krytyką na całym świecie, ale też w samym Izraelu. Polska i Francja objęły Ben Gwira 5-letnim zakazem wjazdu.

I słusznie. 50-letni Ben Gwir to najbardziej radykalny z polityków izraelskiej skrajnej prawicy. Ma „bogatą" przeszłość. W młodości zasilał młodzieżówkę Kach, partii ultranacjonalistyczno-religijnej. Na krótko przed zabójstwem premiera Icchaka Rabina, który zginął w 1995 r. z rąk żydowskiego ekstremisty, Ben Gwir nawoływał do przemocy wobec premiera – za to, że Rabin chciał zawrzeć pokój z Palestyńczykami i podpisał z nimi porozumienia z Oslo.

Na skutek swojej późniejszej wieloletniej działalności Ben Gwir ma na koncie dziesiątki postępowań i wyroki skazujące w sprawach dotyczących nawoływania do rasizmu i wspierania żydowskiego terroru. W rządzie Netanjahu jako minister ten przestępca dostał szansę na zasianie potężnego chaosu – i trzeba przyznać, że wykorzystał ją w pełni.

W tej historii nie ma już większego znaczenia, że flotylla nie jest realną pomocą dla Gazy, gdzie ludzie faktycznie głodują. Oko za oko, ząb za ząb – zasada, która na Bliskim Wschodzie nakręca spiralę wzajemnej nienawiści, bardzo realnie przekłada się na codzienność, a Ben Gwir jest tego przykładem. „Szawuot to moment, który przypomina nam, kim naprawdę jesteśmy. Ludem, który umie dzielnie walczyć i potrafi stawić czoło wrogom z siłą, nie przepraszając i nie nadstawiając drugiego policzka" – napisał na portalu X, odnosząc się do żydowskiego święta, które przypadło w dzień po publikacji jego nagrania.

Izrael z Ben Gwirem, Becalelem Smotrichem (kolejnym ekstremistą) i Benjaminem Netanjahu na czele – politykami, dla których nie ma żadnych zasad – jest poczwarną aberracją idei „jedynej demokracji na Bliskim Wschodzie", do której aspirował, w minionych dekadach przekonując Żydów z całego świata do aliji, osiedlenia się na tej ziemi.

Dzień wcześniej, 20 maja, izraelski parlament zatwierdził projekt ustawy o samorozwiązaniu. Jeśli dojdzie do przyspieszonych wyborów, to zaistnieje szansa na zmianę kierunku, a być może na uratowanie kraju przed katastrofą. Niezależnie jednak, czy elekcja odbędzie się przedterminowo, czy dopiero jesienią, jedno jest pewne: Izraelczycy zagłosują w tym roku w najważniejszych wyborach w historii swojego kraju. ©

AFP / EAST NEWS

Kadr z nagrania opublikowanego 20 maja 2026 r. na koncie ministra bezpieczeństwa narodowego Izraela Itamara Ben Gvira w serwisie X, po tym, jak siły izraelskie przechwyciły statki flotylli na morzu i rozpoczęły zatrzymywanie kilkuset zagranicznych aktywistów w południowym porcie Aszdod.

Zmiana warty

MAREK KĘSKRAWIEC

Odwołanie w referendum Aleksandra Miszalskiego to szok dla wielu Krakowian. Stało się to ledwie po dwóch latach jego prezydentury i nie do końca wiadomo, czy bardziej zawiodła komunikacja, czy popełniono realne błędy.

Miszalskiemu zarzucono, że stworzył zbyt surowe zasady dla obejmującej 60 proc. miasta Strefy Czystego Transportu, które zbiegły się z podwyżkami opłat w strefie płatnego parkowania i wzrostem cen biletów, co trudno uznać za promocję przyjaznego dla środowiska transportu publicznego (stał się najdroższy w Polsce). Na to nałożył się szybki wzrost zadłużenia miasta, które z 6,5 mld zł przed dwoma laty urosło do 8,5 mld, a pod koniec roku przeskoczy dług dwukrotnie większej Warszawy. Wielu mieszkańców jest zaniepokojonych, że z kredytów płaci się nauczycielom i motorniczym, a do urzędów i części spółek miejskich trafiają sowicie opłacani działacze polityczni, a nie fachowcy.

Skala negatywnych zjawisk jest spora, niemniej trudno uznać, że w Krakowie panuje chaos i „epidemia kolesiostwa". Miszalskiemu bardziej zaszkodziły ciągłe zmiany decyzji i brak spójnej wizji przyszłości. Nie da się uważać za jej przejaw np. obietnicy metra, którego budowa i późniejsze utrzymanie mogłyby zrujnować finanse miasta.

Tyle że Miszalski poległ w momencie, w którym zaczął wyciągać wnioski z błędów, mając przed sobą jeszcze trzy lata kadencji. Zarazem jego odsunięcie wcale nie gwarantuje, że Krakowem zacznie rządzić profesjonalna, odpolityczniona ekipa.

Zła komunikacja i brak wizerunku poważnego prezydenta (zwłaszcza na tle prof. Jacka Majchrowskiego, którego 22-letnia epoka zmęczyła jednak wyborców) sprawiły, że do urn poszło 30 proc. mieszkańców, pragnących zakończyć misję Miszalskiego. Trudno jednak wyobrazić sobie, kto mógłby zdobyć ponad 50 proc. głosów za 90 dni, kiedy odbędą się kolejne wybory. Ponadpartyjny gigant, podobny do tego, jakim na początku nowego tysiąclecia stał się Majchrowski, nie majaczy nigdzie na horyzoncie.

Do upadku Miszalskiego doprowadziło zniechęcenie mieszkańców, ale też pospolite ruszenie niektórych radnych, działaczy PiS i Konfederacji, a zwłaszcza biznesmena i sponsora części ruchów miejskich, Łukasza Gibały, który już trzy razy przegrywał wybory. W tej układance nie widać sojuszu, lecz ekipę walczącą o wpływy. Nie wierzę, że może ona wyłonić indywidualność, która pociągnie Kraków w górę i nie utknie w partyjnych szachach oraz wojnie z radą miasta, której w referendum nie zdołano przecież odwołać. ©℗

Kto nas uspokoi

EMOCJE ▪ Podczas poznańskiego kongresu Impact'26 Olga Tokarczuk opowiedziała, w jaki sposób korzysta z AI. Wyraziła także opinię na temat tego, jak w przyszłości może wyglądać współpraca pisarek i pisarzy z maszynami oraz dlaczego ludzie tworzący opowieści będą korzystać z ich wsparcia. Zaraz potem wybuchła wielka awantura. Bardziej niż noblistki dotyczyła ona jednak naszych własnych lęków związanych z rozwojem sztucznej inteligencji.

„Wykupiłam sobie najwyższą, zaawansowaną wersję jednego modelu językowego i bywam w głębokim szoku, patrząc na to, jak fantastycznie powiększa on horyzonty i pogłębia myślenie kreatywne" – powiedziała Tokarczuk. W tym jednym zdaniu kryje się wiele pułapek, mogących świadczyć zarówno o uprzywilejowaniu autorki (wielu z nas korzysta na co dzień z bezpłatnych wersji tego typu narzędzi), jak i nieświadomości dotyczącej sposobów działania modeli językowych. To, co wygląda tak „fantastycznie", wygenerowane zostało na podstawie milionów danych użytych przez korporacje bez wynagrodzenia dla autorek i autorów, a także za sprawą bardzo kiepsko płatnej pracy ludzi, którzy dane te do systemu wprowadzili.

KRZYSZTOF KANIEWSKI / REPORTER

Olga Tokarczuk na spotkaniu ze Swietłaną Aleksijewicz. Wrocław, 15 lipca 2021 r.

Niezręczna wypowiedź noblistki pojawia się nie tylko w momencie, gdy toczy się całkiem poważna dyskusja o narodzinach „klasy AI", uprzywilejowanej zawodowo grupy charakteryzującej się rozwiniętą umiejętnością pisania promptów. W tym samym momencie redaktorzy jednego z anglojęzycznych magazynów literackich nieświadomie publikują opowiadanie napisane przez maszynę. Jego autor – nominowany do Commonwealth Short Story Prize – najprawdopodobniej w ogóle nie istnieje. Co z pozostałymi wyróżnionymi tekstami?

Eric Schmidt, były dyrektor generalny Google, zostaje wygwizdany na uniwersytecie w Arizonie. Obrywa mu się za opinię, zgodnie z którą czekająca nas „transformacja technologiczna" będzie „większa, szybsza i bardziej brzemienna w skutki niż wszystko, z czym mieliśmy dotąd do czynienia". Okazuje się, że studentów wcale taka wizja nie cieszy. Wedle ostatniego sondażu NBC News sztuczna inteligencja wzbudza w Amerykanach, szczególnie młodych, ogromną niechęć – zagraża ich przyszłości. Anthropic – firma, która stworzyła Claude'a – przyznaje w jednym z raportów, że na utratę zatrudnienia narażone są głównie dobrze wykształcone kobiety. Z czego spłacą ogromne kredyty studenckie?

W odpowiedzi na lęki związane z rozwojem technologii studenci amerykańskich uczelni usłyszeli, że są „jaskiniowcami". W polskiej dyskusji, także ze strony lewicowych publicystów, pojawiło się pod adresem wątpiących w AI określenie „gawiedź". Niewielu zdaje się rozumieć, że w całej tej awanturze chodzi o egzystencjalny lęk towarzyszący niekontrolowanym zmianom, na których czele stoją nastawione na zysk korporacje. A to, co niektórym otwiera „fantastyczne" możliwości rozwoju, innym je bezpowrotnie odbiera.

Wypowiedź Tokarczuk podziałała jak katalizator społecznych emocji – czy znajdzie się ktoś, kto się nimi zaopiekuje?

©℗ **MONIKA OCHĘDOWSKA**

BARTOSZ MINKIEWICZ

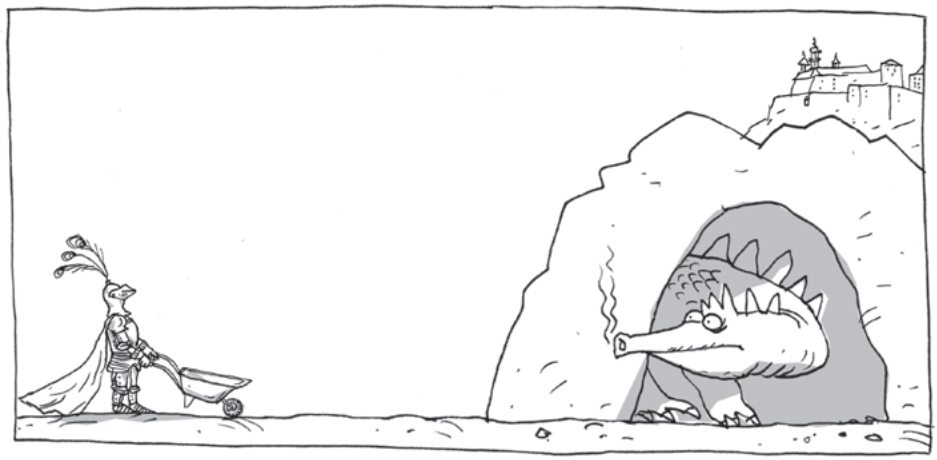

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

MACIERZYŃSTWO POD PRESJĄ

PAULINA MAŁOCHLEB:

Kiedy matki zaczynają mówić o swojej frustracji czy gniewie, słyszą lekceważące, a przede wszystkim zawstydzające: „Sama chciałaś".

JUSTYNA DĄBROWSKA: Kiedy pracowałam w miesięczniku „Dziecko", zapytałam przedszkolaki przed Dniem Matki: kim jest mama? Bardzo dobrze zapamiętałam pierwszą odpowiedź: „Mama to jest taki normalny człowiek, tylko z torbą". A według Ciebie?

PAULINA MAŁOCHLEB: Matka to osoba, która się opiekuje. Osoba, na barkach której spoczywa ostateczna odpowiedzialność za dziecko. Osoba, która w warunkach tej kultury nie może swoich obowiązków porzucić ani nikomu ich na stałe przekazać. Może to zrobić wyłącznie w sposób ograniczony, a reguły tego przekazania są ściśle określone w czasie albo w przestrzeni. Całokształt zadań i obowiązków należy tylko do niej, począwszy od zaszywania dziurawych skarpetek, a skończywszy na dziecięcej depresji.

Czyli to jest praca.

Tak, i to niezbywalna. Można ją podzielić z partnerem, ale to matka najczęściej ten podział inicjuje, nadzoruje.

Wyobrażamy sobie matkę jako osobę, która najczęściej – w przeciwieństwie do ojca – nie może odejść z rodziny. Nie może też powiedzieć, że nie wie, co się będzie działo z jej dziećmi kolejnego dnia – odpowiada za organizację czasu opieki, nawet jeśli sama nie świadczy jej przez cały czas.

Przy czym opieką nazywam też gotowanie, pranie i sprzątanie, to nie jest trzeci etat, tylko część pracy opiekuńczej. Więc matka to człowiek, który opiekuje się dziećmi również poprzez obowiązki nazywane domowymi. Kiedy dziecko chce mieć na jutro ulubiony podkoszulek, to zaczynamy wygrzebywać z brudów odpowiednie kolory i zarzucamy pranie.

Tu chodzi też o pracę emocjonalną, prawda?

W sytuacji z praniem nie mówimy: ale przecież masz cztery inne podkoszulki, nie zawracaj głowy, tylko staramy się wyprać ten najulubieńszy. Tak samo jest z gotowaniem. Nie chodzi tylko o nakarmienie, ale o przygotowanie tego, co nasza rodzina lubi. A więc praca opiekuńcza wyraża się też w sposobie, w jaki wykonujemy zadania domowe, starając się zaspokoić nie tylko głód, ale też potrzebę akceptacji i bezpieczeństwa.

Myślę, że matka to człowiek, który nosi w sobie powinność zapewnienia dzieciom komfortu psychicznego. Tak się w danej chwili czujemy, jak czuje się jedno z naszych dzieci, które obecnie ma się najgorzej.

To reguła, która sprawia, że jeżeli jedno dziecko jest chore, poświęcamy mu dużo więcej czasu niż zdrowemu, prawda? I dlatego zajmujemy się bardziej młodszym i mniej zaradnym niż tym większym, bardziej zaradnym. Matki często myślą o rodzinie w perspektywie deficytów i nieszczęść, przekierowując swoje zasoby, możliwości, umiejętności i uwagę w te przestrzenie, które ich najbardziej wymagają. Oznacza to jednak, że zawsze pracujemy na jakimś braku, chorobie, nieszczęściu i stresie.

Kiedy Cię słucham, myślę, że to nagromadzenie obowiązków musi budzić w kobietach gniew. Nieustająca, jednocześnie niewidzialna dla otoczenia praca, która nigdy się nie kończy i w żaden sposób nie jest gratyfikowana. No może poza tym, że możesz się cieszyć, iż dzieci się rozwijają. Co się dzieje z tym gniewem?

Kobiety są uczone, żeby gniewu nie wyrażać. Jakby nie miały prawa do złości. W naszej kulturze to jest często nazywane „histerią" albo „roszczeniowością". O tych kobietach mówi się pogardliwie „madki".

Czy partner, ojciec dziecka może tę emocjonalną pracę współdzielić?

Ciężar egzystencjalny związany z niepokojem o przyszłość naszych dzieci, o ich zdrowie, o ich komfort, nie znika, nawet gdy zostaje podzielony. Podobnie ciężar związany z utratą wolności i tym, że nigdy już nie będziemy istotami w pełni samostanowiącymi. Od momentu narodzin dziecka – zawsze, w chwili każdego wyboru życiowego, podejmujemy decyzje, odnosząc je do niego. Kiedy wydarza nam się jakieś nieszczęście, też myślimy o tym, jak dzieci to przyjmą i co z nimi będzie.

Myślisz, że ojcowie tak nie mają?

Nie wiem. Wydaje mi się, że myślenie o ojcostwie zakotwiczonym w rodzinie to nowe i mało poznane zjawisko.

Nie znika też ani gniew, ani wstyd – nawet jeśli jakimś cudem takimi afektami jesteśmy w stanie się podzielić. To taka alternatywna matematyka – ciężar podzielony dalej istnieje, ale opieka współdzielona zaczyna obciążać również drugą osobę.

Co to znaczy?

Jeżeli mężczyzna w nocy nosi płaczącego niemowlaka, któremu rosną zęby, to rano i on pójdzie do pracy niewyspany. To, że robi coś dla rodziny, nie oznacza, że zostanie za to wynagrodzony. Zostanie ukarany tak samo jak kobieta.

Niczego nie zyskają?

Podniesieniu ulega solidarność w parze, to, że jesteśmy w tym razem... Kiedy mówię, że nie posprzątałam, bo nie miałam czasu, to wiem, że mąż dokładnie wie, co mam na myśli. Bo sam tego doświadcza.

Czyli to, co przyrasta, to wzajemne zrozumienie.

Przyrasta też tęsknota za życiem razem i innymi rozmowami niż wymienianie się informacjami o tym, co u dzieci, co w szkole i co trzeba kupić.

Mówisz o odpowiedzialności, obowiązkach, czasie, wysiłku, nie mówisz w ogóle o lęku, niepokoju i osamotnieniu, a to też są jakieś koszty. Rodzice są z całą tą pracą zostawieni samym sobie.

Rodzina dwupokoleniowa, z dwojgiem pracujących rodziców, to wynalazek wczesnego kapitalizmu, rezultat industrializacji, która spowodowała, że zaczęto migrować do miast i wiązać się w pary daleko od miejsca urodzenia. Te rodziny były – dalej są – słabymi podmiotami, łatwymi do podporządkowania ekonomicznego i politycznego. Konieczność utrzymania ich z dwóch pensji, z mniejszym wynagrodzeniem wypłacanym kobietom, to potężna dźwignia nacisku na oboje dorosłych.

Daleko od rodziców i jakiejkolwiek większej wspólnoty. Wiele kobiet stających się matkami nigdy przedtem nie widziało na oczy noworodka.

Próbujemy sobie budować „wioski" w tych domach, w których mieszkamy, ale to się często nie udaje, również dlatego, że ludzie są tak obciążeni pracą, iż nie chcą nawet czasowo przejmować ↦

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

odpowiedzialności za cudze dzieci. Mam koleżanki, które wymieniają się dziećmi po południu – jednego dnia jedna rodzina odbiera kilkoro dzieci ze szkoły, drugiego inna. Ale myślę, że to wyjątek potwierdzający regułę. Większość z nas żyje osobno i każdy odpowiada za swoją podstawową komórkę społeczną.

A kiedy kobiety zaczynają mówić o swojej frustracji czy gniewie, słyszą lekceważące, a przede wszystkim zawstydzające zdanie: „Sama chciałaś. Chciałaś mieć dzieci, to masz".

Państwo wycofało się ze sfery troski: do niedawna nie istniały w Polsce nawet standardy opieki żłobkowej.

Ten brak jest odzwierciedleniem dyskusji, czy matki nie powinny jednak zostawać z dziećmi w domu do trzeciego roku życia. Konserwatyści, w tym Ordo Iuris, państwowy program rozbudowy żłobków w 2023 r. nazwali „defamilializacją". Jednocześnie są badania, które mówią, że jeśli kobieta nie pracuje przez dwa lata, to trudno jej do pracy wrócić. Ta sytuacja budzi lęk: kobiety boją się, że wypadną z rynku.

Musimy też pamiętać, że mieszkanie w dużym mieście z małym dzieckiem radykalnie różni się od opieki nad nim na wsi. Tam nie da się wsadzić dziecka do wózka i pojechać z nim do biblioteki, do kawiarni, na deptak. Poczucie uwięzienia jest znacznie większe, podobnie jak poczucie izolacji i niepokój.

Nie ma czym pojechać, bo autobusu brak, a mąż pojechał ich jedynym autem do pracy.

Dla mnie te lęki są racjonalne, ale w przestrzeni publicznej są opowiadane jako rodzaj słabości psychicznej, nadwrażliwości przeintelektualizowanej klasy średniej.

> Cały kształt rzeczywistości, w której żyjemy, mówi, że bycie matką to frajerstwo. Kobiety myślą logicznie i interpretują sygnały płynące z otoczenia.

W książce „Życie codzienne kobiet w PRL" Błażej Brzostek cytuje wyniki ankiet z lat 70. i 80. Kobiety skarżą się w nich na problemy z zasypianiem, ciągłym brakiem snu, koniecznością bardzo wczesnego wstawania, żeby przygotować śniadania dla domowników. Przeciążenie, poczucie osamotnienia i niepokój to nie są wynalazki matek współczesnych, ale stałe, trwałe doświadczenie kolejnych pokoleń wykonujących obowiązki macierzyńskie.

Piszesz, że centralnym uczuciem, jakiego doświadczają dziś matki, jest wstyd. Wiemy, jak sobie radzić ze złością i smutkiem, ale jak sobie radzić z uczuciem, które nie ma swojej ekspresji?

Wstyd przychodzi z zewnątrz, z tej wyobrażonej normy, dotyczy krytyki i osądu, często wyrażonego niewerbalnie, tylko przy pomocy chrząknięcia, długiego karcącego zawieszenia wzroku albo przeciwnie – odwrócenia się plecami, nieudzielenia pomocy.

Zawstydzanie to forma dyscyplinowania nas.

Reagujemy wówczas pragnieniem ukrycia się, rumieńcem, gorącem, bólem brzucha. Kurczymy się w sobie. Problem w tym, że ponieważ wstyd przyszedł z zewnątrz, same nie możemy go przepracować. Nie możemy go wyrzucić w momencie, kiedy już do nas przylgnie. Jeśli pozwolimy, żeby to zawstydzające spojrzenie lub słowo nas dotknęło, to jesteśmy ugotowane, faktycznie możemy się już tylko skurczyć. Jedyny sposób, żeby sobie ze wstydem poradzić, to go nie przyjąć.

Ale jak to zrobić w praktyce?

To ekstremalnie trudne, bo wymaga jakiegoś otorbienia się, uzbrojenia, do którego właściwie nie jesteśmy zdolni. Wymusza też utrzymywanie aktywnej uwagi we wszystkich okolicznościach, jakbyśmy ciągle oczekiwali na atak.

A jak Tobie się udawało? Pamiętasz takie sytuacje?

Chyba pierwszym momentem świadomego odrzucenia wstydu był mój drugi poród. Rodziłam już długo i byłam w potwornym bólu. Akcja zaczęła się rano, trwała do pierwszej w nocy. W pewnym momencie zaczęłam krzyczeć, bo potrzebowałam jakoś rozładować ból, znieść go. Tymczasem położna kazała mi zamilknąć, „bo nie ja pierwsza rodzę, a w ogóle jest późno i wszyscy chcą spać".

„Niech się nie drze", powiedziała?

Dokładnie tak, i tym tonem, i z takim prychaniem, i w trzeciej osobie. Nie bardzo ją widziałam, bo już leżałam wtedy na płasko, docierała do mnie właściwie tylko

REKLAMA

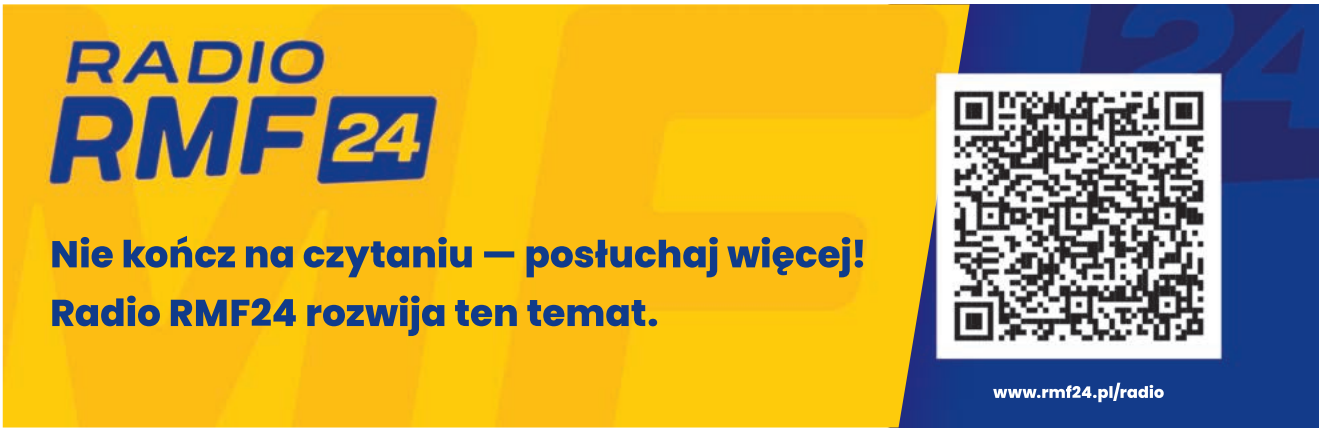

poprzez głos. I to była pierwsza sytuacja w moim życiu, kiedy nie miałam ani jednego wahania, że ona może mieć rację, że może nie powinnam... Tak jakby to była moja wina, że pomieszczenie porodowe nie było wytłumione. Łatwiej zawstydzać kobiety niż wytłumić ściany.

To był pierwszy moment. Dziś coraz częściej zdarza mi się taka postawa w kontakcie z systemem edukacji albo z ochroną zdrowia.

Z władzą, jednym słowem.

Tak, z władzą, która ma bezpośredni wpływ na moje dzieci. Np. przychodzę do lekarki, która pyta, a właściwie stawia mi zarzut, dlaczego dziecko nie ma zrobionych badań. I co ja wtedy mogę? Mogę powiedzieć, że lekarz pierwszego kontaktu dał mi skierowanie do pani, ale nie dał skierowania na te badania, które są potrzebne. Ja o tym nie wiedziałam, więc nie mogłam się upomnieć.

Feministyczne filozofki mówią, że im więcej będziemy rozmawiać o naszym doświadczeniu wstydu, wskazywać głośno, kiedy go dokładnie odczuwamy i kto nas zawstydza, tym większą energię społeczną wytworzymy. Nawet jeśli ta energia nie doprowadzi do zmiany prawa czy mentalności, to wytworzy przynajmniej jakiś rodzaj solidarności.

Takiej tarczy.

Tak, tarczy, która pozwoli łatwiej się obronić w tych codziennych sytuacjach.

Najgorzej jest z tym wstydem, który wytwarzamy same, uznając wskazania norm, zewnętrzny system obyczajowy. Wtedy same zaczynamy zadawać sobie pytanie: „czy jestem dobrą matką?". Tutaj buduje się pas transmisyjny wstydu. Jakby istniał jakiś wzorzec dobrej matki, do którego powinnyśmy dorównać, nie biorąc pod uwagę tego, czym jest macierzyństwo.

Czym?

Relacją przede wszystkim! Nie bierzemy pod uwagę tego, że jesteśmy trochę takimi matkami, jakie mamy dzieci. To znaczy, że dzieci odpowiadają za część kształtu tej relacji.

To spojrzenie bardzo mi bliskie. Często powtarzam moim pacjentkom, że dziecko tę relację współtworzy i że naprawdę dużo zależy od tego, kto nam się w tej genetycznej loterii wylosował.

JAKUB WŁODEK / AW / MATERIAŁY PRASOWE

PAULINA MAŁOCHLEB jest krytyczką literacką, badaczką i wykładowczynią Wydziału Polonistyki UJ. Autorka książki „Przepisywanie historii" i bloga ksiazkinaostro.pl. Wydane nakładem Karakteru „Mięśnie mam od miłości. O macierzyństwie" to jej debiut literacki.

Tymczasem wyobrażenie dobrej matki zakłada, że istnieje gdzieś jakieś „uniwersalne dziecko" i w związku z tym można wypracować zestaw zasad, według których należy postępować.

I ten wzór roli matki, napisanej nie wiadomo przez kogo i złożonej w depozycie nie wiadomo gdzie. Potem tę „rolę matki" musisz właściwie odegrać, bo jak nie, to recenzja na jedną gwiazdkę!

Gdybyś mnie teraz zapytała, jaką chciałabym być matką, nie potrafiłabym odpowiedzieć. Nie wiem, jaką, ale wiem, że na pewno nie jestem wystarczająco dobrą.

Jak to? Jesteś taką matką, jaką jesteś. Kropka.

Kropka, tak. Ale wiesz, nie potrafię opisać tego wzorca, który gdzieś tam na jakimś etapie swojego życia sobie stworzyłam.

Czyli jesteś wyleczona... Ale myślę jeszcze o tym, jak bardzo zawstydzane są dziewczynki. Od małego. Zaczyna się od wyglądu.

Moja 7-letnia córka opowiadała mi, że na dzień kobiet mieli w szkole lekcję o tym, jakie są ich marzenia i pragnienia. Kilka jej koleżanek zadeklarowało, że chciałyby schudnąć. Sądzę, że powtarzały coś, co słyszą z ust starszych krewnych. Same sobie to robimy i jeszcze zarażamy wstydem następne pokolenia.

Doświadczenie ciąży, porodu i wczesnego macierzyństwa jest mocno splecione z doświadczaniem kobiecego ciała. To jest w poprzek naszej kultury, w której w zasadzie nie powinno się mieć żadnych płynów fizjologicznych – ani potu, ani krwi, ani siary.

Jonathan Littell napisał kiedyś książkę o tym, jak filozofia Zachodu lubi to, co suche, i boi się tego, co wilgotne. Suche jest to, co męskie, intelektualne, stałe i niezmienne, cywilizowane, heroiczne. A wilgotne to, co kobiece, płynne, podlegające zmianom, dzikie, błotniste i brudne, zagrażające. Korzenie tych lęków sięgają głęboko, kultura uczy, że płyn, ciecz oznacza utratę kontroli. Na poziomie cielesnym to zresztą prawda – nie wiemy, kiedy dostaniemy miesiączki, kiedy odejdą nam wody płodowe.

Ciało kobiece, gdy staje się ciałem ciężarnym, jest obserwowane i krytykowane: czy ona nie pali? Czy nie pije? Czy nie je sera pleśniowego? Czy nie przytyła za dużo? Obcym kobietom zwraca się uwagę na ulicy. Ciało w ciąży staje się własnością publiczną.

Ciąża konfrontuje także z koniecznością proszenia o pomoc. A w tej kulturze nie ma miejsca na zależność, na to, żeby uznać, że komuś, kto nosił 9 miesięcy w środku drugą istotę, potem ją urodził, a potem dochodzi do siebie, należy się troska i opieka.

W społecznym wyobrażeniu kobieta powinna być we wszystkich sferach życia absolutnie niezależna. Samozwrotna, samozadaniowa, robi listy obowiązków i natychmiast je wykreśla. Kobiety uczy się, żeby nie informowały o swoich uczuciach, szeroko się uśmiechały, więc nie mamy poczucia, że możemy powiedzieć: potrzebuję pomocy. Jeżeli któraś z nas już się zdobędzie na asertywność i odwagę, to internetowy komentariat albo jakaś ciotka zaraz jej powie: „nasze babki rodziły w polu, nie miały pralek i jakoś sobie radziły".

I nie miały pampersów!

Nie wiem, czy równanie do rzeczywistości Polski pańszczyźnianej to naprawdę kierunek, w którym chcemy zmierzać. ↦

Elisabeth Badinter, francuska filozofka i feministka, pisze, że żaden egzemplarz gatunku ludzkiego nie dożyłby do dorosłości, gdyby kobiety robiły tylko tyle, ile wymaga od nich prawo. Dlatego należało stworzyć ten pas transmisyjny wstydu, który wychowuje kobietę na matkę i wkłada w nią różnego rodzaju przymusy, żeby stała się osobą, która jednocześnie się opiekuje i kontroluje proces opiekuńczy.

Czyli matka samej sobie stale musi patrzeć na ręce?

Tak. Rodzimy się jako bardzo słabe ssaki i nie przetrwalibyśmy do dorosłości bez największego zaangażowania matki. Teraz mamy niską dzietność i słabą demografię, ale wynikającą z tego, że po prostu dzieci się nie rodzą. 200 lat temu przyrost też nie był gigantyczny, ale wtedy rodziło się mnóstwo dzieci, tylko nie przeżywały niemowlęctwa.

Dlaczego kobiety dziś tak często decydują się na to, by nie wchodzić w doświadczenie macierzyństwa?

Ponieważ cały kształt rzeczywistości, w której żyjemy, mówi, że bycie matką to frajerstwo. Kobiety myślą logicznie i interpretują we właściwy sposób sygnały płynące z otoczenia. Np. że jak urodzisz dziecko, to stracisz część poborów, a potem będziesz do tyłu z karierą. Twoja kariera będzie uzależniona od osoby, która przez pierwsze kilka lat życia może być chora 11 razy w ciągu roku. A jednocześnie ta reguła jest jakąś wiedzą tajemną, o której nie wie twój szef. Prawo mówi, że możesz być na opiece tylko 60 dni.

Pokaż mi malucha, który choruje tak mało.

Dodatkowo żyjemy w przestrzeni, która faworyzuje zmianę, ruch i rozwój. Nie możesz powiedzieć: a ja teraz jestem w stagnacji. Musisz się zmieniać, rozwijać. Jak na kogoś wpadamy na ulicy, to pytamy: co robisz? Czym się zajmujesz? Nie usłyszysz w odpowiedzi: a nic takiego... odbieram dzieci z przedszkola i chodzę z nimi na trzy godziny na plac zabaw. Siedzę, patrzę, jak się bawią... Taka była moja odpowiedź przez lata i moi bezdzietni znajomi myśleli, że wykonuję jakiś rodzaj performansu, eksperymentu do książki. A przecież, jak przejdziesz się latem na plac zabaw, to widzisz tam takie enklawy ludzi, którzy siedzą i po prostu patrzą, jak się dzieci bawią. Dokarmiają je chrupkami i jabłuszkiem. Kiedy po takim dniu wracaliśmy wieczorem do domu, a ja byłam bardzo głodna, bez obiadu i w mieszkaniu miałam brudno, to myślałam sobie: no nie zrobię wszystkiego. Wyszliśmy na słońce. Fajnie się bawiliśmy.

Dożyliśmy wszyscy do wieczora.

Tak, na tym polega opieka i wychowanie. I kiedy ktoś cię właśnie dopytuje, gdzie byłaś na majówce, a dokąd jedziesz w przyszłym roku, czyli jak żyjesz w kulturze, która kładzie nacisk na sukces, status i prestiż, to odkrywasz, że macierzyństwo zagradza albo przynajmniej utrudnia dostęp do tych rzeczy. Że nasz status się obniża, bo jedna albo dwie osoby pracują mniej, świadczą opiekę popołudniami, rankami i nocami, a tym samym czas na myślenie o pracy i na rozwój jest krótszy.

Jest krótszy i przerywany.

Wiesz, nikt świadomie nie wejdzie w taki interes. Gdybyśmy powiedzieli jakiejś w miarę młodej heteroseksualnej parze: słuchajcie, jest taki deal, że teraz przez 10 lat będziecie zarabiać połowę tego, co zarabialiście wcześniej, będziecie jeździć tylko w takie miejsca, gdzie możecie wypuścić dzieci na piach albo do lasu. I jeszcze prawdopodobnie będziecie się ze sobą kłócić wieczorami. Ale szeptem. I nie prześpicie ani jednej nocy, do tego raczej nie będziecie sami w łóżku. To kto przy zdrowych zmysłach powiedziałby: wchodzę w to!

Więc odwróciłabym to twoje pytanie i zapytała: dlaczego kobiety decydują się na to, by mieć dzieci? Przecież to jest pod włos całej naszej kulturze. I nie zapominajmy: tuż za ścianą jest wojna. Nie wiemy, czy przyjdzie do nas, czy nie. I co my wtedy zrobimy z małymi dziećmi?

Jest dużo takiej ogólnej niepewności dotykającej poczucia bezpieczeństwa.

Również niepewności ekonomicznej i związanej z katastrofą klimatyczną. Kiedy moja córka miała jakieś trzy lata, a ja powoli dobijałam do czterdziestki, to

O czym jest książka „Mięśnie mam od miłości" Pauliny Małochleb

O tym, że kobieta, która jest matką, jest poddawana nieustającej ocenie.

O tym, że do wyrażenia tego, czym jest miłość macierzyńska, braknie słów.

O tym, że rynek nas pożera, kapitalizm karmi się lękami rodziców i świetnie je monetyzuje.

O rozdartym ciele i rozdartym umyśle matki.

O kształcie mięśni, które obejmują ukochaną osobę.

O tym, jak może brzmieć hymn do miłości.

O przejściu od tylko siebie do już nigdy samej siebie.

O kruchości i sile.

O umyśle zanurzonym we własnej fizjologii i o tym, że mężczyzna – nawet najbardziej kochający – może w tym uczestniczyć tylko w sposób zapośredniczony.

O skrajnej zależności młodych matek, które siłą rzeczy są skazane na pomoc innych, i że jest to dla wielu osób okazja do wykorzystania pozycji władzy.

O karzącym i dyscyplinującym spojrzeniu, które ma pokazać kobiecie, gdzie jest jej miejsce.

O utracie prawa własności do swojego ciała.

O tym, że o misterium porodu trzeba walczyć.

O odbieraniu podmiotowości i infantylizacji jako praktyce powszechnej na porodówkach.

O niefrasobliwym okaleczaniu kobiet.

O tym, że z bólu można wykuć tarczę.

O państwie, które wycofało się z obszaru opieki i troski.

O czasie na płakanie w trakcie wieszania prania.

O niemożliwym do pomieszczenia przez system ateizmie.

O niebinarnych pluszakach.

O tym, że praca macierzyńska może być kotwicą w chwili grozy.

O rodzicielskiej torbie, na której dnie jest kubek na kawę utytłany w piasku.

O tym, jak dzieci powoli wyfruwają, a przecież jesteśmy z nimi zrośnięci.

O tęsknocie za ukochanym, z którym razem mieszkasz.

© JUSTYNA DĄBROWSKA

myślałam: przecież ja w ogóle nie wiem, jak będzie wyglądał ten świat za 30 lat, jakie będzie pole jej wyborów życiowych!

Na co mam ją przygotować?

No właśnie. Słyszę te głosy: musimy mieć więcej dzieci, bo kto nam poda szklankę wody. Ja jednak jestem przekonana, że nie będzie świata, w którym projektujemy sobie dzisiaj naszą starość. Nie będzie domów starców ani szklanki wody, tylko jakiś zupełnie inny świat.

I jeszcze wracając do pytania o demografię: kobiety rzadko decydują się mieć dziecko w próżni. Z reguły decydują się mieć to dziecko z kimś. Przestańmy więc pytać: „dlaczego Polki nie chcą rodzić?". Przestańmy alienować i zawstydzać kobiety. Ta rzeczywistość im nie sprzyja.

Wiele kobiet mówi: chcieliśmy mieć dwoje, ale zostaniemy przy jednym.

Taka odpowiedź wynika z nierównego podziału zadań i nierównomiernego rozkładu kosztów pracy opiekuńczej, o których rozmawiałyśmy. Matka jednego dziecka widzi już, w czym wylądowała. I widzi obszary, które się tylko powiększą, bo urodzenie drugiego dziecka to nie jest drugi raz to samo, tylko coś zupełnie nowego.

Jak widzisz, irytuję się w sprawie tego dopytywania kobiet, dlaczego nie chcą mieć dzieci. Czy pensje będą wyrównane, czy urlopy będą współdzielone, to wszystko są kwestie wtórne. Dopóki będziemy musiały tłumaczyć się z tego, że żyjemy – równości żadnej nie będzie. Facet samym swoim urodzeniem zyskuje prawo do życia. Kobieta musi się urodzić po coś.

Czego byś życzyła matkom na Dzień Matki, ojcom na Dzień Ojca i dzieciom na Dzień Dziecka?

Wszystkim bym życzyła, żebyśmy się zgodzili na to, że dzieci są ludźmi. Że wszystkie osoby, które żyją w rodzinie, wymagają i troski, i opieki. I to musi być troska i opieka, która jest budowana na szerszym planie niż tylko plan rodzin dwupokoleniowych. Życzyłabym takich zmian w prawie, które zapewnią wyrównanie pensji i równy podział urlopu rodzicielskiego. Ochrony kobiet, które po macierzyńskim wracają do pracy – nie tylko tych, które są na etatach. Życzę też wszystkim, żeby nie myśleli o dzieciach jak o demografii i statystyce.

> Najgorzej jest z tym wstydem, który wytwarzamy same. Kiedy same zaczynamy zadawać sobie pytanie, czy jestem dobrą matką.

Jeśli kobieta nie będzie chciała być matką, to nie urodzi, choćby nie wiem jakie statystyki ją do tego namawiały.

A w tym kraju robi się dużo, żeby kobietom utrudnić podjęcie tej decyzji. Więc życzyłabym kobietom, żeby prawo je chroniło, żeby się nie bały zachodzić w ciążę i rodzić. Życzyłabym im, żeby miały dostęp do znieczulenia i żeby im w szpitalu nie zagrażała śmierć na sepsę.

Na koniec chcę zapytać o te fragmenty książki, które nazywam lirycznymi. Są napisane z ogromną czułością, ale bez egzaltacji. Jak to zrobiłaś?

Zaczęło się od potrzeby opisania afektów. Szukałam języka, bo myślałam i czułam, że w tym doświadczeniu jest mnóstwo miłości, której nie potrafię opowiedzieć – ani sobie, ani innym. Jednocześnie wydaje mi się, że uczymy się przeżywać miłość do dzieci jako doświadczenie cielesne, ciągle je nosimy na rękach, głaszczemy, kąpiemy, karmimy, przewijamy. Później ocieramy łzy i rozbite kolana, rozplątujemy włosy i prowadzimy za rękę. Ciało w ciało, ciągle razem. Starałam się więc opisać jak najwięcej momentów euforii, wspólnego bycia.

Łatwiej opowiadać negatywne doświadczenia – począwszy od prymitywnego języka wulgaryzmów, skończywszy na wyrafinowanych językach literackich. Ja też się skupiam najpierw na wstydzie i furii. Do tego miałam język. Natomiast doświadczenie miłości wobec dziecka jest literacko słabo opracowane. Literatura tradycyjna opisuje to po prostu jako instynkt.

Instynkt macierzyński nie istnieje.

On jest jakąś metanarracją, która sprawia, że nie potrafimy opowiedzieć uczucia, które się pod nim kryje.

Ty potrafiłaś.

Zależało mi, żeby stworzyć język opisu doświadczenia, z którym może się identyfikować każdy rodzic. Bardzo mi zależało, żeby opowiedzieć o relacjach, a nie opowiadać o jakichś konkretnych – moich – dzieciach. Myślę, że kluczem do tego tekstu jest myślenie o fizyczności ich ciał, o tym, że są osobnymi ludźmi, którzy stoją przede mną w tych swoich drobnych sylwetkach. Wiesz, ostatnio kiedy wieszałam uprany podkoszulek syna, pomyślałam, że jego rękawy są tej długości, co bodziaki, które mu zakładałam 15 lat temu.

I kiedy biorę na ręce inne, nie moje już dzieci, to czuję, jak tego pragnę. Wziąć w objęcia takiego małego człowieka.

No bo mięśnie masz od miłości.

Wciąż potrafię pochwycić to ciało. Podtrzymać je. Ale te wszystkie inne dzieci układają się na mnie jak na obcej osobie. Tylko moje dzieci układają się na mnie jak moje dzieci.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny:
JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego:
EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja:
www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji:
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów:
www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Donald Tusk podczas konferencji prasowej „SAFE – bezpieczna Polska" w zakładach zbrojeniowych PIT-Radwar w Kobyłce pod Warszawą, 27 lutego 2026 r.

MILIARDY BEZ REFLEKSJI

Lubujemy się w sporach o wielkie programy i związane z nimi pieniądze, ale kiedy już dochodzi do ich wydawania, tracimy nagle swoje zainteresowanie. Nie wiemy, czy potężne fundusze z UE inwestujemy z sensem.

MARCIN KĘDZIERSKI

Dyskusje o SAFE i modernizacji sił zbrojnych, Krajowym Planie Odbudowy i innych funduszach unijnych czy wreszcie ogromnych wydatkach na ochronę zdrowia – ujawniają jedną z największych słabości polityki publicznej w Polsce. Rozkręcamy medialne awantury o kilkadziesiąt milionów złotych, jak miało to miejsce w przypadku zakupu jachtów ze środków KPO, podczas gdy wielomiliardowe wydatki umykają kompletnie naszej uwadze.

Zjawisko to jest przejawem szerszej choroby w postaci braku kultury ewaluacji. Planowanie działań idzie nam świetnie, gorzej jest z ich wdrażaniem w życie, ale ze świecą szukać sytuacji, w których ktoś bez żadnego przymusu ze strony Brukseli przeprowadzi rzetelną analizę zebranych danych, a potem dokona oceny skutków wdrażanych programów. Raporty NIK przechodzą bez większego echa, poza tym instytucja ta nie posiada wystarczających zasobów, aby dokonywać kompleksowej oceny wszystkich interwencji publicznych. W efekcie niespecjalnie wiemy, czy osiągamy zamierzone cele i czy publiczne środki są inwestowane w optymalny sposób.

Rzetelne 500 plus

Jednym z nielicznych programów, który doczekał się rzetelnej ewaluacji w ostatnich latach, jest „Rodzina 500 plus" – tyle że wiele mediów wypaczyło przesłanie tej oceny. Podczas gdy rządowy raport, przygotowany już za czasów premiera Donalda Tuska, wskazywał na realizację założonych celów w zakresie mocnego ograniczenia ubóstwa pośród rodzin z dziećmi oraz przynajmniej okresowego wzrostu współczynnika dzietności – wiele nagłówków grzmiało, że wydaliśmy jako państwo ciężkie miliardy bez sensu.

Zarzut rozdawnictwa publicznych pieniędzy przyklejono tam, gdzie akurat dało się wykazać realne, pozytywne efekty podjętej interwencji. Inaczej było w przypadku tzw. tarcz antycovidowych, czyli zwrotnej pomocy państwa dla przedsiębiorców w wysokości przekraczającej wyraźnie 100 mld zł, których spłata została ostatecznie umorzona bez przekonującego uzasadnienia. Odbyło się to nie tylko bez żadnej ewaluacji, ale także bez żadnej debaty publicznej. Tak jakby przedsiębiorcy nie mogli zmarnować otrzymanych pieniędzy, w przeciwieństwie do rodziców małych dzieci.

Problem z oceną publicznych działań (i wydatków) nie dotyczy wyłącznie tzw. ewaluacji *ex post*. W zasadzie nie prowadzimy w Polsce także ewaluacji *ex ante*, czyli wstępnej oceny potencjalnego wpływu, nawet jeśli rząd zobligowany jest przygotować do każdego projektu ustawy kompleksowe uzasadnienie oraz tzw. ocenę skutków regulacji (OSR). Od wielu lat analizuję ze studentami te dokumenty i zachodzę w głowę, co jest większym problemem – czy to, że wiele z nich robionych jest na kolanie, bo trzeba szybko przepchnąć jakąś ustawę, czy raczej to, że niespecjalnie to komukolwiek przeszkadza.

Nie zdziwiłbym się, gdyby nie tylko przeciętny obywatel, ale nawet wielu przedstawicieli środowiska dziennikarskiego nie miało świadomości istnienia takich analiz. Jakby nie interesowało nas, dlaczego rząd podejmuje takie, a nie inne działania, i jakie mają być ich efekty. Zadowalamy się hasłami.

Z czego wynika ten brak kultury ewaluacji? Po pierwsze, jesteśmy wychowywani od maleńkości, że błąd to katastrofa, dlatego w swoim działaniu robimy wszystko, aby go uniknąć. Wystarczy przyjrzeć się szkolnej edukacji, gdzie oceny w praktyce nie weryfikują tego, co wiemy, ale bardziej to, ile popełniliśmy błędów. Co więcej, reakcją na błąd nie jest pytanie „co można w przyszłości zrobić lepiej?", ale prędzej „kto jest winny?".

W efekcie ewaluacja nie tyle służy do usprawnienia procesów, co raczej poszukiwania sprawcy w celu jego ukarania. Trudno się dziwić, że nikt jej nie chce – lubimy co prawda rozliczać innych, ale niespecjalnie lubimy, kiedy ktoś rozlicza nas. W efekcie lepiej nie flirtować z ewaluacją, bo może okazać się mieczem obosiecznym.

Drugi powód jest bardziej „brutalny". Polityka publiczna jest wypadkową gry różnych interesów, nie zawsze prowadzoną w przejrzysty sposób, co sprzyja praktykom korupcyjnym. Niekoniecznie chodzi tu o przekazywanie koperty pod stołem, ale reprezentowanie różnych ról w niejawny sposób. Dla przykładu, nie tak rzadkie są sytuacje, w których urzędnik czy polityk odpowiadający za przygotowanie konkretnego rozwiązania – albo wcześniej, albo później pracuje dla podmiotu, który jest jego beneficjentem.

Ewaluacja mogłaby ujawnić proces tworzenia i wdrażania projektów, a tym samym pomóc nam zrozumieć, kto realnie za nimi stoi i czy przypadkiem nie mamy do czynienia z tzw. mechanizmem obrotowych drzwi, w którym ludzie przenikają pomiędzy polityką i biznesem – w obu kierunkach.

Ile straciliśmy przez OFE

Doskonałym przykładem takiej sytuacji jest historia Otwartych Funduszy Emerytalnych. Choć reforma została wprowadzona przez centroprawicowy rząd AWS, wspierana była przez niemal cały establishment polityczny, którego przedstawiciele obsadzili później rady nadzorcze funduszy. Same opłaty za zarządzanie środkami oraz prowizje, które zostały ustawowo ustalone na horrendalnie wysokim poziomie, przyniosły funduszom (do momentu ograniczenia ich działalności w 2013 r.) prawdziwe eldorado. Według rządowych szacunków było to niemal 20 mld zł, co przy obecnych cenach oznaczałoby kwotę ok. 30 mld. Dodajmy, fundusze mogły zarabiać na obracaniu pozyskanymi od klientów środkami w zasadzie bezkosztowo, a opłaty za zarządzanie były dodatkową wisienką na tym emerytalnym torcie.

Reforma OFE skutkowała również zwiększeniem zadłużenia państwa w relacji do PKB o ok. 15 proc., wedle rządowych wyliczeń z 2013 r. Porównując te liczby ze stratami spowodowanymi przez największe afery III RP, nie znajdziemy chyba takiej, która dorównywałaby reformie OFE. Słynna afera FOZZ z początków transformacji ustrojowej skutkowała stratami (wg obecnych cen) rzędu 2 mld zł.

W przypadku OFE byliśmy co prawda świadkami rządowej miniewaluacji tego programu, ale – podobnie jak przy ewaluacji „Rodzina 500 plus" – opinia publiczna niespecjalnie kupiła przedstawione tam argumenty za likwidacją funduszy. Zresztą, pozytywny sentyment do OFE można wciąż odnaleźć w debatach na temat polityki emerytalnej.

Podobny sentyment towarzyszy funduszom europejskim. W powszechnym mniemaniu setki miliardów złotych z unijnej kasy zmieniły Polskę nie do poznania. Drogi, dworce kolejowe, centra miast, hale sportowe i baseny, instytucje kultury – żyjemy wśród infrastruktury, której zazdroszczą nam w całej Europie. ↦

JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

↦ A dla wielu państw regionu jesteśmy od lat prymusem w zakresie absorpcji unijnych pieniędzy.

Tyle że ocena wydatkowania funduszy strukturalnych ogranicza się niemal wyłącznie do tego, czy pieniądze zostały wydane prawidłowo. Mało kto zadaje sobie pytanie, czy zostały wydane z sensem. Co więcej, projekty realizowane ze środków unijnych były często współfinansowane przez samorządy, to zaś niesie ze sobą konsekwencje.

Po pierwsze, województwa i gminy inwestowały pieniądze głównie w to, co wpisywało się w programy operacyjne determinujące sposób wydawania środków, a niekoniecznie w to, co było naprawdę potrzebne. Po drugie, istniało społeczne oczekiwanie, aby inwestować, czyli w praktyce budować i lać beton, skoro już Unia daje kasę. Mało kto zadawał sobie pytania o koszty utrzymania infrastruktury, więc dziś niektórzy włodarze miast po cichu przeklinają te dobrodziejstwa. Jak wskazywał raport NIK już z 2015 r., w takich miastach jak Częstochowa, Bielsko-Biała, Gdynia czy Zielona Góra koszty utrzymania hal widowisko-sportowych wybudowanych za unijne pieniądze były znacznie wyższe niż zakładano, co wymagało ogromnych dopłat z samorządowego budżetu.

Kłopot w tym, że lekcje z ostatnich 20 lat nie wpływają specjalnie na aktualne strategie wydawania unijnych pieniędzy, co świetnie pokazuje historia KPO.

Urzędnicy na baczność

Co prawda pieniądze z KPO będziemy wydawać jeszcze jakiś czas, ale już dziś warto zadać pytanie, czy program wart łącznie 230 mld PLN (wliczając w to ogromny wkład własny) zostanie wykorzystany w optymalny sposób. Obserwując niektóre wydatki, mam co do tego spore wątpliwości i zastanawiam się, czy w pewnym sensie KPO nie cofnęło nas w rozwoju.

Po pierwszych dwóch latach członkostwa w UE i po wcześniejszym okresie korzystania ze środków przedakcesyjnych, pojawiła się w Polsce refleksja, że nie możemy jako państwo rezygnować z samodzielnego kreowania strategii rozwoju i podporządkowywać się tylko kierunkom wytyczanym przez Brukselę. Efektem była ustawa z 2006 r. o zasadach prowadzenia polityki rozwoju, a jeszcze bardziej jej nowelizacja z 2013 r., wynikająca z wyroków Trybunału Konstytucyjnego w zakresie procedury odwoławczej przy ubieganiu się o unijne środki.

> Lubimy co prawda rozliczać innych, ale niespecjalnie lubimy, kiedy ktoś rozlicza nas. W efekcie lepiej **nie flirtować z ewaluacją, bo może okazać się mieczem obosiecznym.**

Na mocy tej ustawy został stworzony system dokumentów strategicznych, które miały m.in. determinować sposób wydatkowania pieniędzy z Brukseli. Właśnie po to, aby uniknąć błędów z okresu pierwszej unijnej perspektywy na lata 2007-2013, z której Polska skorzystała w całości. Taki był zamysł choćby średniookresowej strategii rozwoju kraju z 2017 r.; stała się ona dokumentem, na widok którego „urzędnicy stawali na baczność". Kiedy jednak nadeszła pandemia covid-19 i pojawiła się pilna potrzeba przygotowania Krajowego Planu Odbudowy, niezbędnego do wydania kilkudziesięciu miliardów euro z unijnego funduszu *Next Generation EU*, to właśnie KPO stało się podstawowym punktem odniesienia dla polskiej administracji. Kwestia racjonalności ustąpiła pytaniu o to, jak i na co można szybko wydać pieniądze.

Nie mamy jeszcze kompleksowego podsumowania KPO (wciąż pozostało kilkanaście miesięcy na domknięcie realizacji projektów). Co prawda istnieje internetowa mapa inwestycji, a ministra funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz opublikowała mikroraport, ale co do zasady nasza publiczna wiedza w tym temacie jest mocno ograniczona. Dodatkowo mam wrażenie, iż niespecjalnie nas ona interesuje. Debatowaliśmy latami nad KPO, kiedy toczyły się polityczne boje, czy środki te ostatecznie trafią do Polski. Kiedy już jednak trafiły, przestaliśmy się w zasadzie nimi zajmować, za wyjątkiem nielicznych afer, jak ta jachtowa.

Po co szkole laptopy

Łączna wartość dofinansowania dla branży hotelarsko-gastronomicznej wyniosła kilkadziesiąt milionów, tymczasem wartość całego programu to aż 230 mld zł. I dlatego warto się zastanowić, czy środki z KPO faktycznie przyczyniają się do rozwiązania systemowych problemów. Kiedy patrzę na wydatki w „moim" obszarze oświaty, mam co do tego spore wątpliwości. 2 mld zł na dofinansowanie zakupu laptopów dla nauczycieli lub wyposażenie 100 tys. klas w narzędzia do nauki zdalnej nijak nie odpowiadają na realne problemy polskiej szkoły, np. kwestie starzenia się nauczycieli i ich wypalenia zawodowego czy też pogarszającego się stanu psychicznego dzieci i młodzieży.

Oczywiście trudno oczekiwać, aby taka kwota zmieniła obraz polskiej szkoły, niemniej wydaje się, że istnieje wiele sposobów (szkolenia dla nauczycieli, eksperymenty edukacyjne) na lepsze wydanie tych pieniędzy, niż *de facto* przelanie ich na konto producentów sprzętu IT. Nie mam jednak złudzeń, czy w ewaluacji KPO ktoś zapyta o sensowność poniesionych nakładów. Będziemy rozliczać rządzących wyłącznie z tego, ile wydali i czy przypadkiem coś nie przepadło. Zamiast skupić się na rzetelnej ewaluacji i wyciągnięciu wniosków, skończymy z polowaniem na czarownice i szukaniem winnych, dlaczego nie udało się wszystkiego zagospodarować.

Pomijam już fakt, że dopłacanie nauczycielom do zakupu laptopów może być kolejnym przyczynkiem do budowania niechęci ze strony rodziców. Część z nich może zadać pytanie, dlaczego państwo dorzuca się do sprzętu dla belfrów, którego ci ostatni często nie wykorzystują w pracy.

Ten ostatni problem jest dużo poważniejszy w przypadku lekarzy. Publiczne wydatki na system ochrony zdrowia w ciągu ostatniej dekady, po uwzględnieniu inflacji, wzrosły dwukrotnie do ponad 200 mld zł rocznie. Jednocześnie nie mam wrażenia, aby pacjenci odczuli dwukrotną poprawę jakości czy dostępności świadczonych usług. Wręcz przeciwnie, w niektórych przypadkach jest gorzej, gdy się np. spojrzy na terminy wybranych badań specjalistycznych. Mam pełną świadomość, że usługi publiczne to nie przemysł, a zwiększenie nakładów nie przekłada się automatycznie na analogiczny „wzrost produkcji", nie zmienia to jednak faktu, że w społecznej świadomości głównym efektem zwiększenia nakładów jest finansowanie lekarskich for-

tun (choć trzeba mieć też świadomość rosnących kosztów różnych procedur medycznych).

Bez kompleksowej ewaluacji wydatków zdrowotnych nie tylko nie będzie publicznej zgody na kolejny wzrost nakładów, ale nie będziemy mieć też żadnej gwarancji, że dodatkowe pieniądze faktycznie przyczynią się do poprawy jakości i dostępności usług.

Czołgi czy drony

Gęsta mgła spowija również dyskusję o wydatkach zbrojeniowych. Ze względu na wrażliwy charakter części informacji opinia publiczna nie może wiedzieć tu o wszystkim; byłoby jednak dobrze, gdyby wiedziała cokolwiek ponad to, że musimy kupować uzbrojenie. Nie wiemy, co dokładnie jest w dokumentach podpisywanych jeszcze za czasów ministra obrony Mariusza Błaszczaka czy to w Korei Południowej, czy w USA. Aktualne kierownictwo resortu obrony co prawda twierdzi, że porządkuje bałagan po poprzednikach, ale znowu niespecjalnie wiemy, jakie są wyniki tego procesu. Tymczasem już ruszamy z wydatkowaniem środków z unijnego programu SAFE – to kolejne 43 mld euro, czyli prawie 200 mld PLN.

Dostępna jest co prawda lista projektów, ale znowu – przeciętny odbiorca nie wie, dlaczego inwestujemy akurat w te rzeczy. Wystarczy odwołać się do pytania, które nurtuje sporą liczbę rodaków: po co nam kosztowne czołgi, śmigłowce i myśliwce, skoro niespecjalnie odpowiadają na zagrożenia atakiem dronów czy akty dywersji. Marzy mi się nie tylko logiczne uzasadnienie takich właśnie zakupów, ale też analiza długofalowych skutków dla budżetu państwa, bo przecież koszt zbrojeń nie ogranicza się do samego zakupu, ale obejmuje też późniejsze utrzymanie.

Nie trzeba być prorokiem, by zgadnąć, że prawdopodobnie skończy się jak zawsze – wydamy ciężkie miliardy bez publicznej refleksji, i nie da się wykluczyć, że w ramach tego procesu niektóre grupy interesu skorzystają z informacyjnej mgły, aby uszczknąć pokaźną rentę. Wtedy to opinii publicznej rzuci się na pożarcie jakieś „jachty" za kilkadziesiąt milionów, aby nikt nie zadał pytań o naprawdę wielkie pieniądze.

© MARCIN KĘDZIERSKI

Powyżej: Siostra Eliza z Filipem i Kacprem.
Poniżej: Siostra Paula z Danielem i Jarkiem. Broniszewice, sierpień 2025 r.

KRZYSZTOF SZUKLSKI / DOM CHŁOPAKÓW W BRONISZEWICACH X2

Zostawmy ludziom wybór

SIOSTRY TYMOTEUSZA GIL I ELIZA MYK,
DOMINIKANKI Z DOMU CHŁOPAKÓW W BRONISZEWICACH:

SPOŁECZEŃSTWO | Jeden z naszych chłopców powiedział: „Czy ja mogę kiedyś pojechać do tej pani minister, która chce wygasić nasz dom, i z nią porozmawiać?".

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Siostry poczuły się chyba dotknięte.

TYMOTEUSZA GIL: Ja się po ostatnim tekście „Tygodnika" tak poczułam: uważam, że ten wywiad [z ekspertkami Anną Krawczak i Beatą Potocką, zawierający m.in. poparcie dla rządowej idei wygaszania DPS-ów dla dzieci – red.] zawierał krzywdzące dla nas stwierdzenia. Jednak to nie o nasze odczucia chodzi.

Wrócimy do tego. A pytam o emocje, bo dostałem od Siostry emocjonalną wiadomość, o 1.30 w nocy.

↦

↦ **TG:** Emocje to pan dopiero zobaczy (*śmiech*), tu były rzeczowe refleksje.

Ale nie boimy się żadnych pytań.

Zacznijmy od tematu, z którym do Was przyjechałem: czym jest rodzina. Jakie macie wspomnienia z dzieciństwa?

ELIZA MYK: Miałam kochających rodziców, ale też widziałam ich trud wychowania, w związku z czym zawsze kojarzyło mi się z morderczym wysiłkiem. Jako nastolatka byłam też zbuntowana – i sądziłam, że jako matka w podobnej sytuacji mogłabym nie dać rady.

TG: Też wychowałam się w kochającej rodzinie. Jako dziecko byłam rozpieszczana.

Kierujecie znanym DPS-em dla chłopców i mężczyzn. Mówicie o sobie: matki.

EM: Nie tyle my, co dzieci. Mogą wybrać, kogo będą tak u nas nazywać. Przy czym musi pan wiedzieć, że dla nich słowo „mama" niekoniecznie jest najpiękniejszym słowem świata.

Dlaczego?

EM: Jeden z naszych chłopców, jak każdy posiadający opiekunkę prawną, na którą mówi „mama", spytał: „A jak ja mam odróżnić tamtą mamę od tej?". W końcu wpadł na pomysł: tamta to będzie „matka", ta „mama".

Oni nie chcą pielęgnować swoich krzywd, ale czasami nie da się nie pamiętać. Bo jak zapomnieć zrzucenie ze schodów zakończone otwartym złamaniem, po którym rodzic nie udzielił dziecku pomocy? Jak wymazać z pamięci „wyjście" matki z domu na trzy dni, w czasie których było się zamkniętym w kabinie prysznicowej, by można było załatwić swoje potrzeby i się napić?

TG: Wie pan, zawsze powtarzałam zdanie: „Rodzina jest największym dobrem". Odkąd pracuję w Broniszewicach, zmieniłam je na: „Rodzina powinna być największym dobrem".

Opowiedzmy o Jarku.

TG: Jest tam [siostra wskazuje na fotografię na półce – red.]. Jarek dba o to, by co jakiś czas w widocznym miejscu pojawiło się nasze nowe zdjęcie.

Jarek ma 21 lat, mieszka z nami, a ja jestem jego prawną opiekunką. Mamą.

EM: Podobnie jak Filip, mój synek. Obaj pilnują, czy aby nie usunęłyśmy ich ze swoich tapet [siostra pokazuje zdjęcie w telefonie – red.].

Co Was formalnie łączy z Jarkiem i Filipem?

TG: Opieka prawna, ale ja się naprawdę czuję jak mama. I nie chodzi mi wyłącznie o momenty piękne, ale i te trudne. Nie mogę opowiedzieć dokładnie jego historii, ale zapewniam, że jest nad czym płakać.

Kiedyś przyjechał do nas fajny dziennikarz, który jednak rzucił do Jarka nieostrożnie żartem: „Mam syna w twoim wieku, może pojedziesz ze mną?". Jarek złapał się mojego habitu: „Nie pozwól mnie zabrać!".

EM: Jak Jarek do nas przyjechał, próbowaliśmy go od razu – jak innych – wprowadzić do normalnego, codziennego życia. Zaprosiłam go na przejażdżkę. Wsiadł, cieszył się, a gdy zapięliśmy pasy, nagle w płacz: „Ja na pewno tutaj wrócę?". Przejażdżka samochodem kojarzyła mu się z próbą kolejnego porzucenia.

To, co opowiadacie, to sceny z życia rodziny. Ale DPS to nie rodzina.

EM: Co ma pan na myśli?

Relacje. Opiekunki, które zatrudniacie, mają ośmiogodzinne dyżury. Matki i ojcowie ich nie mają, a dziecko może do nich przyjść w nocy z bólem brzucha.

TG: Przyjmujemy to, zgoda. I mówiłyśmy to często: jesteśmy całym sercem za tym, by dzieci były w rodzinach. Tylko że tak nie jest. Co więcej: nie wierzymy, że tak będzie – jak twierdzi rząd – od stycznia 2027 roku, gdy może wejść w życie szykowana nowelizacja prawa.

EM: Ja powiem inaczej. Nie wierzę, by kiedykolwiek wszystkie dzieci z ciężkimi niepełnosprawnościami i chorobami miały rodziny. Bywa tak, że stała obecność takiego dziecka w rodzinie może być nie do udźwignięcia.

Może i nie musi, dodałoby wiele osób. I nie chodzi mi o teoretyków, tylko właśnie rodziców – biologicznych, adopcyjnych, zastępczych – wychowujących przez lata dzieci z najcięższymi niepełnosprawnościami i chorobami. Bez męczeństwa, z radością.

TG: Zapewne raz jest tak, innym razem inaczej. Problem w tym, że rządowy projekt nowelizacji ustawy nie daje rodzinom podstawowej rzeczy: możliwości wyboru. Wygaszamy od 2027 r. domy pomocy społecznej dla dzieci, nie dając rodzinom za wiele w zamian. Ja jestem za stopniowym wygaszaniem DPS-ów, ale wedle innej zasady. Niech ten system pokaże, że jest tak wydolny, tak dobry, tak wyposażony w rodziny zastępcze i adopcyjne, że domy pomocy społecznej same się wygaszą.

A w tej nowelizacji jest odwrotnie: wygaszamy DPS-y, a później zobaczymy, co z tego będzie. Proszę pamiętać, że nasi chłopcy pochodzą nie tylko z przemocowych rodzin, ale też z takich, w których matka i ojciec po prostu nie poradzili sobie z opieką nad ciężko niepełnosprawnym lub chorym dzieckiem. Od kilku tygodni tacy rodzice dzwonią do nas i błagają: przyjmijcie nasze dziecko przed styczniem 2027 roku.

Skąd pewność, że od 1 stycznia 2027 znajdziemy miejsca w rodzinach zastępczych i adopcyjnych?

W DPS-ach jest 900 dzieci. Z każdym kolejnym rokiem nowych byłoby ok. 50 w całej Polsce. Naprawdę Siostry uważają, że ten system nie jest w stanie znaleźć kilkunastu nowych rodzin zastępczych w skali roku?

TG: Tyle że ten system jest już teraz niewydolny, czego dowodem jest fakt, że ponad tysiąc dzieci czeka na realizację wyroków sądów o zabezpieczeniu. Skoro do tej pory Polska nie dawała rady, dlaczego teraz ma dać?

Rząd wzmacnia rodziny zastępcze specjalistyczne, przygotowane do opieki nad dziećmi z niepełnosprawnościami. Wprowadza też instytucję rodziny opiekuńczej, w której będą mogli przebywać dorośli już ludzie, będący wcześniej dziećmi w rodzinie zastępczej.

TG: Widzę, że jest pan zwolennikiem proponowanych zmian.

Zwolennikiem idei wygaszania DPS-ów, niekoniecznie tak, jak chce rząd.

Ja wolałabym najpierw zobaczyć efekty tych działań. Poza tym powtórzę: niech DPS-y wygasną samoistnie. Niech samo-

JAKUB NOWICKI / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA WAM

SIOSTRY TYMOTEUSZA GIL (po prawej) i **ELIZA MYK** (po lewej) są dominikankami, mieszkają w Broniszewicach k. Poznania, od lat zaangażowane są w pomoc osobom z niepełnosprawnościami, głównie dzieciom. Wspólnie z Piotrem Żyłką i Łukaszem Wojtusikiem autorki, a także bohaterki wydanej przez WAM książki „Siostry z Broniszewic. Czuły Kościół odważnych kobiet".

rządy uznają, że te DPS-y są im niepotrzebne.

To tak nie działa: niektóre gminy utrzymują DPS-y, bo są dla nich wygodne: do kontrolowania etatów, wzmacniania władzy poprzez zatrudnianie pociotków i „znajomych królika". A rodzin zastępczych nie pozyskują, bo to dla nich kłopot. Więc DPS-y nigdy się nie wygaszą, jeśli im nie pomożemy.

TG: To niech pan mi wytłumaczy: jak to możliwe, że zmusza się dziecięce DPS-y do stopniowego wygaszania, a już domów dziecka, Zakładów Opiekuńczo-Leczniczych, które przecież też są całodobowymi placówkami, już nie?

Też tego nie rozumiem. Za to rozumiem – i tu pewnie się zgodzimy – rodziny z ciężko niepełnosprawnymi dziećmi, które mówią rządowi: chcecie, byśmy przestali myśleć o DPS-ie? Dajcie nam wsparcie.

TG: Czujemy się ambasadorkami tych rodzin, przyjeżdżają do nas regularnie. Niektórzy już na etapie badań prenatalnych dowiadują się, że dziecko będzie miało wadę. Potem z wielkim poświęceniem wychowują to dziecko. Bez wsparcia. A po latach przyjeżdżają do nas.

EM: Bywają straszeni przez lekarzy, że jeśli urodzą, to na nich spocznie odpowiedzialność za cierpienie dziecka. Żyją z podwójnym bagażem.

Wspieracie rodziny, ale dlaczego – że powrócę do obiecanego wątku – nie sprzyjacie adopcjom dzieci z Waszego domu?

TG: Sprzyjamy.

Ile Waszych dzieci zostało adoptowanych?

TG: Z Broniszewic żadne. Z drugiego naszego domu – dwie dziewczynki i chłopiec.

Jak to możliwe, skoro pojawiają się rodziny, które mówią: „Chcieliśmy adoptować chłopca z Broniszewic, nie udało się"? Sam rozmawiałem z dwiema takimi rodzinami.

TG: Nie jestem w stanie tego skomentować, bo musiałabym znać szczegóły tych historii. Ale mogę panu powiedzieć, że niektóre prośby o przyjazd do nas i widzenie z dziećmi traktujemy co najmniej z nieufnością – dla dobra dzieci.

Nie mówiłyśmy o tym publicznie, ale może warto tę „czarną anegdotę" przytoczyć. Otrzymałam kilka lat temu wiadomość od pani, która powiedziała, że przyjedzie pod nasz dom. Nic nie wspomniała o adopcji dziecka, chciała tylko zabrać je na święta, i poprosiła o... przyprowadzenie chłopca pod bramę. Taki poziom dyskwalifikuje dalsze rozmowy.

Też przytoczę historię. Pani Magdalena, mama adopcyjna dwójki, po materiale telewizyjnym o Waszym domu zadzwoniła do PCPR w Pleszewie zapytać o konkretne dzieci. Urzędnicy na to, że aby uzyskać zgodę na widzenie, trzeba dzwonić do Sióstr. „Ale proszę sobie nie robić nadziei, bo nie jest pani pierwsza" – mieli usłyszeć ci rodzice, z wyraźną sugestią, że kontakty zmierzające do adopcji dzieci Siostry ucinają w zarodku. Pani Magdalena twierdzi, że chciała się z Siostrami umówić wielokrotnie. Bez skutku.

TG: Nie rozumiem, dlaczego ta pani tu po prostu nie przyjechała. Przecież u nas jest mnóstwo ludzi, ponad 70 pracowników, 40 wolontariuszy. Poza tym takie próby spotkań, jak tej pani, to nie jest standardowa procedura. Standardowa kolejność postępowania zakłada zakwalifikowanie dziecka do adopcji, a później wyznaczenie przez ośrodek adopcyjny kandydatów na rodziców, którzy wówczas mogliby do nas przyjechać i zobaczyć dziecko.

Uważam za krzywdzące twierdzenia tego typu. Tym bardziej że nie możemy ze względu na dobro mieszkańców się bronić, bo musiałybyśmy ujawnić szczegóły ich sytuacji, stanu zdrowia. Zapewniam, że nie jesteśmy adopcjom przeciwne i podziwiamy rodziny adopcyjne.

DPS dla dzieci nie ma obowiązku udzielać informacji ani szukać rodzin, gdy nie ruszyła jeszcze procedura adopcyjna. Ale może być placówką przychylną dla potencjalnych rodzin. Cechy tej przychylności to – jak powiedziała mi jedna z ekspertek – otwartość placówki, czyli sprzyjanie sytuacji, że ludzie mogą do niej wejść. Po drugie, taka instytucja może szukać rodzin dla konkretnych dzieci za pośrednictwem mediów. Po trzecie, kiedy mają jakąś potencjalną rodzinę, chętnie i szybko się z nią spotykają.

EM: Ale my nie jesteśmy instytucją uczestniczącą bezpośrednio w adopcjach! I jeszcze jedno: nasze dzieci – jak pan już wie – bardzo dużo przeszły, także jeśli idzie o obecność w rodzinach, które sobie z nimi nie poradziły. Jak pan sobie tę otwartość wyobraża: że będziemy ↦

↦ wpuszczać tutaj każdego, i mówić: „O, a oto X, który w domu doświadczył przemocy?”. Nie, takich rzeczy nie będziemy robiły nigdy.

Nigdy też nie powiemy, że dziecko powinno trafić do rodziny – np. zastępczej – za wszelką cenę. Z prostego powodu: my drogę naszych chłopców znamy i wiemy, że jesteśmy zwykle dla nich ostatnim ogniwem.

Widzę sprzeczność: z jednej strony bronicie się, że nie musicie uczestniczyć w adopcjach, z drugiej twierdzicie, że te adopcje i tak nie mają w takim jak Wasz dom zastosowania – nie dla „takich dzieci”.

EM: Bo znamy ich historie. Np. dziecko było porzucane w szpitalu, później trafiało do jednej rodziny zastępczej, drugiej, a wobec braku szansy na adopcję – trafiło do nas. My jesteśmy domem do zadań specjalnych: jesteśmy dla nich rodziną. DPS-y mają opinię placówek, w których nie nawiązuje się więzi. A chłopcy, którzy do nas trafiają, są od początku kochani!

Powtórzę: to inny rodzaj relacji. I inny styl życia. Chłopcy mają poza DPS-em znajomych?

EM: Mają.

Należą do kółek, klubów, zespołów?

EM: Niektórzy tak.

Mają szansę w wieku starszonastoletnim, dorosłym na realizowanie potrzeb romantycznych i seksualnych?

TG: I tutaj pojawia się problem...

Problem?

TG: Relacje romantyczne są realizowane w szkole, w kontaktach z innymi DPS-ami. Każda z sytuacji jest inna, konsultowana ze specjalistami.

> Niech ten system pokaże, że jest tak wydolny, tak dobry, tak wyposażony w rodziny zastępcze i adopcyjne, że **domy pomocy społecznej same się wygaszą.**

EM: My jesteśmy katolickim domem i uważamy, że seksualność ludzka powinna być ukierunkowana na potrzeby rodzicielstwa, a nie na potrzeby przyjemności, dlatego tej seksualności nie rozbudzamy. Bo to rozbudzenie powinno potem służyć rodzicielstwu.

A my wiemy, że oni tymi rodzicami nie zostaną.

Rozumiem, że w katolickim DPS-ie nie wolno nie być katolikiem?

EM: Rzeczywiście nie mamy niewierzących, to się jeszcze nie zdarzyło, ale kwestia wiary jest sprawą indywidualną. Próbujemy wychowywać chłopców w duchu katolickim.

TG: Pan tak pyta, jakby rodzina nie miała wpływu na wychowanie dziecka. Ma, i my też mamy. Natomiast chłopcy nie muszą chodzić do kościoła.

Napisały Siostry kilka tygodni temu głośny post w mediach społecznościowych, sprzeciwiając się rządowej nowelizacji. I co dalej?

EM: Sprzeciwiamy się tylko jednemu zapisowi: o niekierowaniu dzieci do DPS-u, a nie całej ustawie. Nie możemy mieć żadnych planów, bo nie wiemy, czy ta nowelizacja wejdzie w życie. Poza tym, że jeśli wejdzie, to będziemy nasz dom wygaszać.

A może by Siostry chciały zostać rodziną zastępczą?

TG: Na pewno będziemy szukać rozwiązań. Ja osobiście martwię się o Jarka, ma już ponad 20 lat. Co z nim się stanie, gdy umrę?

To dotyczy każdej rodziny z niepełnosprawnymi dziećmi.

EM: To prawda, a będzie dotyczyć jeszcze bardziej. Bo ci umierający rodzice nie będą mogli poprosić nas o wsparcie i przyjęcie dziecka. Będzie trafiało do DPS-u dla dorosłych.

Albo do mieszkania chronionego. Albo rodzin zastępczych.

EM: Oby takie były. Ale nawet jeśli będą, to nie dla wszystkich dzieci z niepełnosprawnościami. Byłam raz na wyjeździe z dwoma chłopcami, którzy mieli same złe doświadczenia z rodzinami. Nagle pytają: „A co to się dzieje, że ten nasz dom tak często w telewizji pokazują?”. My mówimy: do naszego domu już nie będą trafiać dzieci. Jeden z chłopców pyta: „To gdzie będą szły?”. Na naszą odpowiedź, że do rodzin zastępczych, obaj się obruszyli: „Do rodzin? Myśmy już tam byli!”. I jeszcze: „Czy ja mogę kiedyś pojechać do tej pani minister, która to wymyśliła, i z nią porozmawiać?”. Odpowiadamy, że musiałby być chyba pełnoletni. Więc on twardo, że poczeka, aż skończy 18 lat. Później spytał: „A czy dzieci w ogóle mają coś do powiedzenia, gdzie chcą być?”. Zszokował nas.

Dzieci kierowanych przez sądy z automatu do DPS-ów też nikt nie pyta, czy chcą tam iść. Często nie szuka się też dla nich rodzin, „bo i tak się nie uda”. Efekt: jakiejś części spośród tych 900 dzieci w DPS-ie rujnuje się życie.

TG: Powtórzę: nie jesteśmy przeciw rodzinom. Mamy fundację, która je wspiera. Chcemy po prostu, by rodzice i dzieci mieli wybór, i by system pomocy społecznej nie został pozbawiony elementu, który powinien być ostatecznością, ale to nie oznacza, że jest zbędny.

No i chcemy nadal być dla tych, których wybór padnie właśnie na nasz dom.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu w I Wydziale Cywilnym toczy się pod sygnaturą akt I Ns 670/17 postępowanie z wniosku PROTEGAT 1 Niestandaryzowanego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego Wierzytelności w Krakowie z udziałem Mikołaja Trzaski, Tarnobrzeskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Tarnobrzegu, Bożeny Szymańskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Stanisławie Trzasce, s. Mieczysława i Zofii, zmarłym w dniu 8 stycznia 2015 r. w Tarnobrzegu, w jego ostatnim miejscu zwykłego pobytu.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Siła nauki

ANNA GOC

PROTEST | Młody doktor w Barcelonie może zarabiać więcej niż profesor na najwyższym szczeblu kariery w Warszawie. Polscy naukowcy mówią głośne „Nie!”.

ARCHIWUM PRYWATNE

Od lewej: prof. Łukasz Okruszek, prof. Agata Starosta i prof. Michał Tomza, współorganizatorzy protestu „3% dla nauki, 100% dla Polski”

Jak się żyje polskim naukowcom? – zapytałam troje współorganizatorów protestu „3% dla nauki, 100% dla Polski”.

Od grantu do grantu

Prof. Agata Starosta, biolożka molekularna, kierowniczka Pracowni Translatomiki Instytutu Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk, wróciła do Polski w 2017 r., po czternastu latach pracy na zagranicznych uczelniach. Fundacja na rzecz Nauki Polskiej oferowała wtedy programy zachęcające polskich naukowców do powrotu do kraju. Starosta zdobyła grant First Team, który zapewniał środki na założenie zespołu badawczego.

– Dość szybko udało mi się zrekrutować zespół. Dostaliśmy pomieszczenie na laboratorium na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Zamówiłam potrzebny sprzęt i właściwie mogliśmy ruszać z badaniami – opowiada. – Na starcie pokonało nas jednak prawo zamówień publicznych. Jeśli na uniwersytetach w Niemczech czy w Wielkiej Brytanii podobne zamówienia były realizowane w kilka dni, w Polsce czekaliśmy prawie pół roku.

I dodaje, że tym, co najbardziej utrudnia rozwój naukowy, jest niepewność zatrudnienia. – Przez cały okres doktoratu na niemieckiej uczelni byłam zatrudniona na umowę o pracę. Miałam prawo do urlopu czy zwolnienia lekarskiego, a po skończeniu studiów: zasiłku dla bezrobotnych – mówi. – W Polsce też dostałam pracę na uniwersytecie, ale na czas określony, dokładnie na tyle, ile trwał mój grant. Wielu z nas żyje od grantu do grantu. O tym, jak trudna to rzeczywistość, świadczą statystyki – dofinansowanie dostaje jeden wniosek na dziesięć.

W poszukiwaniu stabilności

Prof. Łukasz Okruszek, psycholog i kierownik Pracowni Neuronauki Społecznej Instytutu Psychologii Polskiej Akademii Nauk, przewodniczący Rady Naukowej IP PAN, zawsze wiedział, że praca w nauce musi być fascynująca. A gdy odkrył, że neuropsychologia pozwala łączyć badanie mózgu z badaniem zachowania ludzi, oczy mu się zaświeciły z zachwytu.

Skończył matematykę na Politechnice Łódzkiej, a później psychologię na Uniwersytecie Łódzkim. Doktorat i habilitację z psychologii zrobił na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego.

– Dostałem się na doktorat i pomyślałem: wow, robię to, co chciałem, i jestem w miejscu, w którym chciałem. Nie mam tylko z czego się utrzymać. Na pierwszym roku zabrakło mi kilku punktów do stypendium, pracowałem więc dorywczo i dojeżdżałem na zajęcia z Łodzi do Warszawy. Jednocześnie robiłem badania, pisałem artykuły naukowe i wnioski o granty – opowiada. – Po pierwszym roku dostałem stypendium i zdobyłem grant Narodowego Centrum Nauki. Dzięki temu przez kolejne trzy lata miałem za co żyć.

Na ostatnim roku doktoratu wyjechał na półroczny staż do King’s College London. Wtedy pojawiła się oferta pracy dla asystenta w Instytucie Psychologii PAN. – Nie zdarza się, by miesiąc przed obroną doktoratu dostać etatową pracę w instytucie badawczym – mówi. – Natychmiast kupiłem bilety i przyleciałem na rozmowę kwalifikacyjną. Wygrałem konkurs, więc radość. A potem dostałem pierwszą wypłatę, dokładnie: 1611 zł. Tak więc przez pierwsze dwa miesiące pracowałem, żeby zwróciły mi się bilety powrotne, które kupiłem wcześniej.

W swoich badaniach zajął się m.in. zmianami w mózgu pod wpływem samotności. Zdobywał kolejne granty, a za pracę naukową był wyróżniany, m.in. nagrodą Prezesa PAN. – Wydawało się, że mam stabilność, a dzięki kolejnym grantom mogę oferować pracę młodym naukowcom, dla których zatrudnienie w ramach grantu jest atrakcyjniejsze niż stypendium doktorskie. I nagle dowiedzieliśmy się, że dyrekcja naszego instytutu nie ma pewności, czy będą pieniądze na nasze pensje – mówi prof. Okruszek.

Nie walczymy o profesorów

Prof. Michał Tomza, fizyk kwantowy, kierownik grupy badawczej Kwantowych Układów Molekularnych na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego, a także laureat kilkunastu wyróżnień i nagród: – Gdy pani zapytała, jak nam się żyje jako naukowcom w Polsce, przeliczyłem sobie i porównałem, ile zarabiałem dziesięć lat temu jako młody doktor na uniwersytecie w Barcelonie, z tym, ile zarabiam dzisiaj jako profesor tytularny na najwyższym możliwym szczeblu kariery w Warszawie. I wyszło mi, że moja pensja ↦

jako doktora w Hiszpanii była zauważalnie wyższa – mówi.

I od razu dodaje: – Nie jest to jednak protest, w którym chcemy zawalczyć o takich jak my – profesorów. My już sobie poradzimy. Młodzi naukowcy: doktoranci, doktorzy i adiunkci są w sytuacji, w której trudno żyć, wybierając naukę.

Prof. Okruszek precyzuje: adiunkt z tytułem doktora zarabia brutto 7044,5 zł. Minimalna pensja doktora na stanowisku asystenta to 4825 zł brutto. O 19 zł więcej od minimalnego wynagrodzenia.

Czy doktorant może chorować?

„3% dla nauki, 100% dla Polski. Petycja o zwiększenie nakładów na naukę" – pod tym dokumentem podpisało się blisko 20 tys. osób. A na stronie internetowej 3procentnanauke.pl wciąż pojawiają się krótkie filmy, które nagrywają naukowcy z całej Polski – by powiedzieć, czym się zajmują, czego im brakuje i wesprzeć protest. „Nazywam się Karolina Ćwiek-Rogalska i pracuję w Instytucie Slawistyki Polskiej Akademii Nauk". „Cześć, nazywam się Tomasz Zajkowski, jestem adiunktem na Wydziale Technologii Kosmicznych AGH". „Dzień dobry, nazywam się Maciej Juzaszek i jestem teoretykiem prawa na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach".

Postulaty są trzy i jak podkreślają organizatorzy protestu, są to postulaty podstawowe. – Pierwsze dwa dotyczą sytuacji finansowej pracowników, którzy, by mogli dalej rozwijać polską naukę, muszą mieć za co żyć – mówi prof. Okruszek. – Jeśli stypendia w szkołach doktorskich wynoszą nieco ponad 3 tys. zł miesięcznie, to czy naprawdę zdjęliśmy z doktorantów konieczność dorabiania? I za tę kwotę mogą poświęcić się pracy naukowej?

Opowiada, że przyjechał na nasze spotkanie po całym dniu pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim. Coraz trudniej mu o takie zajęcia, by ktoś ze studentów nie zapytał, czy może wyjść wcześniej, bo musi zdążyć do pracy. Albo uprzedził, że się spóźni, bo nie mógł wziąć innej zmiany. – Z danych wynika, że 60 proc. studentów musi pracować, bo inaczej nie mieliby szans utrzymać się na studiach – mówi.

– Za trzy tysiące trudno wynająć nawet mikrokawalerkę w Warszawie. Nie wspominając o zdolności kredytowej. Doktoranci są grupą wyłączoną z polskiego prawa pracy przez sprytny myk w postaci umowy stypendialnej, dzięki czemu państwo płaci im niecałe trzy czwarte pensji minimalnej – dodaje prof. Starosta. – A przecież to osoby, które wkraczają w dorosłość i jak większość z nas chcą założyć rodzinę, kupić lub wynająć mieszkanie, ustabilizować się. Jeśli wybierają rozwój naukowy i pracę badawczą, są często tych podstawowych możliwości pozbawione.

> Minimalna pensja doktora na stanowisku asystenta to 4825 zł brutto. **O 19 zł więcej od minimalnego wynagrodzenia.**

Organizatorzy protestu podkreślają, że wielu młodych naukowców zwraca też uwagę na to, co się dzieje, gdy ich sytuacja zdrowotna lub rodzinna się pogarsza. – W kilku rolkach, które dostaliśmy w ramach akcji protestacyjnej, młodzi naukowcy przyznają, że cierpią na choroby przewlekłe, jednak jako doktoranci nie mają prawa do zwolnienia lekarskiego – mówi prof. Okruszek. – Jeśli doktorant ma problemy zdrowotne albo rodzinne, nie może pójść do pracodawcy i zapytać o podwyżkę. Uczelnia nie ma modelu wsparcia, które daje praca etatowa i umowa społeczna, jaką podejmujemy z pracodawcą i która powinna być źródłem stabilności w życiu.

W obecnej sytuacji doktoranci najczęściej szukają wsparcia w rodzinie, nierzadko też są zmuszeni porzucić studia i szukać innej pracy.

Głównie badania podstawowe

Trzeci postulat dotyczy samych badań naukowych. Powołując się m.in. na raport „Innovation Rising 2026" Banku Światowego, organizatorzy protestu wskazują, że nie da się podnieść innowacyjności kraju bez zwiększenia nakładów na NCN.

– Dzisiaj wydajemy na naukę 1,41 PKB, podczas gdy średnia europejska wynosi 2,2 proc., a liderzy wydają ponad 3 proc. PKB – mówi prof. Okruszek.

Prof. Starosta: – W Polsce finansuje się głównie badania podstawowe, dzięki którym zdobywamy podstawową wiedzę. Nie ma jednak pieniędzy na finansowanie badań aplikacyjnych, czyli takich, gdzie mamy pomysł i w ramach grantu próbujemy przetestować, czy ten pomysł jest dobry. Dzięki takim badaniom możemy próbować udoskonalać wynalazki i technologie – podkreśla. – Brakuje nam też finansowania projektów ryzykownych, czyli takich, w których niekoniecznie musi nam wyjść to, co założyliśmy.

Protestujący chcieliby, żeby NCN miało szansę zrealizować cele zapisane m.in. w Strategii Rozwoju Polski do 2035. Dlatego wnioskują o dodatkowy miliard złotych dla Centrum.

– Osób, które chcą pracować jako naukowcy, wciąż jest sporo. Większość z nich rezygnuje nie dlatego, że nie ma pomysłu ani ambicji, odchodzą z powodu niewielkiego finansowania i źle zorganizowanego systemu – mówi prof. Tomza. – Każdy z nas ma wśród przyjaciół byłych naukowców, którzy w pewnym momencie rzucili papierami i wyjechali za granicę, albo zaczęli pracę w biznesie. Ze statystki grantów europejskich jasno wynika, że więcej osób z polskimi paszportami dostaje granty za granicą niż w kraju.

Jak w dniu świstaka

Protest, zaplanowany na 27 maja, poparły m.in. Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Prezydium PAN, Krajowa Reprezentacja Doktorantów, Prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Akademia Młodych Uczonych PAN. Łącznie ponad 20 instytucji i gremiów. Jednak Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego broni się twierdząc, że nie ma pieniędzy.

– Ministerstwo jest nieudolne także w innych obszarach, co obserwowaliśmy choćby przy okazji dyskusji o ewaluacji czasopism naukowych i tego, jak ówczesny minister Przemysław Czarnek manipulował i dorzucał punkty do wybranych czasopism – mówi prof. Tomza.

Prof. Okruszek: – Czujemy się jak w przysłowiowym dniu świstaka. Wracamy do rozmów, które już przecież nie raz, na różnego typu komisjach sejmowych, odbyliśmy.

Prof. Starosta: – I niezależnie od tego, jaki mamy rząd, na rozmowach się kończy. Spotykamy się, dyskutujemy i czasem robimy sobie jeszcze wspólne zdjęcie.

©℗ ANNA GOC

SPORT.PL+
WIĘCEJ
NIŻ WYNIK
26.
Łukasz Piszczek
REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

W świecie, w którym informacje coraz częściej przybierają formę skrótów, nagłówków i emocjonalnych impulsów, warto sięgnąć po medium, które proponuje coś więcej niż szybkie reakcje. Wybierając prenumeratę, inwestujesz nie tylko w dobre czytanie, ale też w stały kontakt z myśleniem, które wykracza poza codzienny informacyjny szum.

„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie. Treści „Tygodnika Powszechnego” są unikatowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

Kupując lub przedłużając prenumeratę roczną „Tygodnika Powszechnego” w maju, otrzymujesz specjalną ofertę:

OFERTA CENOWA PRENUMERATY ROCZNEJ

InPost	~~cena 1000 zł~~	**nowa cena 686 zł**
Odbiór w Żabce	~~cena 736 zł~~	**nowa cena 688 zł**
Zamówienie prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost oraz z odbiorem w Żabce można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl		
Poczta	~~cena 734 zł~~	**nowa cena 687 zł**
Poczta + wydania specjalne	~~cena 834 zł~~	**nowa cena 787 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OLGA

Drenda:
Psota

Co człowiek dorosły może zrobić z darem laby, dajmy na to, w Bydgoszczy? Postanawiasz iść, gdzie nogi poniosą, i czekasz na zdarzenia jak z filmu.

Dzisiaj ćwiczenie z wyobraźni. Pomyślmy sobie tak: wiesz, że masz z jakichś przyczyn zawodowych umówione spotkanie, wizytę, wydarzenie, na którym musisz stawić się osobiście. Aby tego dokonać, konieczne jest dotarcie, przyjmijmy, na 17 maja do Bydgoszczy (niniejsza opowieść nie może zatem dotyczyć Bydgoszczan – musicie podstawić w to miejsce inną miejscowość). Rezerwujesz ten dzień na wyprawę, kupujesz bilet, pakujesz niezbędne rzeczy, ustawiasz na koncie mailowym informację zwrotną: „w dniu dzisiejszym (tak, wiem, że podobno nie należy tak mówić, ale ja bardzo lubię to niezgrabne sformułowanie) będę mieć ograniczony dostęp do internetu, na wszystkie wiadomości odpowiem po powrocie", i wychodzisz z domu. Bydgoszcz wzywa.

W drodze zaglądasz jeszcze raz do korespondencji, żeby coś sprawdzić, i wtem w umyśle twoim jaśnieje słońce. Z jakichś przyczyn w miejscu czerwca uparcie widziałaś maj. Spotkanie dopiero za miesiąc, a ty już siedzisz w pociągu do Bydgoszczy. Za późno, żeby wszystko odkręcić. Ludzie wiedzą, że tego dnia jesteś poza zasięgiem, i przygotowali się na to. Dostałaś w prezencie dzień.

Co z nim robić? W Bydgoszczy nikt na ciebie tego dnia co prawda nie czeka, ale czeka za to sama Bydgoszcz. Jesteś anonimowym człowiekiem, który całkiem przypadkowo i zupełnie bez celu znalazł się nad Brdą. Do tego masz doskonałe alibi. Nikt nie będzie ci przeszkadzać: w końcu jesteś bardzo zajęta obecnością na ważnym wydarzeniu! To jak wagary, tyle że niczego nie zmyślasz. Przecież jeszcze chwilę temu sama byłaś przekonana, że to prawda.

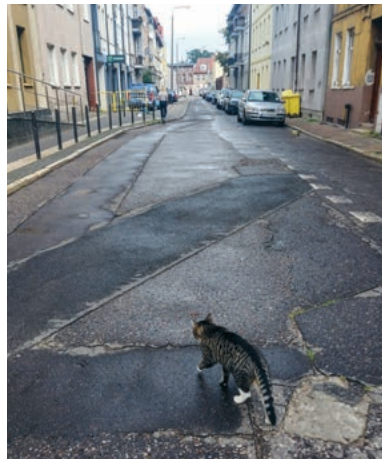

Być gościem w Bydgoszczy

OLGA DRENDA

A teraz masz cały gratisowy dzień w nieznanym ci wcześniej mieście. To tak niebywałe w dzisiejszych czasach, że wręcz każe się spodziewać, by zdarzyło się coś niezwykłego, jak z filmu. Gdyby ludzie częściej płacili gotówką, patrzyłabyś pod nogi w poszukiwaniu stuzłotówek. Jeśli na ulicy nie podejdzie do ciebie ktoś i nie zaoferuje rady, która zmieni twoje życie, chyba będziesz rozczarowana. Dzień powszedni, lecz świąteczny.

Na razie czujesz oszołomienie niespodziewaną chwilową wolnością. Co człowiek dorosły może zrobić z darem laby? Postanawiasz iść, gdzie nogi poniosą i, jak głosił stary neon, poznać piękno ziemi bydgoskiej. Siadasz nad wodą, zwierzasz się z czegoś ślicznej betonowej rybce patrzącej na budynek opery. Idziesz na długi spacer w mało turystyczne rejony, które zainspirowały komiks „Osiedle Swoboda", i przy okazji zażywasz sportu wspinając się pod górkę. Dzisiaj oczywiście okolice te wyglądają zupełnie inaczej niż w czasach komiksowych, a dla ciebie – ze względu na niemalże wakacyjne okoliczności, w których tu trafiasz – zaczynają kojarzyć się z innymi miastami, w których musiałaś wchodzić ostro pod górkę. Bukareszt, Lizbona, Bydgoszcz.

Nikt nie wie, kim jesteś, więc trochę więcej ci wolno. Masz na sobie czapkę niewidkę. Kupujesz ciasto marchewkowe i zjadasz je, siedząc na murku. Cieszysz się ze wszystkiego w sposób trochę durny, ale jak mawiał Zajączek Szare Uszko: „zawsze to, że jestem żywy, jest dla mnie wesołe". A to rzadka chwila, gdy można poczuć się naprawdę żywym: będąc sobie. Nawet marnowanie czasu w internecie, bo i to robisz, nabiera jakby innego smaku.

Nie dzieje się ostatecznie nic przełomowego. Twoje oczy nie krzyżują się ze wzrokiem przyszłej miłości twojego życia ani nie wygrywasz na loterii. Spędziłaś dzień na chodzeniu i rozglądaniu się dookoła. Mimo to powracasz do domu z poczuciem dokonania niegroźnego i bardzo satysfakcjonującego małego naruszenia. Powiedzmy – psoty.

To mogłaby być też zupełnie inna miejscowość, dajmy na to – Gorzów albo Skierniewice. Każda z nich ma przecież swoje niepozorne czary. Oczywiście wiem też, że nie w każdych okolicznościach zawodowych taka sytuacja byłaby możliwa. W niektórych pracach prawdopodobnie ktoś skrupulatny wcześniej by wyprowadził cię z błędu i uniemożliwił tę wyprawę w samym zarodku. Ale bywa, że się zdarza. Wiem, bo kiedyś pojechałam o dwa tygodnie za wcześnie do Bydgoszczy. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

STREFA BEZLUDNA

Izraelskie buldożery niszczą wsie szyickie i chrześcijańskie, bez różnicy. Używają fosforu, by uniemożliwić uprawę ziemi, gdyby ludzie chcieli wracać. Ale wielu Libańczyków nienawidzi zarówno Izraela, jak też Hezbollahu.

TEKST I ZDJĘCIA JAN POCHEĆ Z POŁUDNIA LIBANU, BEJRUTU I TRYPOLISU

Aby sprawdzić, czy rozejm w południowym Libanie jest w ogóle przestrzegany, jadę na południe od rzeki Litani. To tam operują Hezbollah oraz armia izraelska, to tam obecne są „błękitne hełmy" ONZ, w tym żołnierze z polskiego kontyngentu misji pokojowej.

W kwietniu Izraelczycy zniszczyli ostatni funkcjonujący most, którym można było dostać się m.in. do Tyru – największego miasta pogranicza izraelsko-libańskiego. Przejeżdżam więc przez tymczasową przeprawę, przed którą znajduje się ostatni punkt kontrolny libańskiej armii.

Dalej krajobraz zmienia się radykalnie. Wszędzie widać zniszczone budynki. Co rusz powiewają flagi Partii Boga (to oznacza po arabsku nazwa organizacji) i wspierającego ją irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Widać też wizerunki ideologa Hezbollahu, zmarłego w 2010 r. ajatollaha Fadlallaha. W sklepach napotykam także portrety ajatollaha Chameneiego, zabitego 28 lutego w ataku izraelsko-amerykańskim.

Można odnieść wrażenie, że szyicka ludność naprawdę uważa Hezbollah za swojego reprezentanta i go wspiera – również w jego konflikcie z Izraelem.

Formalnie od 17 kwietnia obowiązuje zawieszenie broni, narzucone Izraelowi przez Donalda Trumpa. Ale choć prezydent USA chwali się, że to kolejna wojna, którą zakończył, niewiele ma to wspólnego z rzeczywistością.

Myśliwce nad Tyrem

Dla tutejszych libańskich szyitów Hezbollah to nie tylko ramię zbrojne, ich armia. To także szpitale, szkoły i poczucie podmiotowości, którego tak bardzo potrzebowała ta „porzucona" szyicka społeczność. Byli oni historycznie marginalizowani – stąd ziarno, zasiane w 1979 r. przez rewolucję islamską w Iranie, trafiło tu na wyjątkowo podatny grunt.

Jednak nie tylko działania Izraela – także postępowanie Partii Boga wymyka się ramom określonym przez konwencje. Pokazuje to przykład karetek opatrzonych nazwą Islamskiej Organizacji Zdrowia. Instytucja ta zarządza rozległą siecią przychodni, szpitali, gabinetów stomatologicznych. Oraz licznymi ambulansami, które operują głównie w południowych dzielnicach Bejrutu, na południu kraju i w dolinie Bekaa.

Izraelskie wojsko twierdzi, że pojazdami tymi przemieszczają się nie tylko medycy, ale też bojownicy Hezbollahu, którzy często mają transportować nimi uzbrojenie.

Będąc w Tyrze, zauważyłem wiele takich ambulansów. O ile w części z nich faktycznie znajdowali się ratownicy w standardowych strojach medycznych i odblaskowych kamizelkach, o tyle w innych na miejscach pasażerów siedzieli zamaskowani mężczyźni. Byli ubrani w mundury przypominające te, których używa Hezbollah.

Fosfor wyjaławia ziemię

Nad Tyrem stale krążą izraelski dron obserwacyjny i myśliwce. W ciągu zaledwie kilku godzin byłem świadkiem szeregu eksplozji. Równocześnie wokół miasta toczą się walki bojowników Hezbollahu z izraelską armią. Rykoszetem obrywają cywile z okolicznych wiosek – i szyici popierający Hezbollah, i chrześcijanie.

Ostatnio świat obiegło zdjęcie izraelskich żołnierzy, z których jeden niszczył krzyż, a inny profanował figurę Maryi. To mogło sugerować, że armia izraelska atakuje te wsie dlatego, że są chrześcijańskie. W istocie, w społeczeństwie Izraela narasta wprawdzie niechęć, czasem nienawiść do chrześcijan – czego przejawem był m.in. atak na zakonnicę w Jerozolimie czy wspomniane profanacje. To skutek radykalizacji religijnej i rosnącej obecności ortodoksyjnych Żydów w polityce i armii. Jednak wydaje się, że gdy Izrael niszczy dziś chrześcijańskie wsie na południu Libanu, to jego działanie nie jest wymierzone w chrześcijan jako takich – to pochodna strategii, która polega na pozbyciu się z tej ziemi jakichkolwiek ludzi w celu utworzenia bezludnej „strefy buforowej".

Na czym ma polegać ta strefa? Ma to być niezamieszkany i nieuprawiany pas ziemi, który, według izraelskiej wykładni, odsunie zagrożenie ze strony Hezbollahu od izraelskiej granicy. W tym celu Izraelczycy równają z ziemią całe wioski położone nawet 10 km w głąb Libanu.

Schemat jest prosty: buldożery niszczą budynki, a ziemię spryskuje się fosforem, by uniemożliwić jej uprawę, gdyby ktoś chciał jednak wrócić. W ten sposób trwałe wyludnienie południowego Libanu staje się faktem dokonanym. ↦

Koczowisko uchodźców z południa Libanu na parkingu między ekskluzywną mariną a nowoczesnym targowiskiem. Bejrut, maj 2026 r.

Wizerunek ajatollaha Fadlallaha, nieżyjącego ideologa Hezbollahu. Tyr, maj 2026 r.

Libańskie zderzenia

Izraelska inwazja sprawiła, że przez Bejrut, libańską stolicę, przewinęło się już ponad milion uchodźców z południa – w niespełna 6-milionowym kraju. Dla części Bejrut to przystanek. Dla innych miejsce do życia na najbliższe miesiące. Na nadmorskich parkingach wciąż koczuje kilkuset ludzi z wiosek na południe od Litani.

Uciekinierzy rozbili namioty między ekskluzywną mariną a nowoczesnym sukiem, arabskim targiem. Dziś to miejsce nie przypomina tradycyjnych straganów na suku: to galeria pełna sklepów światowych marek i drogich restauracji. Takie zderzenie luksusu i tragedii szokuje.

Zderzenie ma też inny wymiar: wielu Libańczyków z centrum i północy darzy uchodźców z południa ogromną nieufnością. A to ze strachu, że sprowadzą ze sobą izraelskie bomby – co w przypadku ostatnich ataków na Bejrut się sprawdzało. Wystarczy, że dron namierzy domniemany skład broni czy kwaterę jakiegoś dowódcy Hezbollahu, a bomba może zniszczyć cały blok.

Inaczej niż szyici z południa, ludzie z centrum i północy nie mają sympatii dla Partii Boga. Sądząc z rozmów, są nie tylko przeciw Hezbollahowi, ale uważają go za coś gorszego od Izraela. Co rzecz jasna nie znaczy, że pałają do Izraela sympatią.

Potencjał destrukcyjny

Sytuacja, gdy jeden na pięciu Libańczyków to wygnaniec wojenny, zagraża więc stabilności państwa. Opowiada mi o tym prof. Karim Émile Bitar – Libańczyk i wykładowca w paryskiej uczelni politologicznej Sciences Po, specjalizujący się w Bliskim Wschodzie.

– Przybycie tak wielu uchodźców do Bejrutu stwarza ryzyko rozłamu w państwie, gdyż nasze społeczeństwo jest spolaryzowane – tłumaczy prof. Bitar. Wojna domowa, która miała miejsce w Libanie w latach 1975-90, nadal jest obecna w świadomości.

– Większość uchodźców to szyici, którzy popierają Hezbollah, a znajdują schronienie w miastach chrześcijańskich bądź sunnickich. Prędzej czy później ich obecność wywoła napięcie, zwłaszcza że Liban już przed obecną wojną doświadczał kryzysu ekonomicznego – mówi politolog.

Np. cena napełnienia baku skutera, popularnego środka transportu, wzrosła z 4 do 7 dolarów. Bitar: – Rząd ma ograniczone możliwości pomocy uciekinierom, w tym zapewnienia im bezpieczeństwa. To może prowadzić do powstania bojówek, które miałyby służyć samoobronie.

– Być może mieszkańcy południa nigdy nie będą mogli wrócić do domów – dodaje politolog – skoro Izrael stosuje metodę systematycznego niszczenia ziemi np. przez rozpylanie fosforu. Niektórzy izraelscy ministrowie mówią o przekształceniu tego, co nazywali dotąd strefą bezpieczeństwa, w strefę okupacyjną. Bądź nawet o aneksji.

Pamięć wojny domowej

W tym czasie życie na północy toczy się innym rytmem. Podczas gdy nawet przedmieścia Bejrutu są regularnie atakowane przez Izrael, Trypolis – największe miasto północy kraju – jest bezpieczne. O jego specyfice rozmawiam z architektem Wassimem El Naghim, który stąd pochodzi.

– Ta wojna przyszła do nas z zewnątrz – El Naghi przywołuje wybuch wojny domowej, która w 1975 r. zakończyła tzw. złoty wiek Libanu. – Miałem 7 lat. Pamiętam jak dziś, gdy musieliśmy chować się w łazience i jako najstarszy brat czułem się odpowiedzialny za rodzeństwo.

To traumatyczne doświadczenie jest udziałem całego pokolenia. El Naghi tłumaczy, że wojna domowa na zawsze zmieniła strukturę społeczną Trypolisu. Opuścili go chrześcijanie, dotąd stanowiący istotną część elity (prowadzili hotele, restauracje, kina). Powstała atmosfera nieufności, jakiej kraj wcześniej nie znał. Muzułmanie i chrześcijanie, żyjący w zgodzie od setek lat, zwrócili się przeciw sobie. Chodzenie do kościoła mogło sprowadzić zagrożenie.

Od 2012 roku, czym mieszkańcy się szczycą, Trypolis skutecznie omija kolejne konflikty. Udaje mu się nie zostać wciągniętym ani w obecną wojnę z Izraelem, ani w wewnętrzne potyczki, zbrojne czy polityczne. Ma to jednak cenę: tutejsza społeczność mocno się zamknęła i jest nieufna wobec przybyszów.

Ginące zabytki

Wraz z załamaniem się państwa podczas wojny domowej zaczęła się degradacja przestrzeni publicznych. Ze względu na swą profesję El Naghi zwraca uwagę na ginącą architekturę. Wylicza, że w Trypolisie jest 2 tys. zabytkowych budynków. Dla porównania: w Bejrucie kiedyś było ich 5 tys., a do dziś ostało się mniej niż trzysta.

Państwo zawodzi na polu ich ochrony, a rynek nieruchomości jest bezlitosny. Bywało, że zabytki „same" się zawalały. W istocie, wykorzystując chaos kolejnych kryzysów i rewolucji, deweloperzy uszkadzali je, aby wymusić rozbiórkę.

El Naghi zwraca uwagę na jeszcze jeden powód architektonicznej katastrofy: prawo, które w 1992 r. zamroziło stawki czynszowe. Właścicielom przestało się opłacać utrzymanie budynków, gdy przychody z najmu nie pokrywały ułamka kosztów renowacji. Bardziej zyskowne stało się doprowadzenie ich do ruiny, by sprzedać grunt pod apartamentowiec.

Los zabytków może wydać się abstrakcyjny, gdy ktoś staje się wiecznym wygnańcem – jak szyici i chrześcijanie, którzy uciekli zza Litani. Ale taki „puzzel" pokazuje, czym kończy się słabość państwa.

Byleby tylko...

Mimo wszystko moi rozmówcy, pytani o przyszłość, mają nadzieję. Mają poczucie, że przetrwali tak wiele, a przecież Libańczycy są najlepsi na świecie w adaptacji do kryzysów.

Byleby tylko, mówi profesor Bitar, nie doszło do ponownej destabilizacji kraju. Byleby tylko, wtóruje mu Wassim El Naghi, nie wybuchła na nowo wojna domowa.

© JAN POCHEĆ

ANDREW CABALLERO-REYNOLDS / AFP / EAST NEWS

Karoline Leavitt, rzeczniczka Białego Domu, i jej syn Nicholas podczas konferencji z okazji Narodowego Święta Dziękczynienia. Waszyngton, 25 listopada 2025 r.

Baby boom w Białym Domu

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Rząd Trumpa zachęca do prokreacji i zarazem tnie pomoc socjalną. Więcej dzieci raczej z tego nie będzie. Chyba że w otoczeniu prezydenta i wśród pronatalistów z Doliny Krzemowej.

Viviana nie przyszła jeszcze na świat, a już sporo przeżyła. Będąc w brzuchu mamy, uczestniczyła w waszyngtońskiej gali, podczas której 25 kwietnia miała miejsce kolejna próba zamachu na Trumpa. Napastnik sforsował punkt kontrolny, ale nie dotarł do sali balowej, gdzie był prezydent, jego żona, członkowie rządu i zaproszeni dziennikarze. Obok pierwszej damy siedziała 28-letnia Karoline Leavitt: rzeczniczka Białego Domu i mama Viviany.

Potem Leavitt zdążyła jeszcze poprowadzić briefing prasowy, na którym sugerowała, że odpowiedzialność za tę próbę zamachu ponosi retoryka polityków Partii Demokratycznej i medialnych komentatorów. Cztery dni później była na porodówce. Narodziny córki ogłosiła na Instagramie: cały świat mógł zobaczyć, jak ją przytula, ubrana w różowy sweterek i dresowe spodnie.

Biały Dom nie podaje, na jak długi urlop macierzyński udała się Leavitt. Jako pracownicy federalnej przysługują jej trzy miesiące płatnego wolnego, ale nie jest jasne, czy wykorzysta całość. W jej zastępstwie briefingi dla mediów prowadzili sekretarz stanu Marco Rubio i wiceprezydent JD Vance. Można odnieść wrażenie, że to nowy zabieg Trumpa, by obu wypróbować – zanim namaści swego faworyta w walce o prezydenturę w 2028 r.

MULTITASKING | Karoline Leavitt jest pierwszą w historii rzeczniczką, która w trakcie pracy dla prezydenta USA urodziła dziecko. Ma też prawie dwuletniego syna Nicholasa. On z kolei przyszedł na świat podczas kampanii w 2024 r., gdy Leavitt była rzeczniczką sztabu Trumpa.

Wtedy też był zamach. Chłopiec urodził się trzy dni przed wiecem w Pensylwanii, gdzie Trump został postrzelony w ucho. Z uwagi na to, zaraz po rozwiązaniu Leavitt wróciła do pracy, rezygnując z urlopu. W magazynie „The Conservateur" wspominała, że musiała być wtedy mistrzynią multitaskingu. Bywało, że robiła makijaż, jednocześnie karmiąc synka, rozmawiając przez telefon i przygotowując się do występu w telewizji. ↦

KEVIN MAZUR / GETTY IMAGES

Karoline Leavitt w zaawansowanej ciąży, Melania i Donald Trumpowie na waszyngtońskiej gali, podczas której miała miejsce kolejna próba zamachu na prezydenta Trumpa. Waszyngton, 25 kwietnia 2026 r.

↦ Ponoć gdy wcześniej ludzie ze sztabu Trumpa proponowali jej pracę rzeczniczki, nie zniechęciła ich informacja, że Leavitt jest we wczesnej ciąży. „Nie ma dla niego [Trumpa – red.] znaczenia, czy jesteś mężczyzną, czy kobietą, z dziećmi czy bez. On po prostu chce najlepszego i zaangażowanego pracownika. I właśnie to czyni go świetnym szefem" – przekonywała Leavitt jesienią 2024 r.

SZCZYT FEMINIZMU | W otoczeniu Trumpa zapanował dziś istny *baby boom*. Oprócz rzeczniczki Białego Domu, która poród ma już za sobą, szykują się do niego Usha Vance, żona wiceprezydenta, a także Katie Miller, której mąż Stephen jest wpływowym doradcą Trumpa. To on odpowiada choćby za agresywną politykę migracyjną tej administracji.

Zarówno Usha, jak i Katie spodziewają się czwartego dziecka i obie promują w sieci posiadanie potomstwa. W Dzień Matki, który w tym roku w Stanach obchodzono 10 maja, Usha Vance przekonywała w specjalnym nagraniu, że „dzieci są największym przywilejem jej życia".

Z kolei Katie Miller opublikowała swoje zdjęcie z widocznym ciążowym brzuchem, które opatrzyła stwierdzeniem, że „rodzenie dzieci to szczyt feminizmu". Oraz że najbardziej radykalną rzeczą, jaką kobieta może zrobić, jest pogodzenie się ze swoim „biologicznym przeznaczeniem".

ODBUDOWA RODZINY | Prominentne matki z Waszyngtonu są pijarowską twarzą ekipy Trumpa, która zachęca Amerykanów do prokreacji i odwrócenia trendu w demografii. Współczynnik dzietności osiągnął bowiem w USA historycznie niski poziom: 1,6 dziecka na kobietę. To dzwonek alarmowy dla demografów. A także dla rosnącego w Stanach ruchu pronatalistów, którzy wzywają do powiększania rodzin i sprzyjającej temu polityki.

W raporcie The Heritage Foundation ze stycznia 2026 r. (to think tank mający duże wpływy w ekipie Trumpa) czytamy, że jedynym sposobem, by „Ameryka mogła się rozwijać w przyszłości", jest odbudowa rodziny i ożywienie instytucji małżeństwa. Dlatego rząd powinien wprowadzić ulgi podatkowe dla rodzin wielodzietnych oraz... finansować obozy szkoleniowe, które przygotują pary żyjące dotąd bez ślubu do małżeństwa.

Z pronatalistami dogaduje się prezydent Vance. Po objęciu urzędu w styczniu 2025 r. stwierdził, że chce, by w USA rodziło się więcej dzieci, a zadaniem państwa jest pomoc młodym rodzicom w ponoszeniu kosztów ich wychowania. Rok później, podczas Marszu dla Życia w Waszyngtonie, jako ojciec spodziewający się czwartego dziecka żartował: „Niech zostanie to odnotowane: macie wiceprezydenta, który postępuje zgodnie z tym, co głosi".

DLA DZIETNOŚCI | Ruch pronatalistów skupia w USA dwie grupy: zwolenników tradycyjnego modelu rodziny i miliarderów z Doliny Krzemowej. Choć obie sporo też dzieli.

Najbardziej znany pronatalista to Elon Musk, który głosi, że niska dzietność to największe zagrożenie dla cywilizacji. Sam spłodził czternaścioro potomków – choć nie w modelu tradycyjnym, lecz z pięcioma kobietami. Inni, zamiast jak Musk samemu zapełniać lukę demograficzną, inwestują w start-upy wspomagające rozrodczość. Np. Peter Thiel wyłożył pieniądze na TMRW Life Sciences: firmę, która stworzyła nowoczesny system przechowywania zamrożonych komórek jajowych i zarodków.

W Dolinie Krzemowej są też start-upy pracujące nad budową sztucznej macicy i takie specjalizujące się w zaawansowanych badaniach genetycznych zarodków. Te ostatnie wpisują się w pęd bogaczy, pragnących „tworzyć" sobie idealne dzieci. Ponoć z takich usług korzystała Shivon Zilis, matka czworga dzieci Muska.

Korzysta z nich też najbardziej medialna para pronatalistów w USA: Simone i Malcolm Collinsowie, rodzice piątki dzieci. Otwarcie mówią, że wybierają sobie najlepsze zarodki. Głoszą też tezę, że bezdzietni są mniej wartościowi społecznie i powinni mieć ograniczone prawo głosu. Tego samego zdania zdaje się być Vance: w 2021 r., gdy ubiegał się o fotel senatora, sugerował, że głos dzietnych Amerykanów powinien znaczyć przy urnach więcej.

DOBRA POLITYKA | W tej historii jest też Donald Trump. Podczas prezydenckiej kampanii, wspierany przez Muska, obiecał, że rozkręci w USA *baby boom*. Po powrocie do Białego Domu okrzyknął siebie „prezydentem płodności" i wziął się za wdrażanie reform.

I tak, w 2025 r. podniesiono ulgi podatkowe dla rodzin z dziećmi i wprowadzono program jednorazowych wypłat dla dzieci urodzonych w trakcie drugiej kadencji Trumpa. Od lipca ich rodzice będą mogli założyć konto inwestycyjne, na które rząd „na dzień dobry" przeleje tysiąc dolarów. Potem wpłacać mieliby już sami rodzice, maksymalnie 5 tys. dolarów rocznie. Uzbieraną kwotę dziecko wypłaci po ukończeniu 18. roku życia, po potrąceniu podatku.

Administracja Trumpa wynegocjowała też z firmami farmaceutycznymi obniżkę cen leków stosowanych w *in vitro*. Według szacunków rządu, starający się o dziecko zaoszczędzą ok. 2 tys. dolarów. Tyle że jeden cykl *in vitro* kosztuje

15-30 tys. dolarów. I tu administracja wyszła ostatnio z kolejną propozycją: chce tak zmienić przepisy, by firmom łatwiej było oferować dofinansowanie leczenia niepłodności w ramach pracowniczych polis zdrowotnych.

„New York Times" twierdzi, że te reformy podobają się nawet przeciwnikom Trumpa. „Choć go nie lubię, byłoby niesamowite, gdyby to się udało" – tak zapowiedź obniżenia cen leków do *in vitro* komentowała w „NYT" 42-letnia pielęgniarka Kirstyn Cooke. Tłumaczyła, że dotąd, by sfinansować kolejne procedury *in vitro*, odkupowała leki od innych kobiet, mających jak ona problemy z płodnością, i musiała sięgać do oszczędności emerytalnych.

DRUGA STRONA MEDALU | Krytycy zarzucają jednak administracji Trumpa, że z jednej strony zachęca Amerykanów do prokreacji, a z drugiej im ją w istocie utrudnia.

W tej samej ustawie, przewidującej „tysiąc plus", zredukowano fundusze na pomoc żywnościową i zdrowotną dla najbiedniejszych. To w najbliższych latach odbije się także na kobietach w ciąży, które w wyniku finansowych cięć dla pobliskich szpitali będą musiały jechać do bardziej odległych placówek. Może oznaczać dodatkowy koszt, dłuższe kolejki na ostrym dyżurze, a nawet potencjalne powikłania.

Wśród krajów rozwiniętych Stany mają największy wskaźnik umieralności matek przy porodzie lub w połogu. Winny jest m.in. właśnie brak dostępu do powszechnej opieki zdrowotnej.

Rzadkością w USA jest też płatny urlop macierzyński. Bywa, że Amerykanki wracają do pracy nawet kilkanaście dni po porodzie, bo ze względu na finanse czy strach przed zwolnieniem nie mogą sobie pozwolić na dłuższą przerwę. To, że Karoline Leavitt zrezygnowała z macierzyńskiego przy pierwszym dziecku, nie jest w Stanach niczym niezwykłym.

Wracając do dyskusji o demografii: krytycy zarzucają też Trumpowi, że jego agresywna polityka migracyjna pogłębia problem. Bowiem to napływ imigrantów, a nie porody, odpowiada za ok. 80 proc. przyrostu ludności USA. Trend się pogłębia: jak mówi cytowany przez „New York Times" demograf Kenneth Johnson, jeszcze w latach 2010-2020 imigracja odpowiadała za ok. 40 proc. wzrostu populacji.

PÓŹNE RODZICIELSTWO | W USA współczynnik dzietności systematycznie spada od 2007 r. Początkowo demografowie tłumaczyli to niepewną sytuacją ekonomiczną, w związku z ówczesnym kryzysem finansowym. Gdy po wyjściu z kryzysu Amerykanie nie wrócili ochoczo do prokreacji, zaczęto szukać kolejnych przyczyn.

Jako jedną z nich podaje się niski współczynnik dzietności wśród nastolatek, który od 2007 r. skurczył się aż o 72 proc., m.in. ze względu na powszechny dostęp do antykoncepcji. Bardziej prawdopodobne jest dziś, że dziecko urodzi kobieta po czterdziestce niż nastolatka, co wpisuje się w trend także w innych krajach rozwiniętych.

Amerykanie odkładają decyzję o dziecku, bo chcą najpierw skupić się na karierze, mają niepewną sytuację ekonomiczną czy zwyczajnie nie widzą siebie w roli rodziców. Według badania naukowców z Michigan State University, w latach 2003-2023 podwoiła się liczba osób deklarujących, że w ogóle nie chcą mieć dzieci (z 14 do 29 proc.).

Hamulcowym dla baby boomu bywa też brak szans na kredyt hipoteczny, wysokie koszty związane z opłatą za żłobek czy zadłużenie, jakie na starcie Amerykanie fundują sobie w postaci kredytu studenckiego.

UPUST FRUSTRACJI | Gdy rok temu „New York Times" ujawnił, że w ekipie Trumpa krążą takie projekty, jak wypłata 5 tys. dolarów za każde urodzone dziecko czy medale dla matek co najmniej sześciorga, w USA zawrzało. Cytowane w mediach Amerykanki mówiły, że potrzeba realnych reform: powszechnej opieki zdrowotnej, płatnych urlopów rodzicielskich, darmowych żłobków.

Ludzie dali też upust frustracji, gdy prawicowe media chwaliły rzeczniczkę Białego Domu, że choć jest w ciąży, ciężko pracuje na tak odpowiedzialnym stanowisku. „A teraz wyobraźcie sobie siłę pracującej samotnej matki, która nie jest żoną dwa razy starszego od siebie milionera, nie zarabia na życie kłamaniem w telewizji i jeszcze musi płacić dwukrotnie wyższe składki na ubezpieczenie zdrowotne, a to z winy człowieka, dla którego pracuje Karoline" – pisała na platformie X dziennikarka Christina Lorey.

Pod jej postem rozlała się lawina komentarzy kobiet, które twierdziły, że same pracowały aż do porodu i nie mogły pozwolić sobie na dłuższy urlop macierzyński.

Tak wygląda twardy kapitalizm w USA. Baby boomu raczej więc nie będzie. Chyba że w otoczeniu Trumpa i milionerów z Doliny Krzemowej.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

KĘDZIERZYN-KOŹLE,
środa, 27 maja, godz. 18.00,
Klub Kameleon (ul. Dworcowa 1a),
spotkanie z Jackiem Taranem,
dziennikarzem „Tygodnika Powszechnego",
„Hejt jest modny. Empatia się nie klika".
Prowadzenie: Marcin Tumulka.

POZNAŃ,
czwartek, 28 maja, godz. 18.30,
Galeria im. Jerzego Piotrowicza
„Pod Koroną" (ul. Kramarska 3),
spotkanie autorskie z Zofią Zarębianką
wokół tomiku wierszy „Zgasło".
Prowadzenie: prof. Tomasz Goslar.

KATOWICE,
piątek, 29 maja, godz.18.00,
Biblioteka Śląska, (Plac Rady Europy 1,
sala Parnassos), spotkanie z ks. Grzegorzem
Strzelczykiem i Anetą Kuberską wokół książki
„Kościół, świat, reforma. Rozmowy o wierze
i sumieniu". Prowadzenie: Artur Madaliński.

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Celtycka trójca

PATRYCJA BUKALSKA

WIELKA BRYTANIA | Już nie tylko w Belfaście i Edynburgu, ale też w Cardiff na czele regionalnych rządów stoją politycy pragnący niepodległości Irlandii Północnej, Szkocji i Walii. To pierwsza taka sytuacja w Zjednoczonym Królestwie.

Coś drgnęło w duszy Walii. Nowa pewność siebie, nowa nadzieja. Nowy szerszy horyzont, który nigdy więcej nie zostanie zawężony – mówił Rhun ap Iorwerth po tym, jak w połowie maja został zaprzysiężony jako nowy premier rządu autonomicznego Walii. Rhun ap Iorwerth jest liderem Plaid Cymru – partii, która głosi ideę walijskiej niepodległości.

To historyczny moment: po raz pierwszy na czele walijskiego rządu regionalnego stoi polityk wywodzący się z tego ugrupowania. Niedawne zwycięstwo jego partii w wyborach do regionalnego parlamentu zakończyło stuletnią dominację walijskiej Partii Pracy w tej jednej z czterech krain, jakie tworzą Zjednoczone Królestwo.

„Żaden brytyjski rząd, żaden brytyjski premier ani teraz, ani w przyszłości nie będzie już mógł ignorować naszych potrzeb i naszych aspiracji jako narodu" – mówił ap Iorwerth po ogłoszeniu wyniku wyborów, stojąc na schodach do Senedd, walijskiego parlamentu.

DŁUGI MARSZ | Rhun ap Iorwerth jest pełen pasji dla spraw Walii, pierwszą mowę w parlamencie wygłosił po walijsku. Jednak rozumie, że droga do niepodległości to raczej ultramaraton niż sprint.

– Plaid Cymru wykluczyła, że będzie zabiegać o rozpisanie referendum niepodległościowego podczas swoich pierwszych rządów. Najpierw będzie chciała stworzyć kompetentny rząd, by udowodnić, że jeszcze większa autonomia dla Walii jest wskazana – mówi „Tygodnikowi" prof. Laura McAllister z Wales Governance Centre na Uniwersytecie w walijskim Cardiff.

Rzeczywiście, na liście priorytetów nowy premier umieścił np. wsparcie dla rodzin zmagających się z kosztami utrzymania i walkę z listami oczekujących na wizyty u lekarzy i zabiegi w szpitalach. Suwerenność musi czekać.

Powołana zostanie natomiast komisja, która zajmie się opracowaniem argumentów za uznaniem Walii za niepodległe państwo. – To przygotowanie gruntu pod przyszłe referendum, nabieranie rozpędu – uważa prof. McAllister.

W pierwszej rozmowie telefonicznej, którą odbył po wyborach z brytyjskim premierem Keirem Starmerem, Rhun ap Iorwerth poruszył postulat większych uprawnień dla walijskich władz (w ramach tzw. dewolucji w latach 90. XX w. część uprawnień rządu centralnego przekazano władzom regionalnym w Walii i Szkocji).

Dał też do zrozumienia, że niepodległość jest w jego planach, ale dalszych: „Mówiłem, że na razie musimy zająć się bieżącymi problemami, ale ruszamy w podróż, o której trasie i tempie ostatecznie zadecydują mieszkańcy Walii".

SZKOCKI UPÓR | O niepodległości – oraz rozpisaniu referendum – ze Starmerem po majowych wyborach rozmawiał też przez telefon szkocki premier John Swinney. Z pewnością temat ten pojawi się też podczas ich osobistego spotkania, planowanego na czerwiec. Choć tu oczekiwania się różnią: Swinney nie zamierza odpuszczać presji na rozpisanie referendum, a Starmer chce, jak ujęło to jego biuro prasowe, rozmawiać o „wspólnych sprawach".

Szkoci nad sprawą opuszczenia Zjednoczonego Królestwa już raz głosowali, w 2014 r. Zwolennicy niepodległości przegrali różnicą 10 proc. głosów. Żądania kolejnego referendum są stałą szkocką agendą, choć Londyn niezmiennie je wyklucza.

Teraz jednak szkoccy zwolennicy secesji argumentują, że znów mają do tego mocny mandat, bo wybory do regionalnego parlamentu nie tylko po raz piąty wygrała Szkocka Partia Narodowa (SNP), ale ma większość razem ze szkockimi Zielonymi, którzy też opowiadają się za suwerennością.

Swinney wskazał też na nowy czynnik, który sprawia, że kwestia kolejnego głosowania jest nagląca – to Nigel Farage („ojciec brexitu") i sukcesy jego narodowej partii Reform UK.

WIDMO FARAGE'A | Rzecz w tym, że Reform UK rośnie w siłę i perspektywa Farage'a jako brytyjskiego premiera przestaje być polityczną fantasmagorią. Majowe głosowania tylko to potwierdziły – w wyborach do parlamentów regionalnych w Szkocji i Walii Reform UK zajęła drugie miejsce i udało się jej wprowadzić do obu parlamentów pokaźną liczbę posłów. Jednocześnie odbyły się wybory lokalne w Anglii i w nich również ugrupowanie to odniosło sukces, zdobywając ponad 1,4 tys. mandatów radnych.

„Nigel Farage pędzi teraz galopem ku Downing Street" – skwitował to Swinney, który chciałby, aby szkocki parlament był do tego czasu tak „odporny na Farage'a", jak to możliwe (co będzie trudne, zważywszy że zasiada w nim teraz kilkunastu posłów Reform UK).

Stąd też apel o jak najszybsze referendum, tak aby Farage jako premier nie mógł zablokować Szkotów na długie lata. To jednak raczej straszak i retoryka, bo nic nie wskazuje, by Farage był bardziej restrykcyjny w poglądach na szkocką suwerenność niż obecny rząd w Londynie. Niedawno stwierdził nawet, że referendum mogłoby być uzasadnione, o ile kwestia ta stanie się „istotna w przyszłości". Tyle że dla SNP „przyszłość" to za daleka perspektywa. Swinney chce, by referendum odbyło się za dwa lata.

Jednak obawy przed Farage'em rzeczywiście mogą mobilizować część wyborców. To było widać w Walii. – Wiele osób czuło, że rządy Reform UK byłyby katastrofą. To przełożyło się na poparcie dla Plaid Cymru. Właśnie ta partia jest postrzegana jako będąca w stanie najlepiej bronić walijskich interesów i mówić

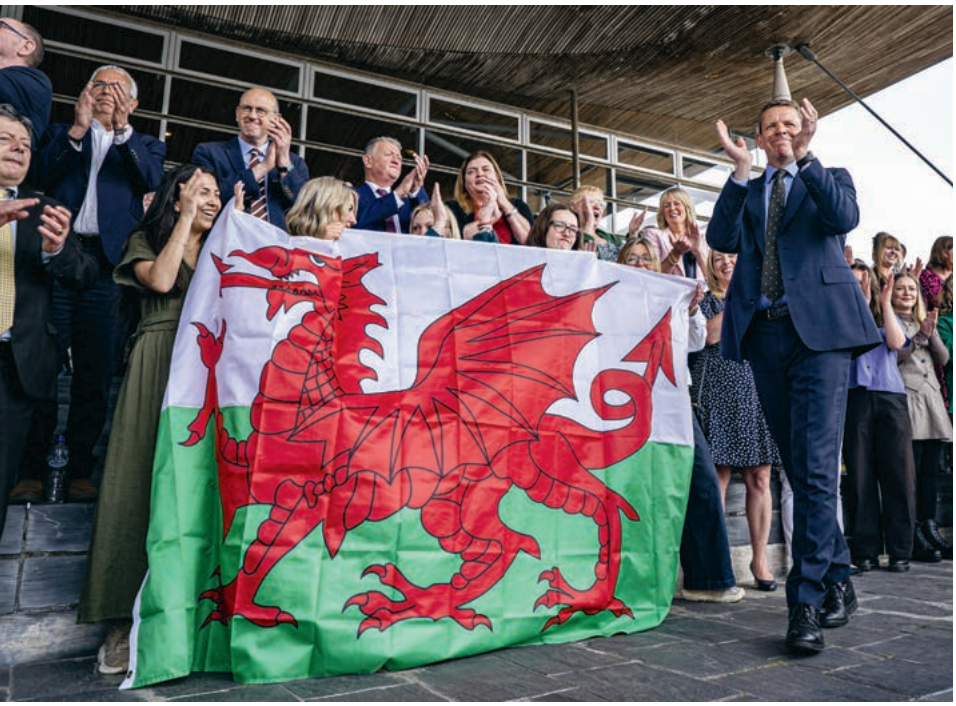

BEN BIRCHALL / PA / EAST NEWS

Rhun ap Iorwerth (z prawej), lider partii Plaid Cymru i nowy premier autonomicznego rządu Walii, wśród zwolenników z walijską flagą narodową. Cardiff, 9 maja 2026 r.

w imieniu Walijczyków – mówi prof. Laura McAllister.

NA ZIELONEJ WYSPIE | Wybory w Walii i Szkocji pilnie obserwowano w Irlandii Północnej. To kolejna celtycka część Zjednoczonego Królestwa, która chciałabym zrzucić „angielskie jarzmo".

Na czele rządu w Belfaście od dwóch lat stoi Michelle O'Neill z partii Sinn Féin i możliwe, że w wyborach w 2027 r. utrzyma tę pozycję. W ostatnim czasie doszło do zbliżenia SNP i Sinn Féin, choć w przeszłości Szkoci starali się dystansować od Irlandczyków, a to ze względu na obciążające ich dawne powiązania z podziemną Irlandzką Armią Republikańską.

Jeszcze w latach 80. XX w., gdy Sinn Féin zaprosiła Szkotów na swój doroczny zjazd, ci uprzejmie się wymigali. Teraz, w kwietniu, na zjeździe Sinn Féin transmitowano przemówienie Swinneya, który wzywał do współpracy partie ze Szkocji, Walii i Irlandii Północnej. „Choć nie zgadzamy się we wszystkim, to zgadzamy się, że o przyszłości naszych narodów powinni decydować ludzie, którzy żyją w naszych krajach" – mówił.

Delegatom przekazano też przesłanie Rhuna ap Iorwertha z Walii. Po wyborach doszło zaś do spotkania premierki Michelle O'Neill z liderami partii szkockiej i walijskiej, którzy zasiadają w brytyjskim parlamencie w Londynie. Rozmawiano o historycznych wynikach ostatnich wyborów i oczywiście o współpracy. Jak to ujęła O'Neill: „Dla wspólnego celu, dla naszych obywateli i ich prawa do narodowego samostanowienia".

RAZEM CZY OSOBNO | O możliwość takiej „celtyckiej koalicji" pytam prof. Jamesa Mitchella z Uniwersytetu w Edynburgu, eksperta od dewolucji. – Taki sojusz pomoże głównie Sinn Féin, której szkodzą historyczne powiązania z IRA. Plaid Cymru i SNP są nacjonalistycznymi partiami działającym na fundamencie konstytucyjnym – uważa Mitchell.

– Związek z nimi mógłby pomóc w „detoksykacji" wizerunku Sinn Féin. Natomiast trudno powiedzieć, w czym te trzy dość różne partie mogłyby się zgodzić poza opozycją do rządów Londynu – ocenia politolog.

Mitchell uważa natomiast, że łatwo byłoby wskazać za to możliwy punkt niezgody: to pieniądze, których Szkocja i Irlandia Północna otrzymują z brytyjskiej kasy więcej niż Walia.

– Sądzę, że będą jakieś konsultacje, współpraca między trojgiem szefów rządów w ich relacji z brytyjskim rządem – uważa z kolei prof. McAllister i zaznacza, że kwestia, na ile będzie to konfrontacyjne, zależy w znacznym stopniu od tego, jak zachowa się Londyn.

– Łatwo nie będzie. Myślę jednak, że na pewno zobaczymy, jak przesuwają się płyty tektoniczne brytyjskiej polityki – przypuszcza McAllister.

ETAPY DROGI | Trzeba podkreślić, że choć wszystkie trzy partie opowiadają się za suwerennością ich narodów, to każda jest na innym etapie tej drogi. Różni je ich położenie prawne i skala społecznego poparcia dla niepodległościowych dążeń.

Szkoci prą do kolejnego referendum, a w ostatnich kilku sondażach zwolennicy suwerenności mają większość. Walijczycy wybrali w wyborach Plaid Cymru, ale poparcie dla niepodległości jest dość niskie. Choć, jak zwraca uwagę prof. McAllister, w Szkocji dwa lata przed referendum też takie było. – Takie rzeczy mogą się szybko zmienić – mówi.

Na marginesie: o ile w nowym walijskim rządzie każdy minister mówi płynnie po walijsku, o tyle wydaje się, że w parlamencie Szkocji po raz pierwszy zabrakło posłów mówiących biegle po gaelicku.

Jeśli zaś idzie o Irlandczyków z Irlandii Północnej, to ich prawo do referendum w sprawie zjednoczenia z Republiką Irlandii zapisano w tzw. Porozumieniu Wielkopiątkowym z 1998 r., które zakończyło dekady przemocy. Ale szczegóły tego procesu nie zostały ustalone, a decyzje w tej sprawie podejmie Londyn. Kiedy? Gdy będzie jasne, że jest ku temu wola.

KOALICJA TROJGA? | Ale choć Celtowie, wieki temu podbici przez Anglosasów i Normanów, wychodzą dziś z cienia, to Wielkiej Brytanii na razie raczej nie grozi rozpad. Do referendów droga daleka, a to, co miałoby stać się po nich, jest jeszcze bardziej złożone.

Trudno jednak lekceważyć potencjalną presję ze strony Cardiff, Edynburga i Belfastu, gdzie często słychać narzekania, że Londyn zapomina o tych regionach. Jeśli nadal będą czuć się lekceważone, może to zradykalizować nastroje. Nawet luźna „celtycka koalicja" może okazać się nie tylko medialną figurą – i stworzyć warunki do dalszej decentralizacji.

„To, co ludzie w Londynie lubią określać nieco protekcjonalnie jako celtyckie peryferia, zaraz stanie się sceną centralną" – zapowiada John Swinney. ©

OPINIE

IDEOLOGIA WYŻSZOŚCI

PROF. OMER BARTOV, IZRAELSKI HISTORYK I BADACZ HOLOKAUSTU:

Swoją polityką Izrael coraz częściej naraża Żydów na zagrożenie. To przeciwieństwo tego, co syjonizm obiecywał i co miał osiągnąć.

KAROLINA WÓJCICKA: Identyfikował się Pan kiedykolwiek jako syjonista? Pytam, gdyż w książce „Izrael. Co poszło nie tak?", której polski przekład właśnie się ukazał, patrzy Pan krytycznie na tę ideologię.

OMER BARTOV: Tak, urodziłem się w 1954 r. w kibucu Ein HaHoresh, dorastałem w syjonistycznym domu, służyłem w wojsku. Jednak w tym czasie nie myśleliśmy o sobie jako o syjonistach. Byliśmy po prostu Izraelczykami. Dopiero z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że byłem częścią całego przedsięwzięcia syjonistycznego. Jednocześnie moje rozumienie syjonizmu nie miało nic wspólnego z tym, czym ta ideologia stała się później.

Czyli czym?

Może zacznijmy od tego, czym syjonizm był w przeszłości: żydowskim ruchem narodowym. Czerpał z polskiego i ukraińskiego nacjonalizmu, był do nich podobny. Nurt, w którym się wychowałem, miał charakter socjalistyczny. Ale, jak każdy nacjonalizm, miał też swoje białe plamy. Największą byli Palestyńczycy, których syjonizm próbował ignorować. Z czasem stawało się to coraz trudniejsze, głównie ze względu na ich liczebność.

Jak można więc zdefiniować obecną formę syjonizmu?

To ideologia żydowskiej wyższości. Syjonizm jest rasistowski i przemocowy, a w kontekście wojny w Gazie przyjął też charakter ludobójczy. Stał się na tyle odrażający i nieludzki, że nie sądzę, by dało się go zreformować. Uważam, że powinien zniknąć.

W 1948 r. Izrael mógł uznać, że syjonizm spełnił swoje zadanie: stworzenie państwa z żydowską większością. Wtedy można było odłożyć go do archiwum, a państwo budować jako sprawiedliwe i równe dla wszystkich. Nie zdecydowano się na to. W tym momencie syjonizm przestał być ruchem wyzwolenia narodowego, a stał się ideologią państwową.

Syjoniści deklarowali jednak, że chcą budować kraj w oparciu o zasady równości, sprawiedliwości i pokoju. Co poszło nie tak?

To, co się stało z syjonizmem, przypomina los innych ruchów narodowych. Z chwilą dojścia do władzy są one zwykle w sytuacji, gdy ziemia, na której chcą urzeczywistnić swoje samostanowienie, jest zamieszkana nie tylko przez ludzi, których uznają za członków własnej wspólnoty narodowej. W efekcie wiele państw narodowych było państwami przemocowymi.

Problem syjonizmu polegał jednak na tym, że przeniósł on Żydów w inne miejsce niż to, w którym dotąd żyli. Syjonistyczne

AMIR LEVY / GETTY IMAGES

Od redakcji:

„W KWESTII NASZEGO stosunku do Izraela i Gazy jest coś, co powoduje, że ludzie prawi i otwarci, nawykli do uważnego słuchania siebie i innych, z zainteresowaniem przyjmujący odmienne perspektywy, nagle tracą te umiejętności" – napisaliśmy latem 2025 roku (TP 28/2025).

DZIŚ PRZYPOMINAMY – piórem Bożeny Keff – że „w życiu i w historii, inaczej niż w ideologii, zdarza się, że prawda polega na »i to, i tamto«, a nie na »to lub tamto«". Literaturoznawczyni i badaczka gender studies, podobnie jak historyk Zagłady Omar Bartov, używają tych samych pojęć – np. syjonizm – nadając im wszakże kompletnie odmienne znaczenia.

OBOJE SĄ KRYTYCZNI wobec polityki władz Izraela, ale w swojej krytyce, a także w ocenie historycznej i współczesnej odpowiedzialności za konflikt izraelsko-palestyński, inaczej rozkładają akcenty. Publikujemy ich stanowiska w przekonaniu, że powinny współistnieć: i na tych łamach, i w przestrzeni publicznej, poszerzając przestrzeń rozmowy. ©℗

Wiec przeciwko narastającej przemocy ze strony osadników wobec Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu. Tel Awiw, 16 kwietnia 2026 r.

hasło mówiło, że „naród bez ziemi udaje się do ziemi bez narodu". Tyle że gdy tam przybyli, okazało się, że ludzie już tam byli. Sam fakt przybycia Żydów do Palestyny stworzył więc konflikt, który miał dwa wymiary.

Jakie?

Pierwszym jest osadniczy kolonializm. Żydzi osiedlali się na ziemi zamieszkanej przez ludność rdzenną, co naturalnie rodziło napięcia. To typowe dla ruchów osadniczo-kolonialnych. Drugi wymiar polegał na tym, że nie był to tylko ruch kolonialny, lecz też narodowy. W odpowiedzi powstał palestyński ruch narodowy i doszło do konfliktu dwóch grup narodowych, z których każda rościła sobie prawa do tego samego terytorium.

W samym rdzeniu przemocy związanej z syjonizmem leży właśnie niemożność rozwiązania kwestii palestyńskiej. Wszystko inne jest tłem. Syjonizm nie chciał jej rozwiązać. W 1948 r. państwo izraelskie doprowadziło do wysiedlenia większości ludności palestyńskiej i na chwilę stworzyło, przemocą, państwo z żydowską większością.

Ale w 1967 r. Izrael zajął kolejne terytoria.

Żyli na nich ci ludzie, których wcześniej wypędzono. Odtąd Izrael stał się w praktyce krajem w połowie żydowskim, a w połowie palestyńskim, przy czym Palestyńczycy żyją jako obywatele o ograniczonych prawach lub w ogóle pozbawieni praw. To istota problemu. Prowadzi to do coraz większej brutalizacji i dehumanizacji – zarówno Palestyńczyków, jak i Żydów w relacji do Palestyńczyków.

Gdyby ten „problem" usunąć, można by przejść do sytuacji, która przypominałaby to, co stało się w wielu państwach Europy po II wojnie światowej: stały się państwami z większością jednej grupy etnicznej. Dokonano tego poprzez przemoc, w tym ludobójstwo i czystki etniczne, których Izrael też próbował, ale jak na razie bezskutecznie.

Proponuje Pan inne rozwiązanie: to syjonizm powinien zniknąć. Problem polega jednak na tym, że Izrael i syjonizm są ze sobą związane. Czym byłby ten kraj bez syjonizmu, gdyby ta państwowa ideologia przestała istnieć?

Nie wszyscy w Izraelu identyfikują się jako syjoniści. Jest wielu ultraortodoksyjnych Żydów, którzy mają ogromny wpływ na społeczeństwo, a oni nie tylko nie są syjonistami, lecz są wręcz antysyjonistami. Są też, choć to mniejsza grupa, świeccy Żydzi o liberalnych poglądach. Jeśli określają siebie jako syjonistów, rozumieją go inaczej niż w kategoriach tej mesjanistycznej, militarystycznej doktryny, która zdominowała kraj. ↦

↦ Uważam, że syjonizm stał się ideologią państwową, której nie da się już dłużej bronić. To trochę tak jak z faszyzmem we Włoszech. W pewnym momencie Włochy zostały z nim utożsamione. A przecież istniały przed faszyzmem i istnieją również dziś bez faszyzmu.

Ale Izrael nigdy nie istniał bez syjonizmu.

To prawda, jednak Żydzi istnieli na długo przed nim. Dziś Izrael musi znaleźć sposób, by zdefiniować się jako państwo wszystkich swoich obywateli. Mówiono o tym już wcześniej, zwłaszcza w latach 90. XX w., podczas negocjacji w Oslo. Wtedy wielu ludzi, Żydów i Palestyńczyków żyjących w Izraelu, używało tego określenia: państwo wszystkich obywateli. Państwo, które nie byłoby tak etnocentryczne, że każdy nie-Żyd byłby w nim niemile widziany albo miał ograniczone prawa.

Jeszcze wcześniej pojawiały się idee stworzenia izraelskiej tożsamości, która nie byłaby ani syjonistyczna, ani żydowska, ani palestyńska, lecz po prostu izraelska.

Syjonizm był ruchem narodowym. To ideologia, a nie tożsamość. W momencie, gdy ludzie zaczynają traktować ideologię jako własną tożsamość, powstaje problem. Można jednak odrzucić ideologię, zachowując swoją tożsamość językową, kulturową i historyczną.

Przedstawia Pan w książce pewną koncepcję.

Piszę o pozytywnej perspektywie. Chodzi o możliwość stworzenia konfederacji, w której Żydzi mogliby mieć własne państwo żydowskie, definiowane tak, jak sami chcą, a Palestyńczycy własne państwo palestyńskie, też definiowane po swojemu. Oba te organizmy funkcjonowałyby razem, gdyż w praktyce nie da się już ich rozdzielić.

Terytorium jest za małe?

To mały obszar. Wszystko jest ze sobą nierozerwalnie powiązane, ludzie żyją obok siebie. Jeśli udałoby się stworzyć konfederację z otwartymi granicami, swobodą przemieszczania się i rozróżnieniem między obywatelstwem a miejscem zamieszkania, tak aby można było mieszkać w jednym miejscu, a być obywatelem drugiego państwa, to w dłuższej perspektywie mogłoby to przekształcić się w państwo wszystkich swoich obywateli.

> Syjonizm jest rasistowski i przemocowy, a w kontekście wojny w Gazie przyjął też charakter ludobójczy. **Stał się na tyle odrażający i nieludzki, że nie sądzę, by dało się go zreformować.**

Zdaje się, że także Żydzi są ofiarami obecnego systemu. Pisze Pan: „Zobowiązując się do ocalenia Żydów przed przyszłymi zagrożeniami egzystencjalnymi, syjonizm stworzył kraj, którego poczucie tożsamości opiera się na tezie o istnieniu takiego właśnie zagrożenia. Zagrożenia wynikającego w dużej mierze z polityki, która miała je wyeliminować".

Ważną kwestią są relacje między Izraelem a żydowską diasporą na świecie. Pod względem liczebności połowa Żydów żyje w Izraelu, a połowa poza nim, głównie w USA. Ta relacja staje się coraz bardziej problematyczna, a po 7 października 2023 r. napięcia się pogłębiły. Wielu Żydów, zwłaszcza młodych, odwraca się od Państwa Izrael. Dawniejsza identyfikacja z nim, oparta na powierzchownym związku z syjonizmem jako elementem żydowskiej tożsamości, została mocno osłabiona przez wojnę w Gazie.

Ponadto relacja między judaizmem a żydowską tożsamością wygląda dziś w diasporze inaczej niż w Izraelu, gdzie syjonizm i religia zlały się ze sobą. Część świeckich lewicowych Żydów w Izraelu twierdzi, że tak nie jest, ale oszukują sami siebie. W Izraelu judaizm silnie związał się z przemocą, mesjanizmem i ideą żydowskiej wyższości. Tego Żydzi z diaspory nie są w stanie przyjąć. Nie można być w USA żydowskim supremacjonistą jako mniejszość. To byłoby samobójcze. Można tam spotkać białych supremacjonistów, ale mniejszość nie może skutecznie funkcjonować jako grupa głosząca własną wyższość nad innymi.

To tworzy ogromny rozdźwięk między tym, czym judaizm jest dla Żydów poza Izraelem, a czym stał się w samym Izraelu. Przez swoje działania i ciągłe przedstawianie się jako reprezentant Żydów na całym świecie – często bez pytania ich o zgodę – Izrael sprawia, że Żydzi w diasporze są utożsamiani z działaniami i zbrodniami państwa izraelskiego.

To napędza antysemityzm?

Dostarcza mu paliwa, nadaje mu pozory legitymizacji i daje antysemitom argument, że Żydzi na całym świecie są współodpowiedzialni za działania i zbrodnie Izraela. W Stanach, ale nie tylko tam, coraz częściej wpisuje się to w antysemicką narrację o Żydach rzekomo „pociągających za sznurki" w amerykańskiej polityce.

To jest ten stary tradycyjny antysemityzm, który Izrael dziś dodatkowo wzmacnia. Mowa choćby o wpływie potężnych darczyńców w USA czy naciskach wywieranych na uczelnie przez sponsorów, z których wielu to żydowscy miliarderzy. To wszystko tworzy przestrzeń dla antysemickiego dyskursu.

W efekcie Izrael stał się dla Żydów na całym świecie czymś bardzo niebezpiecznym. Zamiast być bezpieczną przystanią, coraz częściej naraża ich na zagrożenie. Jeśli ten proces będzie postępować, społeczności żydowskie będą coraz bardziej dystansować się od Izraela i budować własną, bardziej niezależną tożsamość: własne rozumienie judaizmu, tradycji i wiary, oddzielone od tego, co rozwinęło się w Izraelu. Będzie to przeciwieństwem tego, co syjonizm obiecywał i co miał osiągnąć.

Izraelczycy chyba widzą to inaczej. Często słyszę od nich, że „cały świat jest przeciw nam", że muszą się bronić sami. Nie widzą, że rzeczywistość nie jest czarno-biała: władze państw Zachodu stoją za nimi, państwa arabskie robią z Izraelem interesy, a Jordania nawet zestrzeliwuje pociski lecące z Iranu na Izrael.

Przekonanie, że „cały świat jest przeciw nam", to stary element izraelskiej narracji. W ostatnich latach coraz mocniej podsycany przez izraelską prawicę. W efekcie wielu Izraelczyków ma dziś zniekształcony obraz świata wokół siebie.

Sunnickie państwa arabskie chciały normalizować relacje z Izraelem już 20 lat temu. Izrael również był tym zainteresowany. Problemem pozostawali jednak Palestyńczycy, gdyż autorytarne pań-

stwa arabskie nie mogły sobie pozwolić na pełną normalizację stosunków z Izraelem bez jakiegokolwiek rozwiązania kwestii palestyńskiej. Tymczasem Izrael nie tylko odmawiał rozwiązania tego problemu, ale systematycznie pogarszał sytuację Palestyńczyków.

To zniekształcenie rzeczywistości dotyczy też stosunku do Europy. W Izraelu często zakłada się, że każda krytyka działań państwa izraelskiego musi wynikać z antysemityzmu.

Spotkał się Pan z takim zarzutem?

Izraelski ambasador w Niemczech twierdził, że jestem jednocześnie „Żydem nienawidzącym samego siebie" i „antysemickim Izraelczykiem". Takie myślenie utrudnia podejmowanie racjonalnych decyzji. Jest jednak skuteczne o tyle, że oślepia dużą część izraelskiego społeczeństwa i nie pozwala jej dostrzec rzeczywistości.

Oczywiście to nie musi trwać wiecznie. Ludzie w końcu zmienią zdanie, ale zrobią to tylko wtedy – a historia zna takie przykłady – jeśli zostaną mocno skonfrontowani z rzeczywistością.

Co to znaczy?

Chodzi o coś w rodzaju terapii szokowej. Gdyby USA zmieniły swoją politykę wobec Izraela, sytuacja wyglądałaby inaczej. Uważam zresztą, że prędzej czy później tak się stanie – może nie za prezydentury Trumpa, ale za kolejnych administracji, zarówno demokratycznych, jak i republikańskich.

Jeśli USA przestałyby dawać Izraelowi pełne polityczne przyzwolenie, centrum decydujące o granicach izraelskiej siły przestałoby znajdować się w Waszyngtonie, gdzie Izrael dobrze zna swoje wpływy, a wróciłoby do Jerozolimy. Wtedy granice tej siły stałyby się bardziej wyraźne i Izrael musiałby wrócić do polityki, zamiast opierać się tylko na przemocy. Bo dziś porzucił politykę i posługuje się niemal wyłącznie siłą. Jak mówi się w Izraelu: „Jeśli przemoc nie działa, użyj jeszcze większej przemocy". Ale ta przemoc jest możliwa dzięki wsparciu USA, a także europejskich sojuszników Izraela, zwłaszcza Niemiec.

Gdyby USA radykalnie zmieniły swoje stanowisko, zmieniłaby się też polityka Europy. Europejczycy w dużej mierze czekają dziś na ruch Amerykanów. Wtedy Izrael musiałby uznać granice własnej siły.

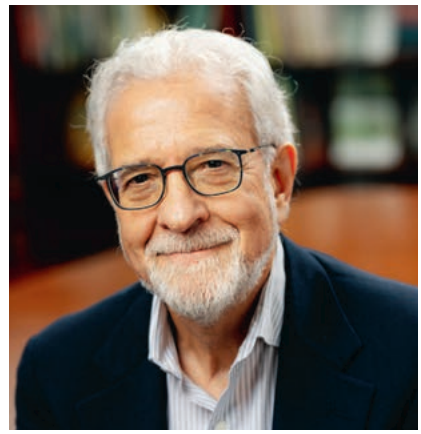

PETER GOLDBERG

PROF. OMER BARTOV (ur. 1954) jest izraelskim historykiem polskiego pochodzenia (rodzice jego ojca emigrowali z ziem polskich do Palestyny, a jego matka, urodzona w Buczaczu na Podolu, przybyła tam w latach 30.). Uczestnik wojny Jom Kipur w 1973 r. jako dowódca kompanii. Obecnie wykładowca Brown University w USA. Autor kilkunastu książek, głównie o historii III Rzeszy; autorytet w dziedzinie badań nad Holokaustem i ludobójstwem. W maju nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się jego książka „Izrael. Co poszło nie tak?".

Co to oznaczałoby w praktyce?

Że Izrael nie miałby już nieograniczonego dostępu do broni. Że mogłyby zostać wobec niego zastosowane sankcje gospodarcze, militarne, kulturalne czy sportowe. Gdyby Zachód zaczął wywierać realną presję na Izrael, tak jak robił to wobec RPA w czasach apartheidu, sytuacja mogłaby się zmienić. Bo ludzie chętnie korzystają z nieograniczonej siły, kiedy ją mają. Ale kiedy ją tracą, muszą zmierzyć się z rzeczywistością.

Równie dobrze Izrael może stać się „drugą Spartą". Premier Netanjahu sugerował to w jednym z wystąpień.

To pusta retoryka. Izrael nie może być nową Spartą, bo od początku był zależny od ogromnego wsparcia z zewnątrz. Spójrzmy na wojnę z 1948 r.: Izrael otrzymał wtedy wielkie dostawy broni, dzięki czemu pod koniec tej wojny izraelska armia była silniejsza niż wszystkie otaczające ją armie arabskie razem wzięte. Izrael zawsze opierał się na zagranicznej pomocy. To mały kraj. I wbrew pozorom to dość kruche społeczeństwo. Pełne ostentacyjnej pewności siebie, ale jednak kruche.

Jeśli Izrael zostałby zmuszony do uznania własnych ograniczeń – nie mam na myśli jego zniszczenia ani trwałego osłabienia, lecz powrót do realistycznej oceny swej siły – byłoby to korzystne także dla niego. Bo to, co Izrael robi dziś w Gazie, na Zachodnim Brzegu, w Libanie i Syrii ma ogromny wpływ także na społeczeństwo Izraela i jego politykę wewnętrzną. Państwo staje się coraz bardziej autorytarne. Praworządność zanika. Coraz wyraźniej widać elementy apartheidu przenikające do samego Izraela.

Trudno mi sobie wyobrazić, że Izraelczycy zmienią swoje podejście. Pisze Pan w książce, że Pana poglądy są tam skrajnie niepopularne, że nie jest Pan w stanie prowadzić normalnych dyskusji z izraelskimi przyjaciółmi, albo że studenci w Beer Szewie protestowali przeciw Pana wystąpieniu na ich uczelni.

Jestem historykiem. Patrzę na to, co działo się z innymi krajami, które miały imperialne ambicje i marzenia o wielkości. I patrzę też, jak to się kończyło oraz jak później stawały się bardziej normalnymi, bezpiecznymi, a często też szczęśliwszymi społeczeństwami.

Spójrzmy na Francję. Prowadziła brutalną wojnę w Algierii, zabijano setki tysięcy ludzi, ginęły też dziesiątki tysięcy Francuzów. Gdy Francja zrezygnowała z Algierii, mogła się zmodernizować i stała się lepszym miejscem do życia.

Albo Niemcy. Kto w 1944 r. uwierzyłby, że mogą istnieć inne Niemcy? Jednak po przegranej wojnie Niemcy odbudowano, nazizm usunięto z życia publicznego, powstało nowe społeczeństwo. Nadal niemieckie, oparte na tej samej kulturze i tradycji, ale funkcjonujące w innych granicach politycznych i moralnych.

Również Izrael będzie musiał kiedyś zmierzyć się z własnymi ograniczeniami. Zresztą już dziś widać, że to państwo zaczyna dochodzić do granic swoich możliwości.

© Rozmawiała KAROLINA WÓJCICKA

KAROLINA WÓJCICKA *jest dziennikarką „Dziennika Gazety Prawnej". Autorka książki „Z nakazu Boga. Izraelczycy i wojna w Strefie Gazy" (Wydawnictwo Mando 2026).*

ABOOD ABUSALAMA / MIDDLE EAST IMAGES / AFP / EAST NEWS

Zamaskowani bojownicy Hamasu pokazują tłumowi izraelskiego zakładnika przetrzymywanego od 7 października 2023 r., przed przekazaniem go Czerwonemu Krzyżowi. Rafah, Strefa Gazy, 22 lutego 2025 r.

Izrael i szaleństwo waszych uczuć

BOŻENA KEFF

W życiu i w historii, inaczej niż w ideologii, zdarza się, że prawda polega na „i to, i tamto", a nie na „to lub tamto". Konflikt Izrael–Palestyna ma cechy konfliktu tragicznego.

Wielu z nas czuje to, o czym pisał egipsko-amerykański autor Hussein Aboubakr Mansour w eseju „The Age of Moral Sadism" (Wiek moralnego sadyzmu) – mianowicie, że są pojęcia, których używa się obecnie bez rzeczywistego związku z ich zawartością znaczeniową i kontekstem historycznym. W słowach takich jak „nazizm", „apartheid" „kolonializm" – stosowanych wobec Izraela zwłaszcza po 7 października 2023 r. – nie zostało prawie nic z ich pierwotnego znaczenia.

Stalin używał terminu „faszysta" wobec osób, które chciał najpierw napiętnować, a potem zabić. Putin robi podobnie, mówiąc o „nazistowskim" rządzie ukraińskim. Czynność nazywania powołuje do życia wyobrażenie materialnego odpowiednika słowa, to samo robią egzorcyści, kiedy wypędzają z kogoś „szatana", którego tym samym powołują do życia. Mansour zauważa, że współcześnie polityka przejęła funkcję religii, a sąd ostateczny sprawują w niej ludzie – poprzez media. Nie ma dyskusji, jest potępienie i wyrok, a skazany nie ma prawa się bronić, ponieważ szatanowi nie udzielamy głosu. „Nie, Izrael nie ma prawa do istnienia" – to tytuł tekstu w „Krytyce Politycznej". A Rosja, która prowadzi wojnę, też nie ma prawa do istnienia? A Stany Zjednoczone?

Nieporozumień jest więcej. Mówienie o Izraelu jako kraju kolonialnym to nie tylko błąd, to ideologia. Posługiwanie się w jego kontekście tym terminem jest mechanicznym, ahistorycznym przeniesieniem; przeniesieniem z powodu podobieństw, bez uwzględnienia niepodobieństw. Syjonistyczni pionierzy przybyli do Palestyny, aby (od)zyskać ojczyznę i wybawienie od wielowiekowej opresji. Kraj znali od wieków z tekstów swojej historii i religii, z obyczaju. Po wojnie wszystkie żydowskie opcje polityczne, łącznie z Bundem (a raczej z jego nielicznymi ocalałymi po Zagładzie członkami), były po stronie Izraela, choć przed wojną socjalistyczny Bund był antysyjonistyczny.

Węzeł gordyjski: historia cudza i własna Palestyny

Czy to oznacza, że dla Palestyńczyków pojawienie się Żydów na ich ziemi nie było inwazją, nie stanowiło konkurencji do tych samych zasobów? Oczywiście było, stanowiło. A jednak byli to ludzie powracający z obozów i kryjówek, uchodźcy szukający miejsca do życia. To była największa fala późniejszych mieszkańców Izraela. Bowiem w życiu i w historii, inaczej niż w ideologii, zdarza się, że prawdą jest „i to, i tamto", a nie, jak w ideologii „to lub tamto".

Izrael powstał legalnie, w 1948 r. – poparła jego istnienie większość (83 proc.)

krajów ONZ. Być może część głosujących miała ukryte założenie, że eksperyment się nie utrzyma, i kiedy na nowe państwo napadły wszystkie ościenne kraje arabskie (Egipt, Transjordania, Irak i Syria), mogło się wydawać, że sprawa sama się rozwiąże. Ale się nie rozwiązała.

Palestyńczycy są ludźmi, którym spadła na głowy konsekwencja cudzej historii: nie musieli jej rozumieć ani akceptować. Z drugiej strony dziś mierzą się też z konsekwencjami własnych wyborów. Nazizm stanowił osnowę intelektualną palestyńskiego ruchu nacjonalistycznego. Wielki Mufti Jerozolimy był wyznawcą Hitlera, spotkał się z nim i obiecał pomoc w zgładzeniu Żydów Jerozolimy, gdyby doszło do jej zdobycia.

A niemal sto lat później, wśród bez umiaru nakręcanej przez Hamas propagandy nienawiści, rodzą się kolejne pokolenia mieszkańców Palestyny. Izrael coraz bardziej nie znika, choć coraz bardziej się separuje – nie przed Arabami przecież, lecz przed ich terrorem.

W narracjach o wojnie 7/10 Hamas w pewnej chwili zniknął i już nie powrócił. Pozostała tylko opowieść o Izraelu, który walczył z cywilami w Gazie. A przecież Hamas cały czas tam był, jego żołnierze – ubrani jak wszyscy wokół – walczyli otoczeni cywilami, nad którymi sprawowali despotyczną władzę. Hamas wygrał medialnie: kiedy to piszę, mam świadomość, że stoję wobec fali wysokiej jak góra, która płynie, niosąc wszystko: propagandę antyizraelską, antysemityzm w wielkich ilościach, wezwania do męczeństwa w imię islamu, brutalność IDF i setki innych składników. W tej fali jest też mitologa lewicy na temat Gazy, Hamasu i walki antykolonialnej.

Wojna bez końca: chodzi o prawo Izraela do istnienia

Ani Izraelczycy, ani Palestyńczycy nie są w dobrej sytuacji. Zawiodły wielokrotne, czasem hojne (premier Ehud Olmert) oferty zawarcia „pokoju za ziemię" i Izraelczycy działają z pozycji siły, bo nie widzą dla siebie innego wyjścia. Palestyńczycy z kolei trwają przy swoim wyobrażeniu absolutnej sprawiedliwości – czyli zniesieniu Izraela z mapy świata: dziewięć milionów, w tym dwa i pół miliona Arabów izraelskich, ma się rozpłynąć w powietrzu, albo we własnej krwi.

Mówi się, że straszna rzeź, jakiej dopuścił się Hamas 7 października 2023 r., wyrażała nagromadzoną od dekad urazę i gniew. Ale odpowiedź Izraela też wyraża nagromadzone latami urazę, zawód i chęć zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Kraj prowadzi wojnę od niemal ośmiu dekad, a jeśli nie ma bezpośrednich starć zbrojnych, trwają ataki terrorystyczne i ostrzał rakietowy. Oczywiście, że Izrael nie jest bez winy: prawica decydująca o polityce wewnętrznej to katastrofa, a działania państwa i osadników na Zachodnim Brzegu i w Gazie zasługują na potępienie. Ale nie o tym teraz piszę. Piszę o tym, że Izrael ma prawo istnieć, i że Izraelczycy są w powszechnej narracji medialnej traktowani bez cienia empatii.

Ponadto afirmacja Hamasu prowadzi w konkretne rejony globalnej polityki, bo jego sojusze to Iran, Katar, Rosja, Chiny, Korea Północna, państwa islamskie Afryki i Bliskiego Wschodu, liczne dyktatury i kraje autorytarne.

Antysemityzm: łatwo wrócić do postaw, które nigdy naprawdę nie odeszły

Pisząc, że Izrael nie jest krajem kolonialnym, mam na myśli to, że Izrael jest kategorią sam dla siebie: i z powodu losów Żydów w chrześcijańskiej Europie, i z powodu swojej własnej historii. Żaden inny lud ani nacja nigdy nie były tak długo i tak całkowicie dehumanizowane i demonizowane jak Żydzi.

Czy można było wjechać z mniejszą paradą do historii chrześcijańskiej Europy niż jako zabójcy Boga? I „pożegnać ją" w komorach gazowych, w rowach po lasach (a te śmierci kwitowało nieraz znane polskie zdanie „Hitler się za nas rozprawił z Żydami")? Nazizm nie stworzył antysemityzmu, i nie był ruchem szczególnie związanym z religią, ale mógł używać rasistowskiej odmiany antysemityzmu, ponieważ miał za sobą wieki zakorzenionej w kulturze chrześcijańskiej nienawiści i pogardy wobec Żydów.

W chrześcijańskiej Europie, niezależnie od tego, że to Żydzi byli grabieni, zabijani i upokarzani – i tak byli postrzegani jako sprawcy zła, a nie jego ofiary. To, co się z nimi działo w rzeczywistości, nie przekładało się na ich status, który był i pozostał metafizyczny – pozadoświadczalny, ponieważ byli (dla wielu są) niezmiennym wcieleniem zła tego świata. Są też złem dla części świata pozachrześcijańskiego, w tym muzułmańskiego, bo do powodów religijnych doszły polityczne; antysemityzm się zglobalizował.

Konflikt Izrael–Palestyna, jak pisał Amos Oz i wielu innych twórców, ma cechy konfliktu tragicznego, gdzie racje obu stron są podobnie mocne, ale pochodzą z różnych źródeł, z różnych nadań. Ponieważ z czasem Izrael stał się krajem pod wieloma względami silniejszym od Palestyny, wydaje się, że równoważność racji się zaburzyła. Ale tak nie jest. Racje pozostają takie same. Tylko siła militarna Izraela i jego sojusz z USA powodują, że malutki kraj wydaje się większy. Ale nie jest większy.

Spór o syjonizm: to nie jest nazizm i nigdy nie był

Żydzi w tradycji Europy zostali uznani za ofiary tyko raz: po Zagładzie. Jakby Zagłada ich uczłowieczyła. Ale nie na długo. Fraza „syjonizm jest jak nazizm" pojawiła się po raz pierwszy po przegranej Egiptu w wojnie z 1967 r., gdy przedstawiciel ZSRR użył jej w ONZ, ale rychło wstrzeliła się w obieg języka antysemickiego – i została wchłonięta przez lewicę.

To właśnie wtedy w retoryce globalnej pojawił się wątek kolonialny, który – co zawsze się dzieje w przypadku Izraela – został podchwycony przez antysemitów. Z czasem, w kontekście antykolonializmu właśnie, syjonizm zatracił pierwotne znaczenie – idei utworzenia państwa żydowskiego – i stał się synonimem „kolonialnej" praktyki stosowanej przeciwko Palestyńczykom. (Czy zakładanie osiedli żydowskich na Zachodnim Brzegu to syjonizm? Nie, to raczej kolonialne działanie Izraela – syjonizm to idea Mosesa Hessa z 1862 r. i Theodora Herzla z 1896 r.: założenia w Izraelu państwa żydowskiego; Izrael nie jest krajem kolonialnym, ale może działać kolonizatorsko – to nie samo.)

W czasie wojny 7/10 Żydzi wrócili w narracji medialnej na miejsce, które zajmowali w eschatologii chrześcijańskiej – skrajnego zła, Antychrysta. Zło w wydaniu żydowskim jest zawsze ostateczne: chcieli zniszczyć ład boży (czyli chrześcijański), podporządkować sobie rasę aryjską, a w tej wojnie, w opinii ogólnej, ukrzyżowali naród palestyński.

Trzy lata później strona palestyńska ma za sobą sympatię opinii publicznej. ↦

↦ Hamas wygrał wojnę propagandową, a właściwie wygrali ją dla Hamasu zachodni sojusznicy, którzy albo nie przyjęli do wiadomości zbrodni rozpoczynającej tę odsłonę konfliktu, albo przyjęli ją z przyjemnością. Nie nadali też znaczenia temu, że Hamas od początku prowadził wojnę kosztem ludności cywilnej. W mediach podkreślano każdy rodzaj palestyńskich krzywd, a kiedy w Gazie zapanował głód, ze świata płynęła pomoc, jaka nie ruszyła ani do Sudanu, ani w żaden inny głodny rejon świata. Równocześnie nikt się nie troszczył o izraelskich zakładników: ani ONZ, ani Czerwony Krzyż; ze świata nie płynęły apele do Hamasu, żeby zakładników nie bito, nie gwałcono, nie głodzono.

Piszę o tym, jak mówimy, i o kontekstach, o których milczymy. Do tych kontekstów należy wspomniane już stałe założenie strony palestyńskiej, że Izrael ma zniknąć. Nie chodzi o ziemie – chodzi o to, żeby Izraela nie było.

Czy państwo Izrael powstało sprawiedliwie? Kiedy powstawało, wszystkie tereny, które nadawały się do zamieszkania, były zamieszkane i wypędzani z nich Palestyńczycy ponieśli wiele krzywd. Niemniej Izrael ma prawo istnieć, na zasadzie aktów dokonanych w historii, która – taka jest jej istota – nigdy nie jest absolutnie sprawiedliwa. Palestyńczycy chcą sprawiedliwości absolutnej; takiej, która przywróci stan sprzed powstania Izraela. Tylko że nie ma takiej sprawiedliwości i trzeba korzystać z tej, która jest. Przy czym może utopijnie uważam, że Europa powinna być rozjemcą w tym konflikcie, ponieważ Izrael powstał z powodu jej antysemityzmu.

Pytanie naiwniaka: czy naród, który tyle wycierpiał, może robić złe rzeczy?

Wróćmy do początku. Od dawna w reakcjach na konflikt izraelsko-palestyński zagnieździł się zestaw porównań działań Izraela z działaniami nazistowskich Niemiec. Nie dlatego przecież, że istnieje jakaś realna zbieżność, ale dlatego, że te porównania odnoszą się do historii Żydów jako ofiar: podważają ją i odwracają. Porównania te „demonstrują", że dawne ofiary działają tak samo (lub jeszcze bardziej) bestialsko, jak ich dawni oprawcy. Jeśli bowiem „syjonizm jest jak nazizm", nie tylko znosi to różnicę między katem a ofiarą, lecz także informuje nas, że dawne ofiary mają większy nawet potencjał, by krzywdzić innych niż naziści. I wreszcie: porównania te są negacją znaczenia Zagłady. Do tej kwestii jeszcze wrócę.

> Żydzi w tradycji Europy **zostali uznani za ofiary tylko raz: po Zagładzie.** Jakby Zagłada ich uczłowieczyła. Ale nie na długo.

„Jak naród, który tyle wycierpiał, może robić te same lub nawet gorsze rzeczy innym?" – brzmi to znane pytanie. Czyli to ma być ciągle ten sam naród, gdyż „proszę pani, Żyd to Żyd, a oni się nie zmieniają". Esencjonalizm, rodzaj rasizmu. A jednak to nie jest ten sam naród, bo tamtego już nie ma. Izraelczycy mają z nim wielorakie związki, nie są jednak kolejnym wcieleniem sześciu milionów Żydów, które zginęły. Po drugie: nie robią tego samego. Po trzecie: bronią się (nie wiem, czy robią to dobrze, czy nie, nie jestem specjalistką od działań wojennych, ale od 1948 r. – bronią się). Po czwarte: chcą żyć w swoim państwie, ponieważ Europejczycy sprawili, że życie w Europie stało się dla nich niemożliwe.

A pytający: czemu udają naiwnych? Czy nie jest to oczywiste, że każdy naród lub grupa ludzi, którzy wiele wycierpieli, może robić innym złe rzeczy? Cierpienie nie uszlachetnia, a wojna sama w sobie jest złem. Jeśli syjonizm jest jak nazizm – to Pac jest wart pałaca, a ofiara kata. Możemy Zagładę uznać za dintojrę, jakiś rodzaj porachunków pomiędzy najgorszymi – syjonistami i nazistami, Żydami i Niemcami. To skrajnie antysemickie rozumowanie, ale przecież istnieje w przestrzeni publicznej.

Bez porównania: jak było w getcie

Hasło „syjonizm jak nazizm" ma w sobie potencjał, żeby unieważnić Zagładę. Jeśli mówimy o ludobójstwie ze strony Izraela, nie pytając o to, czym jest ludobójstwo, wierząc, że jest tak, jak mówią propagandyści islamscy, przykładamy się do unieważnienia Zagłady.

Istnieje wiele sformułowań zestawiających działania nazistowskie i izraelskie: „ruiny Gazy jak ruiny getta warszawskiego", „Zagłada Palestyńczyków", „izraelskie Luftwaffe". „Spostrzeżeń" mówiących, że warunki w Gazie są rzekomo gorsze niż w getcie warszawskim, było w ostatnich miesiącach bardzo dużo.

Dobrze więc: jest taka relacja z getta, gdzie świadek opisuje, jak wyglądał w środku budynek na Umschlagplatzu – miejscu, w którym czekano na wagony wiozące ludzi do komór gazowych. Kiedy znalazł się wewnątrz, na schodach siedzieli ludzie, z tobołkami i torbami, i tak już apatyczni z powodu ustawicznego głodu, słabi i wyczerpani strachem o własne życie. Na najwyższym piętrze ukraińscy żołnierze gwałcili dziewczynę. Schodami w dół płynął mocz, bo nie było się gdzie załatwić: kto się przebił przez czekający na zwierzęce wagony tłum, mógł wejść do pokoju, gdzie się załatwiano. Nie było tam kanalizacji, po prostu ktoś zrobił to pierwszy. Odór tej góry odchodów bił na cały budynek.

Getto warszawskie należy zostawić w spokoju, bo jeśli nawet ktoś miał w domu działającą do lipca 1942 ubikację, niczego to nie zmienia. W ogóle nie ma powodów, poza szaleństwem waszych uczuć, przywoływać getta ani jego warunków higienicznych, ze zwłokami na ulicach i z kanalizacją dobrze, średnio lub ledwo działającą.

Czego natomiast w spokoju zostawić nie należy? Antysemityzmu, który (może przy okazji sprawiedliwej krytyki Izraela) zalegalizował się w nocy z 7 na 8 października 2023 r., kiedy społeczności arabskie w Europie i w USA, lewica, studenci i inni sympatycy Hamasu ze słodyczami, muzyką i gratulacjami świętowali śmierć zarżniętych, popalonych, zgwałconych Izraelek i Izraelczyków. Rozkoszy, bezwstydnej *juissance* możliwości mordowania Żydów, wznieconej, jak napisała Herta Müller, od jednego pstryknięcia palcami, milionami płomieni pośród tamtej nocy. © BOŻENA KEFF

Autorka jest związaną z Żydowskim Instytutem Historycznym literaturoznawczynią i badaczką gender studies. Poetka i eseistka, za „Postać z cieniem" i za „Utwór o matce i ojczyźnie" była nominowana do Nagrody Literackiej Nike; wydała także m.in. „Antysemityzm. Niezamkniętą historię".

NATALIA

de Barbaro:
W oparach ekstrawersji

Osobiście bardzo lubię *Homo sapiens*. Fascynuje mnie różnorodność ludzkich osobowości; to, że nie ma dwóch identycznych przedstawicieli naszego gatunku. Są jednak pewne wymiary, w które psychologowie próbują tę różnorodność wpisać. Jednym z najlepiej udokumentowanych podziałów jest ten na introwertyków i ekstrawertyków.

Dla porządku – oraz na wypadek, gdybyście nie postawili sobie jeszcze w tej sprawie autodiagnozy: ekstrawertyk często mówi i myśli w tym samym momencie; introwertyk potrzebuje mieć przemyślane, zanim powie. Ekstrawertyk często nawiązuje wiele krótkich kontaktów, introwertyk woli mniej relacji, ale głębszych. Ekstrawertyk śmiało zajmuje przestrzeń w rozmowie, introwertyk wchodzi w przestrzeń społeczną znacznie ostrożniej. Zmęczony ekstrawertyk mówi: „jestem wykończony, potrzebuję iść na imprezę!". Zmęczony introwertyk mówi: „jestem wykończony, potrzebuję pobyć sam". Dla niezdecydowanych jest jeszcze trzecia wersja – ambiwersja (trochę tego, trochę tego).

Oba typy mają swoje, jak mawia mój przyjaciel, zady i walety. Świat potrzebuje dnia i nocy, lata i i zimy, ekstrawersji i introwersji. Dobrze byłoby, gdyby obie energie pozostawały w równowadze. Ale tak nie jest. Świat bowiem obecnie pławi się w energii ekstrawertycznej. I nie zanosi się w tej sprawie na zmianę.

Jest trochę tak, jakby uznano, że introwertyk to taki ekstrawertyk, któremu nie wyszło. Niechby więc podciągnął się chociaż na tróję z minusem! Świat próbuje w tym pomagać. Tym, którzy pracują w korpo, firmy fundują szkolenia typu „Jak zaczarować tłumy", „Asertywne przywództwo" czy „Strategiczna obecność w kanałach społecznościowych".

No właśnie. Kanał! I do tego społecznościowy. Tu na scenę wkracza nowy bóg-którego-nikt-nigdy-nie-widział: Algorytm. Czymkolwiek jest ta bestia, nie da się jej odmówić zachłanności. Doświadczają jej zwłaszcza ci, którzy pracują w wolnych zawodach. Np. Bogu ducha winne utalentowane autorki i autorzy książek, którzy chcieli sobie spokojnie siedzieć przy biureczkach po babci i pisać – a tymczasem są przez potencjalnych wydawców pytani o zasięgi. Niektórzy nie rozumieją pytania. Zasięgi? Ale że co? Czy mam zasięg? Tak, ja panią dobrze słyszę! Albo nauczycielki jogi, które chciały się szkolić z jogi, a nie z tego, jak robić rolki pod tytułem „dwie minuty dla kręgosłupa", czy ogrodnicy, którzy zamiast przycinać rododendron, kręcą filmiki na tle nieprzyciętego rododendronu! Świat stał się sceną, na której jest za mało miejsca, ale ci, którzy woleliby siedzieć na widowni, wypychani są na środek tej sceny.

A przydałyby się nam szkolenia od introwertyków dla ekstrawertyków. Np. „Jak zajmować mniej miejsca?", „Jak polubić bycie w pojedynkę?", „Jak przestać perorować, kiedy przy stole siedzi ktoś jeszcze?", „Jak nie zapchać znajomym pamięci w telefonie zdjęciami z podróży?".

Introwertycy mają swoje sekrety i, zgodnie ze swoją dyskretną naturą, nie dzielą się nimi. Ale ja, osobiście ambiwertyczna, znam te sekrety i uchylę rąbka tajemnicy. Np. introwertyk prawie nigdy ekstrawertykowi nie powie, że po półtorej godziny spotkania towarzyskiego chętnie zostałby już sam. Że nawet dla niego, często umiejętnego słuchacza, słuchanie przez trzy godziny non stop o czyichś przygodach i osiągnięciach to za dużo. Że nie będzie karczował sobie drogi w dżungli monologów podczas zebrania zespołu, chociaż on akurat ma doświadczenie w temacie, a monologujący perroryści – nie bardzo.

Liczne badania potwierdzają, że ci, którzy mówią więcej, głośniej i pewniej, nie mają więcej do powiedzenia niż ci, którzy mówią mniej, ciszej i z większym wahaniem. Nie potrzeba zresztą na to badań: wystarczy chwilę pożyć i posłuchać. W Świętej Księdze obiecywano, że cisi posiądą ziemię – jak do tej pory jednak żadne znaki na ziemi ani na niebie tego nie zwiastują. Jesteśmy więc skazani na swoje niedoskonałe narzędzia – rozum, zmysł obserwacji, wgląd w siebie i intuicję, która może podpowiedzieć nam, że warto słuchać tych, którzy potrafią milczeć. ©

Natalia de Barbaro jest psycholożką, poetką, prowadzi autorskie warsztaty dla kobiet. Autorka bestsellerowej „Czułej przewodniczki", „Przędzy" i „Przejść".

WIARA

KSIĘŻA Z INTERNETU

Coraz więcej młodych księży buduje tożsamość w oparciu o algorytmy, promując radykalizm zamiast dialogu. Jak ten proces wpływa na przyszłość Kościoła w Polsce?

MONIKA BIAŁKOWSKA

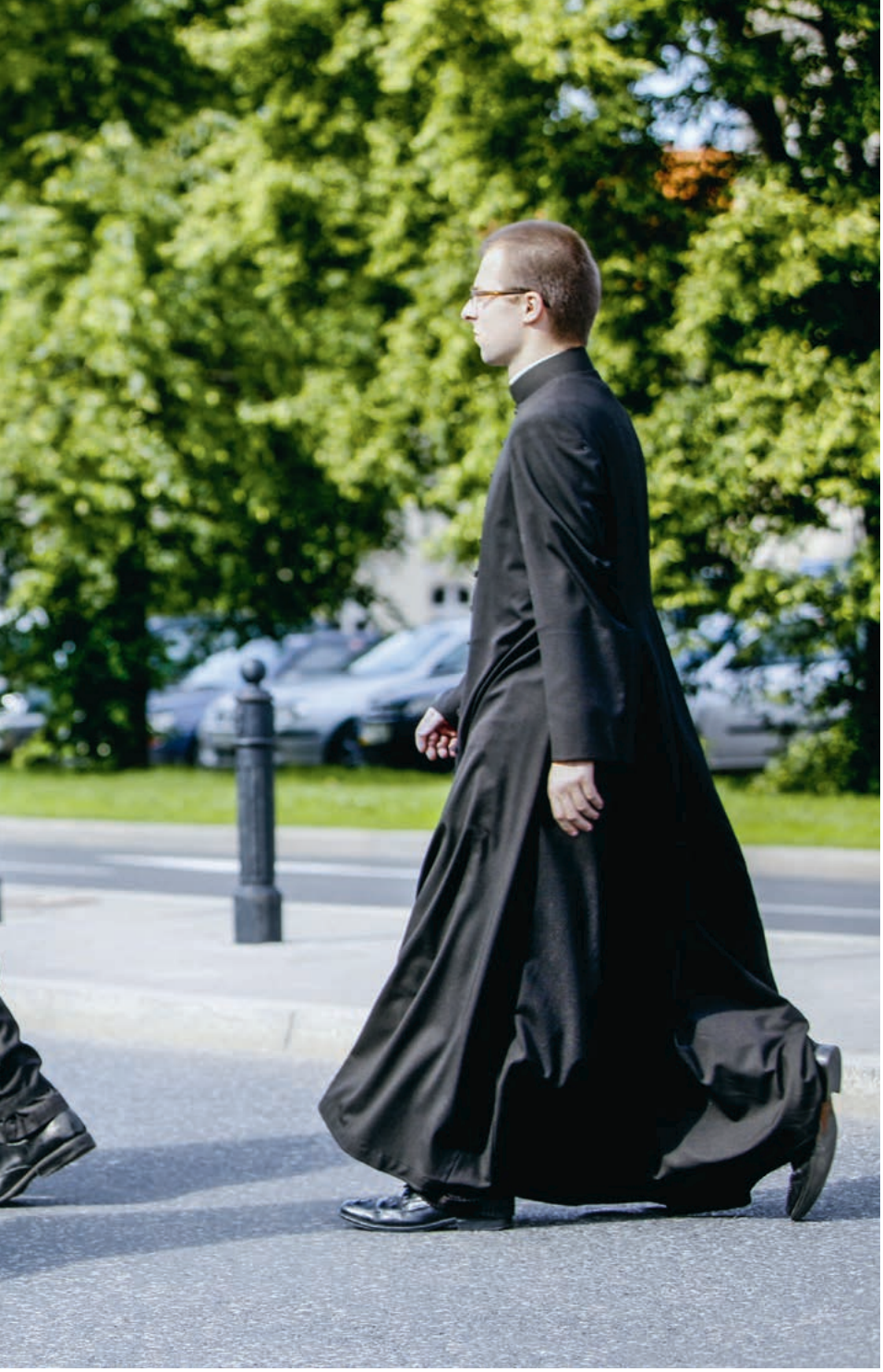

KRZYSZTOF KUCZYK / FORUM

W liście Konferencji Episkopatu Polski, odczytanym w kościołach w piątą niedzielę Wielkiego Postu, nie było sensacji.

Tekst był stonowany, teologicznie zakorzeniony w nauczaniu Soboru Watykańskiego II i Jana Pawła II. Przypominał o więzi chrześcijaństwa z judaizmem. Mówił, że antysemityzm jest jednym ze „śmiertelnych deficytów miłości". W innym czasie prawdopodobnie przeszedłby bez echa.

Jednak cztery dni po jego odczytaniu z ambon ukazał się w internecie „Apel polskiego kapłana do Polaków". Jego autor, ks. Beniamin Sęktas z diecezji drohiczyńskiej, wyświęcony w 2020 r., nazwał odczytanie listu KEP „historyczną hańbą". Pisał o „mediach sprzyjających żydowskiemu punktowi widzenia". Cytował obszernie raport z 1946 r. przypisujący Żydom „lwią część odpowiedzialności" za niechęć, jaka ich otaczała. Komentował, że zarzut antysemityzmu bywa używany przeciw Polakom przez „wrogów, Niemców, Sowietów, postkomunistów i współczesnych lobbystów żydowskich". Niewybrednie atakował kard. Grzegorza Rysia, przewodniczącego Komitetu ds. Dialogu z Judaizmem KEP.

Diecezja drohiczyńska nie zareagowała natychmiast. Musiało minąć sześć tygodni, w ciągu których list krążył po prawicowych portalach i mediach. W końcu kuria oświadczyła, że publikacje ks. Sęktasa są jego „prywatnymi opiniami", na które nie otrzymał wymaganej zgody. Ksiądz został upomniany, otrzymał zakaz podobnych publikacji i – jak napisała kuria – został „zobowiązany do podjęcia stosownych kroków w celu naprawienia wyrządzonych krzywd i wywołanego zamętu". Apel zdążył jednak trafić do ludzi, zebrać tysiące wyświetleń i wygenerować falę komentarzy, w większości antysemickich, często skierowanych personalnie przeciwko kard. Rysiowi.

Kiedy młody ksiądz publicznie apeluje do kardynała, by zaniechał „pochopnego przyjmowania urzędu", zarzucając mu szokowanie i gorszenie katolików oraz przewrotność, łatwo jest zobaczyć w tym zwykłą pychę młodości i ogromne zadufanie. Przypadek ks. Sęktasa nie jest jednak odosobniony: można w nim znaleźć diagnozę pokoleniową – młodego duchowieństwa w Polsce.

Młoda oblężona twierdza

Żeby zrozumieć, co się dzieje z częścią tej grupy polskiego duchowieństwa, trzeba najpierw zobaczyć, w jakim Kościele ci młodzi mężczyźni dorastali. Nie był to już Kościół lat 90., kiedy formowało się pokolenie kapłanów nieznających innego papieża. Wtedy był to Kościół większości, o dużym wpływie społecznym, patrzący z zapartym tchem na Wielkiego Polaka przemierzającego świat.

Dzisiejsi najmłodsi księża z dużym prawdopodobieństwem nawet już nie pamiętają Jana Pawła II. Albo pamiętają go jako niedołężnego staruszka, z trudem cedzącego słowa. To młode pokolenie duchownych przeżywało swoje dzieciństwo w czasach szybkiej sekularyzacji na progu XXI wieku. Nastolatkami byli w latach, gdy Kościół po raz pierwszy od wieku zaczął realnie doświadczać odpływu wiernych. ↦

Badania CBOS pokazują gwałtowny spadek praktyk religijnych wśród młodzieży po 2015 r. Według danych Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego systematycznie maleje też liczba alumnów w seminariach – kolejne roczniki liczą niekiedy tylko po kilku duchownych. Seminaria są łączone lub zamykane. Liczby chrztów, bierzmowań i ślubów kościelnych powoli, ale wyraźnie topnieją. W takim właśnie świecie formują się przyszli duchowni i w takim świecie stawiają pierwsze kroki jako księża. Trudno się dziwić, że właśnie w nich kształtuje się i umacnia obraz Kościoła w opresji, toczącego ostateczną walkę o przetrwanie, otoczonego wrogami. Kościoła, który jest oblężoną twierdzą.

Tacy sami

Spadek powołań to nie tylko kwestia liczb. Często w samym Kościele słyszymy rozsądne głosy, że „księży nie musi być przecież dużo, jeśli tylko będą oni święci". Problemem może być jednak brak różnorodności w tej grupie społecznej – efekt swoistej selekcji.

Do seminarium zawsze przychodzili różni ludzie – ambitni i pokorni, ideowi i przypadkowi, emocjonalni i introwertyczni, marzący o społecznej aktywności albo o głębokiej duchowości. Gdy kandydatów było więcej, seminarium było odbiciem zróżnicowania całego społeczeństwa. Jeżeli dziś spada religijność i coraz mniej młodych ludzi praktykuje wiarę, coraz mniej również trafia do seminariów. Ci zaś, którzy tam przychodzą, nie odzwierciedlają już całego wachlarza postaw, ideałów i duchowości, ale są coraz bardziej do siebie podobni. Z wielkim prawdopodobieństwem można powiedzieć, że w wyborach głosują podobnie i czytają podobne portale w internecie.

Badania The Catholic Project przy Catholic University of America, prowadzone wspólnie z Gallupem, a publikowane w 2022 oraz 2025 roku, pokazują to zjawisko bardzo wyraźnie w kontekście Stanów Zjednoczonych. Mniej więcej połowa księży wyświęconych po 2010 r. określa siebie jako konserwatywnych lub bardzo konserwatywnych politycznie, a aż 70 proc. – jako konserwatywnych teologicznie. Wśród najstarszych roczników te proporcje wyglądają odwrotnie. Można oczywiście powiedzieć, że to Ameryka: jednak mechanizmy sekularyzacji, które wpływają na ideową homogenizację seminariów, są po obu stronach Atlantyku takie same.

Powiedzieć, że seminaria „produkują" dziś księży konserwatystów, byłoby zbyt dużym uproszczeniem. Można jednak pokusić się o tezę, że w świecie, w którym bycie księdzem przestaje być społecznie atrakcyjne, ale też coraz mniej kojarzy się z intelektualnym rozwojem, po kapłaństwo sięgają ci, którzy szukają jednoznaczności w niejednoznacznym świecie. Mniej może być tych, którzy wstępują do seminarium z ciekawości. Jeszcze mniej tych, na których nacisk wywiera środowisko. Większość stanowią przekonani, że ich powołanie jest odpowiedzią na chaos świata.

Algorytm lubi to

W polskim Kościele od lat toczyła się dyskusja, czy i na ile ksiądz może być obecny w mediach społecznościowych. Dziś to pytanie jest już w zasadzie nieaktualne: księża w tych mediach po prostu są. A skoro ich wyłączenie się z mediów społecznościowych w zasadzie nie wchodzi już w grę, powinniśmy raczej pytać, co te media z nimi i ich posługą kapłańską robią. Oraz w jaki sposób ksiądz może się przed tym negatywnym wpływem chronić.

W „fizycznym" duszpasterstwie ksiądz nieustannie zmuszany jest do relacji z najróżniejszymi ludźmi: z tymi, z którymi się zgadza, i z tymi, z którymi jest mu nie po drodze, którzy podzielają jego poglądy lub je kwestionują. W takich warunkach musi budować relacje, zachować powściągliwość, być dostępnym dla każdego.

Logika algorytmów jest sprzeczna z logiką duszpasterstwa. Algorytmy nagradzają emocje i konflikt, jednoznaczność i poczucie zagrożenia. Nie nagradzają niuansu, ostrożności teologicznej ani spokojnego towarzyszenia człowiekowi w jego codzienności.

Kazanie w kościele, zwłaszcza wygłoszone z troską i pokorą, przechodzi bez echa. Wrzucony do sieci krótki komentarz o rzekomym upadku cywilizacji czy szatańskim zagrożeniu natychmiast staje się viralem.

Oczywiście, zwykle ksiądz zaczyna swoją obecność w sieci z dobrymi intencjami: chce dotrzeć do młodych, odpowiedzieć na pytania, zaproponować kontrnarrację wobec sekularyzmu. Szybko jednak odkrywa, że spokojne treści znikają w algorytmicznym szumie, a przebijają się i żyją długo tylko te wyraźniejsze, ostrzejsze, bardziej konfliktowe. Łatwo dać się wtedy zwieść i uwierzyć, że tego właśnie potrzebują ludzie, że on nadal jest z nimi w relacji, zaspokaja ich duchowy głód, łagodzi lęk. Tymczasem to, co jemu wydaje się odpowiadaniem na ludzkie potrzeby, w rzeczywistości jest już tylko produkowaniem materiałów pod algorytmy promujące konflikt.

To właśnie konflikt buduje księdzu lojalną publiczność. A lojalna publiczność buduje jego tożsamość: ksiądz staje się głosem wspólnoty, jej obrońcą, wojownikiem, wreszcie ideologiczną marką.

Znany model

Jednym z bardziej znanych przykładów tego modelu jest ks. Daniel Wachowiak. Aktywny intensywnie na platformie X, pisze komentarze o wojnie kulturowej, kryzysie liberalnego katolicyzmu, zagrożeniach cywilizacji chrześcijańskiej. Przez lata jednym z najchętniej słuchanych na platformach internetowych rekolekcjonistów był z kolei ks. Dominik Chmielewski, operujący językiem duchowego wojownika, oferujący dyscyplinę i wyrazistość w czasach, kiedy Kościół zdawał się mówić coraz bardziej zachowawczo i terapeutycznie. Jego popularność była spektakularna, choć cała historia miała mniej spektakularny finał (jego działalność publiczna została ograniczona).

Ważniejszy niż poszczególne nazwiska jest tu jednak sam model: ksiądz, który buduje autorytet nie przez parafię i lokalną wspólnotę, ale przez zasięgi, wyrazisty styl i algorytmiczną lojalność odbiorców. To zupełnie nowy model kapłaństwa, z którym Kościół – jak się wydaje – nie do końca jeszcze wie, co zrobić. Na razie, jak w przypadku ks. Sektasa, reaguje po czasie. I nie jest w stanie zapobiec podobnym wydarzeniom w przyszłości.

Protestuję, więc jestem

Aktywność księży w mediach społecznościowych wiąże się nie tylko ze zmianą języka – na adekwatny do nowych kanałów komunikacji. To także zmiana teologii. Przywiązanie do sutanny, sentyment do łaciny i przedsoborowego rytu

często spotykają się z wojskową metaforyką walki i ustawiają przeciwko „liberalnemu”, „miękkiemu” czy „pluszowemu” chrześcijaństwu. Do tego dochodzi podejrzliwość wobec psychologii, dialogu i synodalności. Ostatecznie rodzi się twór, który zdaje się być dla młodych odpowiedzią na kryzys: skoro Kościół dialogujący ze światem od czasów Soboru wciąż słabnie, to remedium może stanowić jedynie twardość, nieustępliwość i kontrkulturowa odrębność.

Takie myślenie wydaje się atrakcyjne. Łatwiej żyć w świecie czarno-białym, gdzie każdy kompromis jest zdradą, a każdy, kto myśli inaczej – wrogiem. Choć ta postawa wyrasta z konserwatyzmu, to jednak zdecydowanie go przekracza, zamieniając się w radykalizm. Konserwatysta będzie bronić tradycji i doktryny, ale pozostanie w dialogu z rozmówcą, nawet jeśli się z nim nie zgadza. Radykał będzie budował swoją tożsamość przez nazwanie i wskazanie wroga.

Eklezjalna opozycja

Wyraźnym wyzwalaczem dla konserwatywnego radykalizmu był pontyfikat Franciszka. Papież Bergoglio mówił o peryferiach, miłosierdziu, towarzyszeniu i synodalności. Powtarzał, że Kościół ma być szpitalem polowym. Krytykował to, co nazywał prometeizmem pelagiańskim – budowanie twardej pobożności, dbającej bardziej o własną czystość niż o spotkanie z drugim człowiekiem.

Nie jest tajemnicą, że znaczna część polskiego środowiska konserwatywno-tradycjonalistycznego – kościelnego i świeckiego – funkcjonowała w trybie cichego lub głośnego sprzeciwu wobec Franciszka. Decyzja Leona XIV o mianowaniu kard. Rysia metropolitą krakowskim była kolejnym testem. Ks. Sęktas, wzywając kardynała do nieobejmowania urzędu, wpisywał się w logikę, którą trudno nazwać inaczej niż eklezjalną opozycją. Kościelną władzę potraktował jako zasługującą na posłuszeństwo tylko wtedy, kiedy wydaje decyzje zgodne z jego rozumieniem ortodoksji. Skutkiem takiej radykalizacji jest niemożność budowania wspólnoty z kimkolwiek, kto myśli inaczej.

Człowieku, orientuj się

Ks. Sęktas czy ks. Wachowiak mają swoją publiczność. Niekiedy ogromną. Trudno jest opisywać zjawisko nie pytając, dlaczego właśnie ten styl, język i taka teologia trafiają do młodych ludzi?

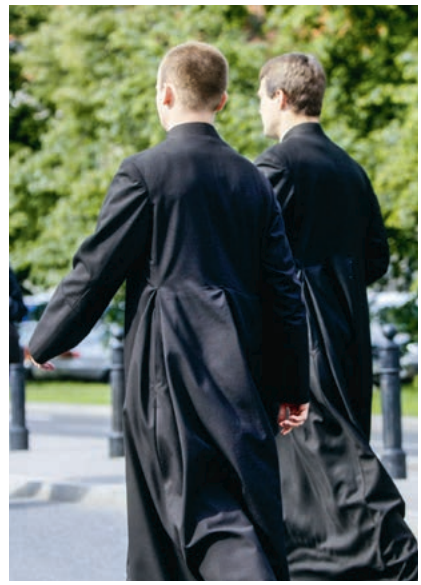

KRZYSZTOF KUCZYK / FORUM

W świecie nadmiaru informacji i dezorientacji posłuch zdobywają ci, którzy mówią prosto, pewnie i radykalnie – niezależnie od tego, czy mówią prawdę.

Badania CBOS nad kondycją psychiczną młodych Polaków pokazują narastający poziom lęku, samotności i poczucia chaosu aksjologicznego. Widzą oni świat bez jasnych granic, z rozpadającymi się instytucjami, z inflacją autorytetów i nadmiarem konkurujących ze sobą narracji. To może być dla nich paraliżujące. Ktoś, kto przychodzi i mówi im: „wiem, co jest złem, wiem, kto jest wrogiem, wiem, jak żyć” – odpowiada w prosty sposób na ich głęboko ludzką potrzebę orientacji.

Zjawisko nie ogranicza się wyłącznie do Kościoła, bo jest jednym z fundamentalnych procesów naszych czasów. W świecie nadmiaru informacji i dezorientacji posłuch zdobywają ci, którzy mówią prosto, pewnie i radykalnie – niezależnie od tego, czy mówią prawdę. To napędza polityczne populizmy, antynaukowe ruchy zdrowotne, teorie spiskowe i wspomniany wcześniej konserwatywny radykalizm. Kościelna wersja tego zjawiska jest o tyle szczególna, że boleśnie wykorzystuje język świętości i autorytet samego Boga.

Droga na skróty

Ortodoksja jest czymś realnym i pożądanym, trudno sobie wyobrazić Kościół bez niej. Ksiądz, który broni nauczania Kościoła o małżeństwie, sprzeciwia się teorii gender czy krytykuje „Fiducia supplicans”, nadal mieści się w przestrzeni normalnego kościelnego sporu teologicznego. Konserwatyzm liturgiczny, przywiązanie do tradycji, sceptycyzm wobec pochopnych zmian to postawy, które są obecne w Kościele od zawsze i mają swój teologiczny sens.

Niebezpieczna radykalizacja zaczyna się tam, gdzie rzekoma obrona doktryny zamienia się w pogardę wobec tych, którzy myślą inaczej. Więcej: gdy pogarda ta zaczyna przejmować kontrolę nad teologiczną prawdą, jak wówczas, gdy w imię niechęci do Żydów odrzucane jest nauczanie Soboru.

Kościół w Polsce bez wątpienia staje właśnie przed realnym pytaniem o to, jak budować swoją wiarygodność w świecie, w którym masowy katolicyzm dobiegł końca. Jedną z odpowiedzi jest model mniejszości twórczej – Kościoła mniejszego, ale bardziej świadomego i autentycznego, obecnego w kulturze raczej przez jakość niż przez ilość. Drugą odpowiedzią może być model kontrmobilizacji: im bardziej świat jest wrogi, tym bardziej należy się zamknąć, zaostrzyć granice i zdefiniować wroga.

Pierwsza odpowiedź wymaga odwagi, bo rezygnuje z iluzji masowości. Druga jest psychologicznie łatwiejsza, bo daje poczucie walki i sensu, nawet w obliczu porażki. Internet i algorytmy nagradzają tę drugą. Nie interesuje je, czy kapłan zna teologię Kościoła, tylko czy wywołuje reakcję. Najbardziej słyszalni są ci, którzy mówią najgłośniej i najbardziej prowokacyjnie. Ks. Sęktas jest jednym z głosów w tej przestrzeni. Głosem, który choć uciszony po czasie, zostawił po sobie ślad. Głosem, który – jeśli nie będzie potraktowany poważnie – z pewnością nie będzie ostatni. Algorytm będzie działał dalej.

W świecie nadmiaru informacji i dezorientacji posłuch zdobywają ci, którzy mówią prosto, pewnie i radykalnie – niezależnie od tego, czy mówią prawdę.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

Wiara szuka sztuki

O. ANTONIO SPADARO, TEOLOG:

ROZMOWA | Kościołowi bardziej szkodzi kicz niż sztuka zwana „bluźnierczą". Autentyczna wiara nie boi się pytań.

EDWARD AUGUSTYN: Patti Smith śpiewająca w kościele na otwarcie watykańskiego Pawilonu podczas Biennale w Wenecji. Odważny pomysł.

O. ANTONIO SPADARO: Patti jest artystką, która zawsze łączyła poezję, muzykę i transcendencję. Jej obecność nie była więc przypadkowa ani dekoracyjna. Cała jej artystyczna droga to duchowa podróż, nawet jeśli naznaczona prowokacjami i buntem. Jej występ, zresztą dla niewielkiej liczby osób, by zachować jego kontemplacyjny, sprzyjający skupieniu charakter, to nie był koncert, tylko „modlitwa dźwiękowa".

Tegoroczny Pawilon Watykanu na Biennale cały jest poświęcony dźwiękom.

Idea jest prosta i właśnie z tego powodu radykalna: w świecie, który krzyczy, Kościół wybrał słuchanie. „Ucho jest okiem duszy" – to tytuł pawilonu, parafraza słów Hildegardy z Bingen. Duży wkład w jego powstanie miał Alexander Kluge, zmarły niedawno wielki reżyser i pisarz.

W XVII-wiecznym ogrodzie karmelitów, zwykle zamkniętym dla osób postronnych, zorganizowaliśmy Ogród Mistyczny. Odwiedzający otrzymują słuchawki i w milczeniu spacerują wśród roślin leczniczych, winorośli, krzewów. W trakcie zwiedzania słuchawki zaczynają wychwytywać kompozycje dźwiękowe dwudziestu artystów – od Briana Eno po Patti Smith, od Meredith Monk po FKA Twigs, od Jima Jarmuscha po Caterinę Barbieri – którzy odpowiadają na pieśni i wizje Hildegardy. Jest też instrument, który „słucha" samego ogrodu, przekładając aktywność bioelektryczną roślin na dźwięk.

Dla Hildegardy dźwięk był sposobem poznania, połączeniem między duszą a światem. Twórczość Patti Smith ma podobną inspirację. Zresztą, sama mówiła, że Ogród Mistyczny to metafora troski, słuchania i odrodzenia. Pismo „Rolling Stone Italia" określiło go jak „raj dźwięków" i „dotknięcie sacrum".

Watykański Pawilon ma też drugą lokalizację.

To kompleks klasztorny Matki Bożej Wspomożenia Wiernych w Castello, gdzie powstało współczesne skryptorium: żywe archiwum poświęcone Hildegardzie, stworzone wspólnie z siostrą Maurą Zátonyi i Akademią św. Hildegardy. Tu można zobaczyć ostatnią pracę Alexandra Kluge – instalację filmów i obrazów podzielonych na 12 stacji, którym towarzyszy śpiew benedyktyńskich zakonnic z opactwa Eibingen.

Dwa lata temu ekspozycję urządzono w czynnym więzieniu dla kobiet.

To była odważna decyzja. Wybór więzienia jako miejsca Pawilonu Stolicy Apostolskiej był stwierdzeniem, że sztuka nie jest luksusem dla nielicznych, ale prawem wszystkich, nawet tych na marginesie.

Projekt nosił tytuł „Con i miei occhi" (Na własne oczy). Łączył temat marginalizacji i odkupienia, poezji i natury. Papież Franciszek powtarzał, że Kościół musi „wyjść" i spojrzeć ludziom w oczy. To nie były tylko słowa. Papież przyjechał do Wenecji, na Biennale, po raz pierwszy w historii, i spotkał się z więźniarkami. Z każdą osobno. Jego wizyta w więzieniu Giudecca była aktem performatywnym w najgłębszym tego słowa znaczeniu. Mówiła więcej niż jakikolwiek dokument programowy.

Franciszek nie miał problemu, by spotykać się z artystami, których życie bywa dalekie od nauczania Kościoła.

Gdyby Kościół przemawiał tylko do ludzi, którzy podzielają wszystkie jego zasady moralne, przemawiałby do pustych krzeseł. No i szczerze wątpię, by powstała wtedy ciekawa sztuka. Historia doskonale to pokazuje. Caravaggio był mordercą. Wawrzyniec Wspaniały też nie był wzorem cnót. A jednak bez nich kultura chrześcijańska byłaby nieskończenie biedniejsza. Proszę pomyśleć: Pietà, Kaplica Sykstyńska, Dawid...

Franciszek powiedział coś fundamentalnego: Kościół to szpital polowy, a nie klub dla ludzi idealnych. Tegoroczny Pawilon Watykanu prezentuje twórczość artystów o różnych osobistych losach i światopoglądach odbiegających od doktryny katolickiej. Uważam, że to w porządku. Franciszek często powtarzał, że Kościół potrzebuje artystów, nawet – a może przede wszystkim – tych, których nie rozumie, przynajmniej nie od razu.

Patti Smith to wolna kobieta, o własnej duchowości, która nie wpisuje się w żadną ortodoksję. FKA Twigs eksploruje ciało, seksualność i ból z intensywnością, która dla części odbiorców może być niekomfortowa. Ale to właśnie ta intensywność czyni ją autentyczną artystką.

Sztuka rodzi się z rany, nie z doskonałości. Ci, którzy prowadzą „uregulowane" i spokojne życie, niekoniecznie mają coś ważnego do powiedzenia. Ci, którzy przeszli przez ból, uzależnienie, kryzys, których słowa są ostre jak nóż, dużo częściej docierają do prawdy. Kościół, jeśli chce być wierny Ewangelii, musi być tam, gdzie jest rana, a nie tam, gdzie mu wygodnie.

Oddzielamy dzieło od autora?

To jedno z najbardziej dyskutowanych pytań we współczesnym świecie kultury. Nie ma na nie łatwej odpowiedzi. W zasadzie dzieło ma własne życie: gdy już powstanie, odłącza się od autora i przemawia do tych, którzy je oglądają, słuchają, czytają. „Wariacje Goldbergowskie" nie stają się mniej piękne z tego powodu, że Bach był trudnym człowiekiem. „Guernica" Picassa nie traci siły, dlatego że ten źle traktował kobiety.

Czyli nie mają racji ci, którzy protestowali przeciwko obecności Rosji i Izraela na Biennale w Wenecji?

ARCHIWUM PRYWATNE

O. ANTONIO SPADARO (ur. 1966) – włoski jezuita, teolog, publicysta i krytyk literacki. Były redaktor naczelny czasopisma „La Civiltà Cattolica", jeden z najbliższych współpracowników papieża Franciszka, ekspert w dziedzinie kultury cyfrowej i komunikacji Kościoła. Od stycznia 2024 r. jest podsekretarzem Dykasterii ds. Kultury i Edukacji, zaangażowany w dialog Kościoła ze światem współczesnej sztuki.
Na zdjęciu z **PATTI SMITH** w ogrodzie klasztoru karmelitów bosych w Pawilonie Stolicy Apostolskiej na 61. Biennale Sztuki Współczesnej w Wenecji, 8 maja 2026 r.
Patti Smith (1946) to największa poetka amerykańskiego punk rocka. Pisarka, autorka piosenek, performerka. W lipcu zagra kilka koncertów w Europie, będzie jej można posłuchać m.in. we Francji, Włoszech, Norwegii i Szwecji. Po polsku ukazała się właśnie jej kolejna, autobiograficzna książka „Chleb aniołów" (wyd. Czarne).

Albo jurorzy, którzy podali się z tego powodu do dymisji?

Na Biennale prezentowani nie są artyści jako jednostki, tylko państwa – z ich flagą, pozycją geopolityczną, konfliktami. Dzieło trafia tam już osadzone w te konkretne ramy.

Ale kluczowe pytanie, które się tu pojawia, nie dotyczy tego, czy Rosja i Izrael powinny, czy nie powinny brać udziału w Biennale. Problem jest głębszy, dotyka samej natury tego systemu, opartego na reprezentacji narodowej. Można pytać, ile jest w nim miejsca na osąd krytyczny czy estetyczny.

Gdy jury decyduje o wykluczeniu jakiegoś kraju, dokonuje aktu politycznego, nie artystycznego. Gdy rząd poprawia decyzję jury, też nie jest to akt kuratorski, tylko manifestacja władzy. W obu przypadkach dzieła schodzą na dalszy plan w stosunku do ram, w których są prezentowane.

Sztuka przegrywa z geopolityką?

Poruszamy się na styku dwóch obszarów, które krzyżują się częściej, niż mogłoby się wydawać: krytyki kulturalnej i analizy stosunków międzynarodowych. Geopolityka to nie tylko podział władzy między narodami, to także – może przede wszystkim – zasób obrazów, metafor i przedstawień artystycznych.

Sztuka może być zarówno przestrzenią krytycznej reprezentacji, jak i wyrazem polityki międzynarodowej. Te „dwa powołania" sztuki mogą współistnieć, ale tylko w stanie stałego i uświadomionego napięcia.

A czym w takim razie jest tzw. sztuka chrześcijańska? Istnieje w ogóle taka kategoria?

Krótka odpowiedź brzmi: nie, nie ma czegoś takiego jak „sztuka chrześcijańska" w ścisłym sensie. Tak samo jak nie istnieje coś takiego jak „sztuka świecka". Jest sztuka dobra i przeciętna. Kropka. Chrześcijaństwo nie jest gatunkiem artystycznym, nie jest stylem, nie jest tematem. To raczej wizja świata przekraczająca historię, która zaowocowała Kaplicą Sykstyńską, ale też pieśniami afroamerykańskich *spirituals*, gotyckimi katedrami czy wierszami Pasoliniego.

Jednak o kulturze chrześcijańskiej mówi się często.

↦

↦ Ale wtedy mamy na myśli coś więcej niż kategorię estetyczną. Mówimy o wrażliwości: uważności na drugiego, poczuciu granic i transcendencji, zdolności do trwania w sprzeczności, bez jej eliminowania. Obraz Marka Rothko zawieszony w kaplicy może mówić o Absolucie z większą siłą niż tysiąc konwencjonalnych obrazów sakralnych.

Z pojęciem „sztuka chrześcijańska" związane jest dwojakie ryzyko: z jednej strony sprowadzenia chrześcijaństwa do marki, znaku firmowego. Z drugiej – wykluczania z rozmowy wszystkiego, co nie jest spod tego znaku. A to ogromnie tę sztukę zubaża. Na tegorocznym Biennale w Pawilonie Stolicy Apostolskiej spotkamy takie artystki jak FKA Twigs, Moor Mother czy Precious Okoyomon. Żadna nie jest „artystką religijną" w konwencjonalnym znaczeniu. Ale wszystkie odpowiadają na pytania duchowe, szukają formy „uzdrowienia" przez dźwięk. I to się liczy.

W sztuce współczesnej jest też przestrzeń na prowokację, a nawet bluźnierstwo. Nie ma Ojciec z tym problemu?

Sztuka, która nas niepokoi, często mówi nam coś ważnego. Niech pan pomyśli o Caravaggiu: malował świętych z brudnymi stopami i zatrudniał prostytutki jako modelki dla Matki Boskiej. W tamtym czasie to był skandal, a dziś jego dzieła należą do najcenniejszych skarbów Kościoła. Proszę pomyśleć o Pasolinim, którego Kościół potępił i z którym potem musiał się pogodzić, dostrzegając głębię jego badań nad świętością.

Tak zwana bluźniercza sztuka stanowi problem dla Kościoła tylko wtedy, gdy Kościół zamyka się w pozycjach obronnych, gdy reaguje jak ktoś, kto boi się, że zostanie zakwestionowany. Autentyczna wiara nie boi się pytań, nawet niewygodnych. Dzieło, które prowokuje, może być przecież krzykiem bólu, desperackim poszukiwaniem sensu, sposobem powiedzenia: „Boże, gdzie jesteś?". I to jest głęboko religijne pytanie, nawet gdy przybiera niepokojące formy.

W 2024 r. Watykan zaprosił do współpracy przy tworzeniu Pawilonu Maurizia Cattelana – artystę znanego najbardziej z banana przyklejonego taśmą klejącą do ściany czy z pracy „Dziewiąta godzina" z papieżem Janem Pawłem II trafionym meteorytem. To była decyzja z jasnym przesłaniem: Kościół nie potrzebuje sztuki ugładzonej. Wręcz przeciwnie: taka sztuka jest bezużyteczna. Potrzebna jest sztuka, która zmusza do patrzenia tam, gdzie nie chcemy, która niszczy naszą pewność.

Ale są też prowokacje dla samej prowokacji.

Tak. Są też jałowe prowokacje, które dążą jedynie do skandalu i medialnego rozgłosu. Ale to nie jest sztuka, tylko marketing. Bo rozstrzygającym kryterium nie jest „bluźnierstwo", tylko głębia. A raczej jej brak.

A co ze sztuką generowaną przez sztuczną inteligencję?

Papież Leon XIV powiedział coś, co uważam za inspirujące: „Logika algorytmu ma tendencję do powtarzania tego, co działa, natomiast sztuka otwiera się na to, co możliwe". To sedno sprawy.

Sztuczna inteligencja potrafi łączyć, rekombinować, optymalizować. Ale nie potrafi pragnąć. Nie umie cierpieć. Nie ma starzejącego się ciała, nie boi się śmierci. A przecież sztuka, ostatecznie, bierze się właśnie stamtąd: z naszej skończoności, kruchości, z potrzeby nadania kształtu czemuś, co inaczej by nas pochłonęło.

Problem AI to problem antropologiczny?

Pisałem kiedyś o koncepcji „technospirytualizmu" – idei, że technologia nie jest neutralna, lecz niesie ze sobą wizję człowieka. Generatywna sztuczna inteligencja niesie ryzyko ogromnego kulturowego spłaszczenia: piękne, ale niepotrzebne obrazy, płynne teksty, które nie mają nic do powiedzenia, przyjemna muzyka, ale bez jakiejkolwiek zuchwałości. Taki estetyczny odpowiednik fast foodu: zaspokaja natychmiastowy apetyt, ale nie karmi.

Trudno jednak oczekiwać, by ludzie po nią nie sięgali.

Mogą sięgać. Nawet artyści. AI może być narzędziem w ich rękach. Holly Herndon i Mat Dryhurst, którzy wystawiają swoje prace w Pawilonie Stolicy Apostolskiej w Wenecji, od lat pracują kreatywnie ze sztuczną inteligencją. Ale zawsze zaczynają od ludzkiego głosu, ciała, relacji... AI to pędzel, nie malarz. Problem pojawia się, gdy to mylisz, gdy

Stolica Apostolska na Biennale w Wenecji

2013 | Stolica Apostolska po raz pierwszy uczestniczy w Biennale Sztuki w Wenecji. Inicjatorem projektu był kard. Gianfranco Ravasi, ówczesny przewodniczący Papieskiej Rady ds. Kultury. Pawilon Watykanu, zorganizowany w Arsenale, zatytułowano pierwszymi słowami Biblii: „Na początku" (Rdz 1,1).

2015 | Pawilon pod hasłem: „Na początku... Słowo stało się ciałem", łączącym Księgę Rodzaju z Prologiem Ewangelii Jana.

2018 | Stolica Apostolska bierze udział w Biennale Architektury z ekspozycją pt. „Kaplice Watykańskie" na wyspie San Giorgio Maggiore (10 kaplic zaprojektowanych przez architektów z całego świata).

2024 | Powrót na Biennale Sztuki Współczesnej: pawilon watykański zorganizowano w czynnym więzieniu dla kobiet w Giudecca; projekt zatytułowano „Na własne oczy", kuratorami byli Chiara Parisi i Bruno Racine. W pawilonie prezentowano m.in. instalacje Maurizia Cattelana. 28 kwietnia 2024 r. pawilon odwiedził Franciszek – była to pierwsza w historii wizyta papieża na weneckim Biennale.

2025 | Kolejna ekspozycja Watykanu na Biennale Architektury: „Dzieło otwarte" w kompleksie Matki Bożej Wspomożenia Wiernych. Projekt otrzymał specjalne wyróżnienie Jury Międzynarodowego.

2026 | Pawilon Stolicy Apostolskiej („Ucho to oko duszy"), inspirowany dziełami Hildegardy z Bingen, zorganizowano w karmelitańskim kościele w Cannaregio i kompleksie klasztornym w Castello. Jego kuratorami są Hans Ulrich Obrist i Ben Vickers we współpracy z Soundwalk Collective. EA

LUCA BRUNO / AP / EAST NEWS

Ekspozycja „Ucho jest okiem duszy", pawilon watykański w ogrodzie klasztoru karmelitów bosych w Cannaregio na 61. Biennale Sztuki Współczesnej w Wenecji, 6 maja 2026 r.

delegujesz tworzenie procesom automatycznym. Wtedy nie ma już sztuki, tylko produkcja. Różnica nie jest akademicka, a antropologiczna. Sztuka przypomina nam, że jesteśmy ludźmi. Automatyczna produkcja grozi tym, że zapomnimy, co to znaczy być człowiekiem.

Jakie są kryteria „dobrej" sztuki?

Takich, które można wpisać na listę i odhaczać, nie ma. Ale są rzeczy, które dostrzegam w prawdziwej sztuce, które mnie zmieniły. Dobra sztuka zmusza cię, byś zwolnił. W świecie żyjącym w nieskończonym skrolowaniu i fragmentarycznej uwadze, dobra sztuka cię zatrzymuje. Wchodzisz do Mistycznego Ogrodu karmelitów bosych, zakładasz słuchawki i może po raz pierwszy od tygodni przestajesz biec. A to już akt artystyczny.

Druga rzecz to niepokój. Dobra sztuka nie zostawia cię takim, jakim cię zastała. Porusza cię, choćby tylko o milimetr. Może to być obraz Hoppera, dzięki któremu poczujesz samotność pokoju hotelowego. Albo dźwiękowy dron Briana Eno, który otworzy w tobie wewnętrzną przestrzeń, jakiej nie byłeś świadomy. Albo film Jarmuscha, który pozwala dostrzec piękno w banalnej codzienności życia. Sztuka przeciętna daje ci potwierdzenie tego, co już myślisz. Prawdziwa sztuka stawia cię w kryzysie.

Obrazek Jezusa z niebieskimi oczami i blond włosami może wiele osób wzruszać. Kicz wzrusza, ale zostawia cię tam, gdzie byłeś. **Kościół potrzebuje sztuki, a nie taniego pocieszenia.**

A jeśli kogoś porusza kiczowaty obraz? Może to po prostu kwestia gustu?

Kiedy mówię, że sztuka porusza cię choćby o milimetr, nie mam na myśli emocji. Mówię o doświadczeniu, które otwiera przestrzeń, jakiej wcześniej we mnie nie było, wprowadza pęknięcie w mojej pewności, sprawia, że widzę coś, czego wcześniej nie widziałem. Emocje to za mało. Wzrusza nas zachód słońca, dobrze zrobiona reklama, zdjęcie szczeniaczka. Ale to nie są dzieła sztuki. Kicz właśnie tak działa: wywołuje emocje bez ryzyka. Potwierdza to, co już czujesz, daje uspokajający, przewidywalny, przetrawiony obraz świata.

Kundera napisał, że kicz to „estetyka negacji gówna". Proszę wybaczyć słowo, ale to idealna definicja. Kicz wyklucza ze swojego horyzontu wszystko, co niewygodne, sprzeczne, niejednoznaczne. A to nie tylko problem estetyczny, ale też teologiczny. Bóg Ewangelii nie jest Bogiem uspokajania. Jest Bogiem, który staje się ciałem, poci się krwią w Getsemani, umiera, wołając: „Dlaczego mnie opuściłeś?". Religijny kicz zdradza Ewangelię właśnie dlatego, że ją słodzi, czyni ją „nieszkodliwą".

A jednak kościoły pełne są kiczowatych obrazów.

Nie chcę wyjść na snoba. Wiara prostych ludzi to rzecz święta i jeśli gipsowa figurka pomaga komuś się modlić, to kim ja jestem, żeby go oceniać? Obrazek Jezusa z niebieskimi oczami i blond włosami albo Najświętszego Serca otoczonego różami może wiele osób wzruszać. Ale ta emocja nie jest wynikiem spotkania z dziełem, tylko skojarzenia z istniejącym już w nas uczuciem: pamięć o babci, która się przed nim modliła, dzieciństwo, nostalgia...

Problem pojawia się, gdy kicz staje się jedynym językiem Kościoła, gdy traktujemy go jak sztukę sakralną. To zubaża nie tylko estetykę, ale i wiarę. Ponieważ wierzący przyzwyczają się do obrazu Boga bez głębi.

Kicz wzrusza, ale zostawia dokładnie tam, gdzie byłeś. A sztuka porusza. Kościół potrzebuje sztuki, a nie taniego pocieszenia.

Sztuka jako świadectwo?

Ostatnia instalacja Alexandra Kluge, ukończona tuż przed jego śmiercią w wieku 94 lat – całe życie skondensowane w 12 filmach i obrazach – ma właśnie tę cechę: czujesz, że to świadectwo, coś nieuniknionego.

Zresztą, sam tytuł tegorocznego Biennale – „In Minor Keys" – mówi dużo o tym, czym jest prawdziwa sztuka. Skale minorowe, a więc molowe, nie są tonacjami doktryny czy ideologii, lecz słuchania, kruchości, zadawania pytań, na które jeszcze nie ma odpowiedzi. To właśnie w tej przestrzeni spotykają się sztuka i wiara. Nie w szufladkach „religijne/świeckie", tylko w gotowości do poddania się tajemnicy.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

FOT. CENTRUM NAUKI KOPERNIK X2

Strefy Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności – niezwykłe miejsca na polskiej mapie nauki dla każdego

W świecie zdominowanym przez ekrany, szybkie przewijanie treści i nieustanny cyfrowy pośpiech coraz więcej osób szuka miejsc, które pozwalają doświadczać świata w sposób bezpośredni i angażujący.

WŁAŚNIE TAKIE SĄ STREFY ODKRYWANIA, WYOBRAŹNI I AKTYWNOŚCI (SOWA), tworzone przez Centrum Nauki Kopernik i Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego we współpracy z lokalnymi instytucjami w całej Polsce. To miejsca, w których nauka przestaje być teorią zamkniętą w podręczniku czy internecie, a staje się realnym doświadczeniem, rozbudzającym ciekawość.

INICJATYWA SOWA to program partnerski, pozwalający działającym lokalnie instytucjom wzbogacić swoją ofertę o przygotowaną przez Centrum Nauki Kopernik wystawę oraz aktywności wspierające samodzielne odkrywanie świata. Strefy SOWA są wyposażone w interaktywne eksponaty i Majsternię – przestrzeń do podejmowania wyzwań konstruktorskich. W całej Polsce działa już 50 Stref. Mieszczą się one w mniejszych miejscowościach, dzięki czemu nauka oparta na eksperymentowaniu, testowaniu i badaniu staje się dostępna dla mieszkańców miejsc oddalonych od dużych centrów nauki. Mają wzmacniać kapitał naukowy lokalnej młodzieży, pomóc jej w rozwijaniu poczucia sprawczości i budowaniu kompetencji XXI w.

CHOĆ ZESTAWY EKSPONATÓW są wszędzie podobne, każda SOWA jest unikatowa ze względu na działalność prowadzoną przez macierzystą placówkę. Doświadczenie pokazuje, że samodzielne eksperymentowanie doskonale uzupełnia tradycyjne aktywności bibliotek, domów kultury, muzeów i instytucji dydaktycznych.

STREFY SOWA organizują wydarzenia promujące naukę, realizują autorskie projekty, prowadzą lub wspierają działania edukacyjne w szkołach ze swoich regionów. Współpracują ze sobą, a także z Centrum Nauki Kopernik, które wyposaża je w nowe stacje badawcze i wspiera merytorycznie oraz programowo. I podobnie jak Kopernik, Strefy SOWA zachęcają do odkrywania rzeczywistości w sposób „analogowy" – poprzez interakcję z eksponatami, samodzielne konstruowanie, testowanie własnych pomysłów.

ODWIEDZAJĄCY spędzają w Strefach długie godziny, całkowicie pochłonięci eksploracją. Dzieci z entuzjazmem tworzą własne animacje poklatkowe, badają ruch kroczącej sprężyny czy testują refleks. Dorośli podejmują wyzwania logiczne w Majsterni i przekonują się, że nauka nie polega na gotowych odpowiedziach, lecz na procesie odkrywania i ciągłego udoskonalania.

W 2025 ROKU STREFY SOWA odwiedziło w sumie 290 888 osób. Przyciągają one dzieci, młodzież i dorosłych, stając się miejscami wspólnego uczenia się, poszukiwania inspiracji i rozwijania kreatywności. Liczba gości wciąż rośnie, a rozwój sieci SOWA pokazuje, że równie ważne jak nowe technologie są doświadczenie i możliwość samodzielnego odkrywania praw rządzących światem.

MATERIAŁY CENTRUM NAUKI KOPERNIK

Inicjatywa „SOWA – Strefa Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności" finansowana jest w ramach dotacji Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, na podstawie umowy Nr 1/CNK-SOWA/2021 z dnia 2 marca 2021 r. w sprawie uruchomienia przez Centrum Nauki Kopernik 50 lokalnych Stref Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności (SOWA) w latach 2021-2028.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

O. WACŁAW

Oszajca:
Ciężar właściwy mózgu

„Bóg jest jeden, ale w trzech osobach". Coś podobnego? Może w wykazie liczby parafian dla wydziału finansowego? Przecież 1 + 1 + 1 = 3 i kropka. Niekoniecznie. Matematycy znają taką sztuczkę, że trzy jedynki dają jedynkę. Bardzo mi się to podoba. Podobnie jak niestabilna próżnia znana astronomom przypomina i ostrzega, żeby mówiąc o Bogu Stworzycielu pamiętać, iż usiłujemy przedstawić to, „czego ucho nie słyszało ani oko nie widziało" i co „serce człowieka nie zdołało pojąć". Serce, czyli mózg. Ale paradoksalnie ta niemożność sprawia, że nie zasklepiamy się w tym, co było, ale otwieramy się na to, co już jest, i zarazem jeszcze nie jest. To dlatego dziejącą się rzeczywistość opowiadamy na wiele sposobów – językiem nauki, filozofii, teologii – z coraz bardziej wyrazistą świadomością, że więcej przed nami niż za nami i jest po co żyć.

Popatrzmy na sykstyński fresk Michała Anioła przedstawiający Boga, który tańcząc, oddziela światłość od ciemności. Na innym Bóg, widziany od strony pleców, niby rakieta pędzi przez kosmos, omijając istniejące już słońce, by stworzyć księżyc. Ale jeśli chce się zobaczyć twarz Boga, trzeba się stawić na Sąd Ostateczny, a stamtąd wrócić do Kany Galilejskiej, do weselnego domu, w którym baluje Syn Człowieczy i Boży wraz z Matką i uczniami. To wszystko i jeszcze nieskończenie więcej dzieje się w naszej głowie, jeśli jej na to pozwolimy. Oddajmy więc głos specjalistce od poetyckiego poznania, Emily Dickinson.

Poetka twierdzi: „Mózg – rozleglejszy jest niż Niebo – / / Bo zmierz je – co do cala – / Ujrzysz, że w Mózgu się pomieści / I Pan – i Przestrzeń cała – // Mózg – bezdenniejszy jest niż Morze – / Bo zgłąb je – co do joty – / Ujrzysz, że Mózg Ocean wchłonie / Jak Gąbka – Wiadro wody / Mózg ma dokładnie ciężar Boga – / Bo zważ ich – co do grama – / A Waga z Wagą – jak Litera / Z Głoską – będzie tożsama" (przeł. Stanisław Barańczak). „Mózg ma dokładnie ciężar Boga", dlatego „Kto Nieba nie znalazł tu – w dole – / Ten nie znajdzie go i w Niebie samym – / Dom sąsiedni wynajmują Anioły, / Dokądkolwiek się przeprowadzamy" (przeł. Stanisław Barańczak). Skoro tak, to zanim zaczniemy dzieciom opowiadać o Bogu Biblii, pomóżmy im odnaleźć Boga w tym, czego dowiadują się one na lekcjach w szkole. Zharmonizujmy program katechetyczny ze szkolnym. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Priorytety Pawła

Liturgia uczyniła nas niedawno świadkami spotkania w Milecie św. Pawła z prezbiterami z Efezu pod koniec jego trzeciej wyprawy misyjnej (Dz 20, 17-38). Apostoł wykorzystał to spotkanie także po to, by podsumować swoją dotychczasową misję. Wie, że już nie wróci na trasę swoich podróży i że widzi się ze swoimi rozmówcami po raz ostatni. Z drugiej strony jednak wie także, że zmierza do Jerozolimy, a stamtąd – tak ma obiecane przez Chrystusa – uda się jeszcze do Rzymu. Tak więc podsumowanie, jakiego dokonuje, nie ma charakteru zamykającego. Skądinąd wiemy, że pozostało mu jeszcze przynajmniej dziewięć lat życia. Podsumowanie jest więc również bilansem otwarcia. Paweł mówi: „A teraz polecam was Bogu i słowu Jego łaski władnemu zbudować i dać dziedzictwo ze wszystkimi świętymi. Nie pożądałem srebra ani złota, ani szaty niczyjej. Sami wiecie, że te ręce zarabiały na potrzeby moje i moich towarzyszy. We wszystkim tym pokazałem wam, że tak pracując trzeba wspierać słabych".

W tych zdaniach Paweł wyraża dwa priorytety swojej pasterskiej misji. Pierwszy z nich stanowi Słowo. „Polecam was słowu łaski". Młodemu Kościołowi nie zaszkodzi w niczym rozstanie się z Apostołem, jeśli tylko podda się mocy Słowa. To Słowo może go ochronić i przeprowadzić przez doświadczenia, wobec których Paweł byłby bezradny... Oto rzeczywisty priorytet misjonarza: wiązać ze Słowem, nie ze sobą!

Drugim priorytetem jest wybór ubóstwa: „nie pożądałem srebra ani złota". Zdobywanie pieniędzy nigdy nie było dla Pawła motywem działania. Nie brał „opłat za posługę". Ale w tej postawie chodzi o coś więcej niż jedynie o bezinteresowność misji: „tak pracując trzeba wspierać słabych". Ciekawe, że w tym miejscu św. Hieronim używa w swoim tłumaczeniu (Wulgata) łacińskiego słowa: *suscipere*, które najpierw oznacza tyle, co „przyjąć", „zaakceptować". To prawdziwie inspirujący przekład: trudno jest bowiem kogoś „wspierać", jeśli się go nie przyjmuje. W takim przypadku pomoc staje się raczej powierzchowna i upokarzająca. Dopiero przyjęcie człowieka otwiera drogę do tego, aby mu rzeczywiście pomóc. Ubóstwo (skromny poziom bycia i konsumpcji) czyni nas otwartymi na takie spotkania. Dobrze jest, gdy nasz sposób bycia nikogo nie onieśmiela, nie odrzuca. Tak więc: Słowo i słabsi. Priorytety Pawła. Czy nasze również? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

HISTORIA

Lopek i kropka

STANISŁAW CALIK

Wielu wierzyło, że sympatyczny nieudacznik opowiada ze sceny swe prawdziwe historie. Kazimierz „Lopek” Krukowski był jedną z twarzy kabaretu przedwojennej Polski.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Kazimierz Krukowski, lata międzywojenne. Zdjęcie z autografem artysty.

W MŁODOŚCI CHCIAŁ UCHODZIĆ ZA rodowitego stołecznego eleganta. Choć do Warszawy przybył wraz z rodzicami, gdy miał 18 lat – w rok po tym, jak Polska odzyskała niepodległość.

W Łodzi jego rodzina – zasymilowana żydowska, głęboko zakorzeniona w polskiej kulturze – była znana i szanowana. Dziadek Leon w połowie XIX w. przybył tu z Białegostoku i założył drukarnię przy ul. Cegielnianej 29 (dziś ul. Więckowskiego). Drukowano w niej „Dziennik Łódzki”, pierwszą polską gazetę w mieście. Jego synowie zostali prawnikami i lekarzami, a córki wyszły dobrze za mąż.

Ale szczególną dumą Leona byli wnukowie. Córka Adela Tuwim urodziła Juliana (poetę) i Irenę (poetkę i tłumaczkę; dzięki niej po polsku przemówili Kubuś Puchatek i Mary Poppins). Córka Berta Boruńska to mama Leona (kompozytora) i Włodzimierza (poety i aktora; zagra rolę Łodzianina Halperna w filmie „Ziemia obiecana”). Natomiast syn Stanisław, lekarz, został ojcem Stefana (dziennikarza) i Kazimierza – bohatera tej opowieści.

PIERWSZY TEATR | „Życie każdego człowieka przypomina wieloetapowy wyścig kolarski – wspominał Kazimierz. – Ja wystartowałem do tego wyścigu 2 lutego 1901 roku. Moimi trenerami byli moi rodzice: Ojciec – doktor medycyny; Matka – pani doktorowa; oraz zastępująca mi przedszkole z językiem wykładowym niemieckim – »Frojlajn« Marta – bona-guwernantka”.

Rodzina mieszka przy ul. Piotrkowskiej 123. Jesienią 1912 r. Kazimierz zaczyna naukę w Męskim Gimnazjum Rządowym (w siódmej klasie uczy się już kuzyn Julian). Z kolei po przeprowadzce do Warszawy w 1919 r. uczy się w ostatniej klasie Gimnazjum Mikołaja Reja. Wychowawcą klasy jest Tadeusz Kotarbiński, później prezes Polskiej Akademii Nauk. W 1920 r. zapisuje się, zgodnie z wolą rodziców, na Wydział Filozofii UW. Z własnej już woli studiuje też na Wydziale Dramatycznym Konserwatorium Muzycznego, w klasie śpiewu. Szybko jednak trafia do wojska, trwa wojna z bolszewikami. Służy jako telefonista sztabowy w Warszawie. Pewnego dnia wzywa go major. „Czy starszy strzelec z cenzusem śpiewa?”. „Tak jest!”. „Deklamuje?”. „Tak jest!”. „Przydzielam starszego strzelca Krukowskiego Kazimierza do teatru żołnierskiego Polonia w charakterze artysty”.

Tak w listopadzie Kazimierz debiutuje w Teatrze Żołnierza Polskiego wykonaniem piosenki Jerzego Boczkowskiego „Szumiały mu echa kawiarni”.

CARUSO ZA ŚCIANĄ | Wojna się kończy. Już w cywilu, Krukowski nie wraca na filozofię. W 1923 r. kończy konserwatorium i zaczyna karierę śpiewaka operowego. Najpierw jako tenor w objazdowym zespole Tadeusza Wierzbickiego, potem jako solista Filharmonii Warszawskiej. Podoba mu się repertuar klasyczny, ale wynagrodzenie jest zbyt skromne.

Julian Tuwim, który mieszka u Krukowskich i pisuje teksty dla czołowych kabaretów, szuka sposobów, by znaleźć kuzynowi lepiej płatną pracę. Gdy słyszy, że w kabarecie Qui Pro Quo zabrakło piosenkarza, zaprasza jego szefa Jerzego Boczkowskiego na kawę. W sąsiednim pokoju, którego drzwi są uchylone, głośno próby odbywa Kazimierz, „polski Caruso”... Podstęp się udaje: od września 1924 r. Krukowski pracuje w Qui Pro Quo: duet tancerzy występuje przy akompaniamencie jego śpiewu.

PAN LOPEK | Po półtora roku Boczkowski proponuje Kazimierzowi samodzielny numer: piosenkę o ciężkich czasach pt. „Wekselek". Artysta jest oburzony. Po klasycznych ariach ma śpiewać o handlarzu, który, aby nie zbankrutować, oszukuje wekslami i trafia do więzienia?

Jednak Boczkowskiemu udaje się go przekonać. Kazimierz wychodzi na scenę w znoszonym płaszczu, starym kapeluszu, z dorysowanym wąsem – i tak rodzi się gwiazda: Lopek. Piosenkę „Wekselek" wydaje Syrena Record, największa wytwórnia płyt. Kazimierz jeździ na trasy koncertowe z artystami Qui Pro Quo. „Przestałem być w teatrze czymś – wspominał – stałem się kimś".

Sam chętnie pisze piosenki i monologi dla Lopka. Refren piosenki „Któż nie zna Lopka? Lopek i kropka" śpiewa cała Warszawa. „Śmieszny typek – opisuje go aktor – śpiewający o swoich tysiącznych kłopotach i ze swoją połowicą Malwiną, i z teściem, i z synem Hipkiem, i ze wspólnikiem Rosenkrantzem, i z wekselkami, i z kryzysem, a najwięcej z sekwestratorami i urzędem podatkowym".

Wkrótce Lopek króluje w kinach całej Polski: w serii krótkometrażowych komedii „Lopek" i „Przygody Lopka i kropka", a potem w pełnometrażowych filmach „Janko Muzykant", „Dziesięć procent dla mnie", „Ułani, ułani, chłopcy malowani". W tym ostatnim powstaje duet komediowy Lopek i Felek (Adolf Dymsza). Występują z sukcesem: jeśli na afiszu figurują Lopek i Felek, pełna widownia gwarantowana.

WŁASNY TEATR | Równolegle Krukowski występuje w innych stołecznych kabaretach: Perskie Oko, Banda, Hollywood, Cyganeria. Syrena Record wydaje jego płyty prawie co roku. Kazimierz poślubia piękną tancerkę Władysławę Jaśkównę, która niedawno przybyła z Krakowa. Będzie towarzyszyć mu we wszystkich przyszłych życiowych próbach. Wkrótce Kazimierz debiutuje jako reżyser w kabarecie Morskie Oko, a dalej zostaje jego kierownikiem artystycznym. Potem jest stanowisko kierownika artystycznego kabaretu Femina, a nieco później – Teatru na Kredytowej. Oskrzydlony sukcesem, zakłada The Lopek Dancing, ale zespół istnieje tylko jeden sezon. Nie rezygnuje jednak z zamiaru posiadania własnego teatru – w kwietniu 1939 r. zostaje współzałożycielem i kierownikiem artystycznym teatru Ali Baba.

1 września zaczyna się II wojna światowa. Satyryczna rewia „Fakty i pakty", napisana przez Juliana Tuwima, Mariana Hemara i Andrzeja Własta, jest grana tylko do 4 września. To ostatnie przedstawienie kabaretowe w tamtej Polsce.

SOWIETY | Krukowski wyjeżdża z Warszawy na wieś, ale wkrótce wraca do okupowanej przez Niemców stolicy. Staje się jasne, że dalszy pobyt w mieście jest groźny. 19 listopada attaché kulturalny ambasady Estonii przewozi artystę i jego żonę swoim autem do linii demarkacyjnej. Z pomocą przewodnika przedostają się do sowieckiej strefy okupacyjnej.

Jadą do Białegostoku, gdzie są krewni Kazimierza (stąd pochodzi jego dziadek). U krewnych spotyka kuzynów, Włodzimierza i Leona Boruńskich, którzy też uciekli z Warszawy. Czerwone flagi i portrety Stalina nie budzą w Krukowskim sympatii, ale trzeba jakoś zarabiać. Proponuje nowym władzom otwarcie polskiego Teatru Miniatur i zostaje jego kierownikiem artystycznym. Kuzyn Leon otrzymuje stanowisko kierownika muzycznego, a żona Władysława i drugi kuzyn Włodzimierz zostają aktorami.

W 1940 r. teatr przeniesiono do Grodna. Krukowski pozostaje w Białymstoku, pracuje jako kierownik literacki i reżyser w orkiestrze jazzmana Eddiego Rosnera, a później jako reżyser i konferansjer we Lwowskim Teatrze Miniatur (ocena podobnego zaangażowania wielu ludzi kultury pod sowiecką okupacją do dziś dzieli historyków).

ŻOŁNIERZ ANDERSA | W 1941 r. teatr wyrusza w trasę koncertową po Związku Sowieckim, a kilka tygodni później Hitler atakuje Stalina. Gdyby Krukowski został we Lwowie, zapewne zginąłby w Holokauście – ta trasa ratuje mu życie.

Pod koniec 1941 r. Kazimierz wstępuje do armii gen. Władysława Andersa – podobnie jak tysiące Polaków, w tym wielu polskich Żydów. Gdy okazuje się, kim jest, dostaje rozkaz: założyć zespół rewiowy. Z tą armią przejdzie całą jej drogę: przez Iran, Bliski Wschód, Włochy, po Anglię. Otrzyma Krzyż Monte Cassino, Brytyjską Gwiazdę i inne medale.

Zdemobilizowany, trafia do Anglii. Stąd w 1948 r. wraz z żoną i ośmioma aktorami zespołu rewiowego wyjeżdża do Argentyny, gdzie żyją liczni polscy emigranci. W Buenos Aires zakłada Teatr Polski, w którym wystawia sztuki Wyspiańskiego, Fredry, Zapolskiej, Bałuckiego.

POWRÓT | Do pojałtańskiej Polski nie chce wracać. Sytuacja zmienia się, gdy w lutym 1956 r. w Moskwie rusza „odwilż", a w marcu kończą się w PRL-u rządy stalinisty Bolesława Bieruta.

„W początkach roku 1956 – wspomina Krukowski – zacząłem otrzymywać listy z Polski od rodziny i kolegów nawołujące do powrotu. Kiedy rząd polski wezwał wszystkich rodaków przebywających na obczyźnie, bez względu na ich zapatrywania i działalność społeczno-polityczną na emigracji, do powrotu, zrozumiałem, że wybiła godzina, o której ja i Władzia marzyliśmy tyle lat".

27 września przybywają do Warszawy – tuż przed tym, jak nastąpi przesilenie października 1956 r. Już na dworcu Krukowski mówi Ludwikowi Sempolińskiemu, przedwojennemu koledze, że chce założyć własny teatr. Pierwszy występ małżeństwa odbywa się w Sali Kongresowej, potem ruszają w trasę koncertową po ośmiu miastach. Trafiają też do Łodzi, której Krukowski nie widział od prawie dwóch dekad.

ZNÓW LOPEK | W Warszawie zostaje dyrektorem i kierownikiem artystycznym teatru satyrycznego Syrena. Wkrótce wraca do ulubionego gatunku: kieruje kabaretem Cyganeria w Grand Hotelu, potem zakłada własny kabaret literacko-satyryczny U Lopka w Bristolu.

Jednak jego główną misją staje się zachowanie pamięci o przedwojennych kabaretach. Nagrywa o nich programy telewizyjne. Występuje w filmie „Pan Dodek", poświęconym 70. urodzinom Dymszy, jego dawnego partnera z duetu. Pisze trzy książki wspomnieniowe (w „Małej antologii kabaretu" opowiada nie tylko o sobie, ale i o całej „starej generacji").

Na koniec z jego niegdyś dużej i zgranej łódzkiej rodziny zostają tylko Włodzimierz Boruński i Irena Tuwim; reszta w międzyczasie zmarła lub zginęła wcześniej podczas wojny. Mieszkają w Warszawie, utrzymują ze sobą ciepłe relacje.

W 1983 r. Kazimierz zostaje wdowcem. Rok później też odchodzi. Ostatnia, trzecia książka wspomnień ukaże się już pośmiertnie. ©

MARTWA NATURA

SUSANA MONSÓ, FILOZOFKA:

Wielu z nas widziało, jak kot znęca się nad myszą. Zabójcze ugryzienie różni się od tej okrutnej zabawy. To dowód na kognitywną kontrolę zachowania. Kot wybiera, kiedy zabija.

MARIA HAWRANEK: Pogląd, że zwierzęta posiadają umysły, nadal jest kontrowersyjny wśród badaczy?

SUSANA MONSÓ: Wśród psychologów porównawczych nie, bo umysły zwierząt to przedmiot naszych badań, zgadzamy się co do tego, że zwierzęta mają swoje przekonania i pragnienia, które kierują ich zachowaniem. Kontrowersje mogą się pojawić bardziej wobec tego, czy mają świadomość. Natomiast w historii filozofii, która bardzo intelektualnie rozumie posiadanie przekonań czy pragnień, pojawiło się wielu, którzy konsekwentnie bronili idei, że zwierzęta umysłów nie mają.

Zajmuje się Pani tanatologią porównawczą. Co to za dziedzina?

Stawia sobie za cel badanie, jak zwierzęta reagują na zmarłe lub umierające osobniki, a także analizę fizjologicznych procesów, które warunkują te reakcje. Rozważa też, co te zachowania mówią o umysłach zwierząt. Jej twórcą jest James Anderson, psycholog porównawczy. Niewielu badaczy zajmuje się tym na pełen etat, ale wielu biologów czy prymatologów, którzy obserwują przez długi czas populacje jakiegoś gatunku, zapisuje obserwacje na temat śmierci i publikuje je w raportach terenowych. Odbyło się już kilka konferencji naukowych na ten temat, ale to trudne pole do badań ze względu na etyczne i środowiskowe ograniczenia.

Bezpośrednim impulsem do powstania tego pola badawczego była śmierć szympansicy Dorothy w 2008 r. w centrum opieki nad tymi zwierzętami w Kamerunie. Pozostałe szympansy zdawały się jej towarzyszyć w ostatniej drodze, gdy opiekunowie wywozili ją z wybiegu.

Tanatolodzy porównawczy zgadzają się, jak zwierzęta rozumieją śmierć?

No właśnie nie! To bardzo antropocentryczna dziedzina, a wielu jej przedstawicieli przyjmuje bardzo intelektualne lub emocjonalne cechy konceptu śmierci, które wykluczają większość zwierząt z możliwości jego posiadania. Dlatego zaproponowałam tzw. Minimalny Koncept Śmierci, który ogranicza się do uznania dwóch cech: braku funkcjonalności ciał i nieodwracalności tego etapu.

RAFFAELLA COREGGIOLI / ADOBE STOCK

Zimorodek zwyczajny potrafi zamierać w bezruchu, by zmylić drapieżniki lub stać się dla nich mniej widocznym.

Jeśli zwierzę rozumie te dwa aspekty dotyczące ciała, które napotka, to znaczy, że rozumie koncept śmierci.

Andersona interesują bardziej złożone aspekty, przypominające ludzkie rozumienie śmierci. Dla mnie pytanie o to, jak zwierzęta rozumieją śmierć, jest ciekawe samo w sobie, nawet jeśli rozumieją ją inaczej niż my.

W książce „Playing Possum: How Animals Understand Death", która ukaże się także w Polsce, pisze Pani o mrówkach i nekroforezie – wynoszeniu martwych członków kolonii poza jej obręb. To zachowanie jednak nie świadczy o tym, że owady rozumieją, co przytrafiło się ciałom, które niosą. Dlaczego?

To u nich stereotypowa, nie kognitywna reakcja, na substancję chemiczną wydzielaną przez martwe mrówki. Wystarczy posmarować żywą mrówkę kwasem oleinowym, a pozostałe mrówki wyniosą ją z kolonii – nawet jeśli mrówka rusza się i wyraźnie protestuje. Mrówki zatem nie pojmują śmierci, jedynie mają zakodowane genetycznie reakcje na określone bodźce ze środowiska.

Zatem jakie gatunki spełniają kryteria zaproponowanego przez Panią Minimalnego Konceptu Śmierci?

Prawdopodobnie koncept śmierci w minimalnej postaci jest szeroko rozpowszechniony, bo warunki, które stawiam – rozumienie niefunkcjonalności martwego ciała i nieodwracalności tego stanu – są łatwe do spełnienia i istotne dla przetrwania. Pomyślmy choćby o drapieżnikach, ich strategiach polowań, których skuteczność u wielu gatunków jest bardzo niska, a także o zagrożeniu, jakie stanowi ofiara dla drapieżnika – np. bawół dla lwa. Sytuacje polowań zmuszają zwierzęta do uważnego obserwowania momentu śmierci i wyciągania wniosków na ten temat. Możemy więc oczekiwać, że wiele zwierząt rozumie śmierć, szczególnie jeśli łączą poznanie z emocjami i doświadczeniem, czyli tym, co nazywam „świętą trójcą Konceptu Śmierci".

O co chodzi z tą „świętą trójcą"?

W poznaniu – o to, że zwierzęta są w stanie zrozumieć, iż funkcje życiowe osobnika ustały, i przestają od niego oczekiwać takich zachowań jak za życia, oczekują za to rzeczy charakterystycznych dla zmarłych. Wspomniane mrówki tego nie wykazują.

Doświadczenie – czyli możliwość obcowania ze śmiercią i zwłokami. Zwierzęta hodowane w izolacji, choćby pupile domowe, nie mają możliwości rozwinięcia konceptu śmierci, bo nie mogą doświadczyć obcowania ze zmarłymi ciałami innych i nauczyć się, co śmierć oznacza.

Emocje – sprawiają, że zwierzęta obdarzają zwłoki zainteresowaniem, a w efekcie również nabywają wiedzę o śmierci. Te trzy czynniki są konieczne, by rozwinął się koncept śmierci u zwierzęcia.

Dlaczego nie powinniśmy go traktować w sposób binarny? Że albo zwierzęta go mają, albo nie?

Przyjrzyjmy się naszym dzieciom – ich rozumienie śmierci nie powstaje z dnia na dzień, zwykle zajmuje im kilka lat, zanim pojmą w pełni, czym ona jest. Tym trudniej im to zrozumieć, im rzadziej mają możliwość interakcji ze zmarłymi, a w zachodniej kulturze jest dziś ona bardzo ograniczona, bo zmarli są zabierani z naszych domów. Koncept śmierci stanowi spektrum i w przypadku ludzi, i zwierząt. Jest wielowymiarowy i może przyjąć różną postać.

Inne mylne założenie dotyczy jednorodności naszych umysłów – w istocie każdy człowiek ze względu na swoje doświadczenia ma nieco inne pojęcie śmierci, które zmienia się na przestrzeni jego życia. U zwierząt działa to podobnie. Zatem to, jak pojmujemy śmierć, będzie się różniło zarówno pomiędzy gatunkami, jak i pomiędzy przedstawicielami konkretnego gatunku. U ludzi wpływają na to również przekonania religijne i zwyczaje kulturowe.

W książce opisuje Pani dwa skrajne zachowania dotyczące potomstwa. Jedno to noszenie zmarłego dziecka – częste u szympansów, ale pojawiające się również u orek. Drugie – dzieciobójstwa. Czego się z nich dowiadujemy o zwierzęcym rozumieniu śmierci?

W 2018 r. śledziliśmy Tahlequah, orkę, której cielę zmarło pół godziny po porodzie, a ona przez siedemnaście dni podróży przez ocean płynęła z jego ciałem, pokonując tysiące kilometrów, praktycznie nie żerując i nie śpiąc. Takie zachowania zwierząt wzbudzają w nas empatię i poczucie więzi. Jednak podchodząc do analizy konceptu śmierci, musimy się pozbyć emocjonalnego antropocentryzmu.

Jeśli za nim podążamy, czyli będziemy się przyglądać tylko zachowaniom przypominającym ludzkie, jak żałoba po śmierci dziecka, dotrzemy do jedynie częściowego zrozumienia relacji zwierząt ze śmiercią. Zresztą, jak możemy mieć pewność, że to, czego doświadczała Tahlequah, to doświadczenie podobne do tego, co my nazywamy żałobą?

Napisała Pani, że żałoba rozumiana jako reakcja stresu lub smutku z powodu czyjejś śmierci niekoniecznie jest dowodem na rozumienie śmierci, za to z pewnością jest dowodem na występowanie silnych więzi emocjonalnych.

A jednak noszenie zmarłych dzieci, najczęstsze u naczelnych, uzyskało znacznie więcej uwagi w literaturze tanatologiczno-porównawczej niż dzieciobójstwo, które jest w królestwie zwierząt o wiele powszechniejsze. Poruszają nas obrazy matek noszących truchła swoich dzieci, karmiących czy iskających je.

Oczywiście to ważne zachowania, które mówią nam coś istotnego o zwierzętach, ale nie możemy się skupiać jedynie na nich. Tym bardziej że noszenie zmarłych dzieci to nienajlepsze miejsce do szukania dowodu na rozumienie konceptu śmierci. Matkę i dziecko łączy silna więź emocjonalna, która może prowadzić do tego, że matka chce traktować dziecko, jakby wciąż było żywe – iskać je, przytulać, karmić piersią, nosić.

Zresztą pytanie o to, czy zwierzęta przeżywają żałobę, to zupełnie inne pytanie niż to, czy rozumieją śmierć. Niestety w literaturze tanatologicznej panuje w tym względzie pomieszanie.

Pisze Pani, że powinniśmy się wystrzegać zarówno antropomorfizacji, jak i antropopektomii. Co to za pojęcie?

Pożyczam je od Kristin Andrews i Briana Hussa, którzy ukuli je z potrzeby uzupełnienia pojęcia antropomorfizmu, ↦

↦ dodania drugiej strony medalu. Pochodzi od greckich słów: *anthropos* – ludzki, i *ektomia* – wycinać. Jeśli antropomorfizm to błąd polegający na przypisywaniu ludzkich cech zwierzęciu, antropopektomia to błędne odmówienie ludzkich cech zwierzęciu.

Historycznie wśród naukowców obserwujemy tendencję do uznawania błędów negatywnych za mniej szkodliwe czy niebezpieczne – odmówienie zwierzętom pewnych umiejętności może być nawet uznawane za wyraz racjonalności, ostrożności, chłodnego osądu spraw. A jednak to również jest błąd, który prowadzi nas do fałszywego opisu rzeczywistości i błędnych założeń na temat zwierząt. Nie ma powodów, by jeden z tych błędów cenić bardziej niż inny.

Wróćmy do dzieciobójstwa.

W przypadku dzieciobójstwa to, co dla matki jest utratą, dla innych członków stada jest zyskiem – dlatego zwierzęta zabijają. A skoro są w stanie intencjonalnie śmierć wywołać, to znaczy, że muszą rozumieć, czym ona jest. Wśród hien dzieciobójstwo jest przyczyną nawet 20 proc. śmierci młodych, a w niektórych społecznościach szympansich – aż 60 proc! Jest wiele hipotez wyjaśniających to zjawisko. Według jednej z nich samiec zabija młode, by kopulować z samicą i spłodzić z nią własne dzieci.

Zaobserwowano, że czasem samiec śledzi matkę i niemowlę przez godziny, dni, a nawet tygodnie, czekając na moment jej nieuwagi, by porwać i zabić dziecko. Bardzo rzadko matka zostaje w trakcie tego ataku skrzywdzona. To świadczy o silnej kontroli mechanizmów poznawczych – samiec wie, co robi i co się w efekcie wydarzy.

Pamiętajmy, że zwierzęta nie są zanurzone w naszej kulturze, nie mają naszego poczucia politycznej poprawności i norm społecznych. Mogą czuć różne emocje – smutek, radość, że wespną się po społecznej drabinie, strach, bo może śmierć kompana to znak, że w pobliżu przebywa niebezpieczeństwo – a także reagować w sposób inny od nas, np. zjadać fragmenty nieżyjącego osobnika.

Orki z jednej strony są w stanie nosić zmarłe cielę przez wiele dni, z drugiej – zabijać narwale bez potrzeby ich jedzenia i przerzucać się częściami ich ciał jak piłką. Delfiny mogą pomagać umierającemu – w Parku Kyum zaobserwowano, jak grupa 12 delfinów zwyczajnych wynosiła na powierzchnię kolegę ze sparaliżowanymi płetwami, by mógł zaczerpnąć tchu – ale też zabijać morświny na wyszukany sposób i ich potem nie jeść. Prawdopodobnie dla treningu lub… zabawy. Pod tym względem przypominają ludzi.

RAFFAELLA CORGGIOLI / ADOBE STOCK

SUSANA MONSÓ jest profesorką filozofii na Universidad Nacional de Educación a Distancia w Madrycie. Zajmuje się umysłami zwierząt i etyką zwierząt. Jej książka o zwierzęcym pojmowaniu śmierci została przetłumaczona na 13 języków, w tym roku ukaże się także w Polsce.

Tylko że o tym aspekcie człowieczeństwa myślimy z niechęcią, dlatego zwykle nie takich przykładów na zachowania związane z umieraniem szukamy wśród zwierząt. Kluczowe jest podejście do tematu z otwartym umysłem, gotowym na zaakceptowanie i zintegrowanie wiedzy niezależnie od tego, czy jest zgodna z naszymi przekonaniami lub pragnieniami, czy nie. Szacunek dla zwierząt oznacza również brak oczekiwania, że będą się zachowywać jak postacie z Disneya.

Wielu z nas było świadkami, jak kot okrutnie bawi się myszą, wcale jej nie zabijając. W badaniach zaobserwowano, że zabójcze ugryzienie zdecydowanie różni się od poprzedzających je zabawowych zachowań kota. To może niemiły, ale jednak przekonujący dowód na kognitywną kontrolę zachowania – kot wybiera, kiedy zabija ofiarę.

Na okładce angielskiego i hiszpańskiego wydania Pani książki pojawia się opos – zwierzę, które doskonale udaje martwego, ale wcale nie musi rozumieć, czym jest śmierć.

Prawdopodobnie u oposa ta reakcja jest stereotypowa w sytuacji zagrożenia, na podobnej zasadzie jak u nas zwężanie źrenic czy jeżenie się włosów na skórze. Ciała po prostu to robią, nie ma tu żadnej świadomej decyzji. Z perspektywy ewolucyjnej musi być jednak na to jakieś wyjaśnienie – skąd się oposowi wzięło to złożone zachowanie? Opos w sytuacji zagrożenia ulega paraliżowi, przewraca się na bok do pozycji embrionalnej, podwija ogon, oczy i usta ma wtedy szeroko otwarte, język wywalony, do tego jego kolor zmienia się na niebieski. Zwierzę nie reaguje na sygnały z zewnątrz, ślini się, sika, defekuje i wydziela odpychający smród.

Prawdopodobnie ta reakcja – zwana tanatozą – rozwinęła się z bardziej rozpowszechnionego zjawiska, tzw. tonicznego unieruchomienia, które też polega na zamieraniu. Młode mrówki ogniste ulegają tonicznemu unieruchomieniu, gdy jakaś inna grupa mrówek przeprowadzi inwazję na ich kolonię, a niektóre toksyczne gatunki żab zamierają, co prowokuje drapieżnika, by spróbował je połknąć – a natychmiast wypluwa je w całości. Potem już pamięta, z czym ma do czynienia.

U oposa temperatura ciała spada o 0,6 st. Celsjusza, tempo bicia serca – o 46 proc., a oddychania – o 31 proc. To wszystko nie mogło w ewolucji wydarzyć się przypadkiem, nie ma też żadnego fizjologicznego powodu, by te reakcje pojawiały się jednocześnie. Jedyne, co je łączy, to właściwość semantyczna. Zatem najlepsze wytłumaczenie, jakie możemy dać, jest takie, że zachowanie oposa dowodzi istnienia konceptu śmierci w umysłach jego drapieżników.

A mimo to nie nauczyły się odróżniać martwych oposów od udających.

W oposie zbiegło się wiele sprzyjających okoliczności – polują na niego różne zwierzęta, są wśród nich kojoty, lisy, węże, ptaki drapieżne, nie ma swojego jednego konkretnego prześladowcy, a wymienione zwierzęta również mają szeroki jadłospis. Ale skoro wszystkie dają się nabrać oposowi i potrafią go zaklasyfikować jako trupa, to znaczy, że mają uogólnione pojęcie śmierci, dotyczące różnych gatunków.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

TYGODNIK POWSZECHNY
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
magazyn literacki
„TP" 22/2026

Pod prąd

ALEKSANDRA MAJAK

Dotarliśmy do momentu, kiedy niewiele mamy już lektur wspólnych. A krytyczna dyskusja nie jest łatwa, kiedy nie wiemy, o czym dyskutujemy.

Jest tak wiele możliwych scenariuszy, jak zacząć esej o krytyce literackiej, że kiedy kasujemy zdanie, do którego zdążyliśmy się już przywiązać, ekscytacja ponownie miesza się z obawą.

Incipity to ciekawy literacki fetysz: tekstowa gra wstępna, która może dawać przedsmak tonu, dynamiki, rejestru kolejnych słów. Może być też paktem zaufania między mną a czytającymi. W poczuciu zawierzenia tekst stara się zaprosić w swój wartki nurt. A stara się tym bardziej, im prąd, pod który płynie, jest silniejszy.

Mnie interesuje poprowadzenie osób czytających meandrycznym szlakiem, który nie twierdzi, że jest jedyną drogą. Gdy piszę, lubię z krytyczną niepokorą wyjść tekstowi naprzeciw.

Zamiast podejrzeń

Szkic ten jest osobistą próbą opowiedzenia o ekscytacjach i niepokojach wpisanych w proces myślenia o literaturze. ↦

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

↦ Zaczynam go od zaufania, podczas gdy krytyka literacka często kojarzy się dziś z czym innym: gestami nieufności i podważania. Bywa, że choć nie mówi o tym wprost, traktuje własnego czytelnika czy czytelniczkę pobłażliwie, jako osobę bezkrytyczną, ślizgającą się po powierzchni tekstu, impulsywnie emocjonalną.

Jako krytycy bywamy nie tylko podejrzliwi wobec autorskiej intencji, ale też przekonani, że rozumiemy w dziele to, czego nie rozumiał sam twórca czy twórczyni. Zastanawia mnie, czy dziś krytyka negatywna płynie pod prąd, czy jest raczej częścią mainstreamu?

Podobną kwestię podnosi Rita Felski w „The Limits of Critique" – książce, którą pochłonęłam w 2015 r. z żarliwością wyposażonej w zakreślacze studentki. Dziś akcenty i komentarze umieściłabym gdzie indziej, pewnie podkreślałabym mniej, ale wtedy badaczka komplikowała moje myślenie o roli krytyki. Czy krytyka literacka może budować taki język relacji z tekstem, który nie ogranicza się do leksykonu podważania, brania w nawias, podawania w wątpliwość, diagnozowania braku, nieufności, demaskacji?

Felski przyciągała mnie w stronę przeciwną niż idee bezosobowości i dystansu powstałe na gruncie poetyki modernizmu, którym się akurat zajmowałam. W miejsce dyrektywności pozwala wpisywać niepewność, w miejsce umniejszania autorytetu wpisywać argumentację, która nie boi się języka afirmacji i wdzięczności wobec poprzednika czy (często wymazywanej z historii literatury) poprzedniczki.

Im bardziej porównywałam doskonałą formalnie, pełną emocjonalnego dramatyzmu poezję T.S. Eliota do jego postulatów krytycznych, tym bardziej poeta budził moją krytyczną podejrzliwość. Eliotowskie idee wpłynęły na metody nowego formalizmu. Flagowym pomysłem tej powstałej w latach 30. XX wieku szkoły było *the close reading* – czytanie tekstu „samego w sobie" w maksymalnym skupieniu na jego formie.

Prymat nowego krytycyzmu zapanował nad uniwersytetami na prawie cztery dekady. I choć dał nam wiele cennych narzędzi, im więcej na horyzoncie pojawiało się zmian – na przykład druga fala feminizmu, rodzące się idee krytyki kulturowej, aktywizm związany z geopolitycznymi napięciami doby zimnej wojny – tym bardziej „bliskie czytanie" oddalało teksty od znaczenia, jakie mogłyby mieć dla otaczającego świata.

Publikacje Felski wpisują się w nurt postkrytyki (*postcritique*), czyli projekt czy też typ podejścia do tekstu, który stara się szukać dla krytyki nowych możliwości, wykraczać poza metody kształtowane przez to, co Paul Ricœur nazwał kiedyś „hermeneutyką podejrzeń". Termin ten Ricœur odnosił do trzech, jak mówił, „mistrzów podejrzenia" (*maîtres du soupçon*), czyli Karola Marksa, Zygmunta Freuda oraz Fryderyka Nietzschego.

Jednym z ważnych dla postkrytyki tekstów jest esej Susan Sontag „Przeciw interpretacji" (1964). Autorka daje w nim wybrzmieć obawie, że tendencja krytyki do oddzielania formy od treści spycha dzieło na drugi plan. Zaczyna ono interesować nas głównie dlatego, że możemy je zinterpretować, zobaczyć w nim obraz samych siebie interpretujących to, co widzimy, gdy czytamy.

„Nigdy już nie odzyskamy niewinności z czasów sprzed sformułowania wszelkich teorii, kiedy sztuka nie musiała się z niczego tłumaczyć i kiedy nikt nie pytał, co dzieło sztuki mówi, ponieważ każdy wiedział (lub sądził, że wie), co ono robi" – pisała Sontag (w polszczyźnie Dariusza Żukowskiego). Esej kończyła słowami: „nie potrzebujemy hermeneutyki, ale erotyki sztuki".

Oczywiście wątpliwości dotyczące tonu i założeń krytyki można mnożyć *ad infinitum*. Nic nie stymuluje powstawania nowych teorii bardziej niż ogłoszenie śmierci teorii, nieważne, kto by tę śmierć ogłaszał.

Dziś ocena wartości dzieła tylko częściowo wyrażana jest wprost, w treści. Większość wartościowania wydarza się w doborze retoryki, tonie argumentacji, który może uwzględniać osoby czytające, a może wprowadzać dystans i sposobność przejmowania nad innymi intelektualnej kontroli.

Wspólny język

Przy okazji naszych spotkań Hannah Sullivan – wykładowczyni na Oxfordzie i współpromotorka mojego doktoratu – świdrowała wzrokiem mój akapit, a następnie mnie i mówiła: „show, don't tell". A że sama napisała kiedyś książkę „The Work of Revision" (2013), wierzyła w moc skreślania, rewizji, ogólnie: kasowania zdań. A na pewno moich zdań.

Gdy mówiła „show, don't tell", chodziło jej o to, żebym potrafiła przekształcić jedno zdanie twierdzące (na przykład o wartości) w kilka zdań, które pozwolą osobie czytającej dojść do tego wniosku, który chciałam właśnie wyłożyć.

Weźmy na przykład hipotetyczne, otwierające akapit zdanie: „lata 60. XX wieku to fascynujący moment w historii brytyjskiej krytyki literackiej". Teraz wykasuj „fascynujący" i poprowadź mnie, przekonaj mnie, że okres lat 60. rzeczywiście był fascynujący.

Kiedy moi przyjaciele tworzyli programy, które pozwalają w ramach *social engagement* odkrywać egzoplanety (tak powstał projekt Planet Hunter), czy ekscytowali się przydzielonym grupie badawczej czasem w akceleratorze cząstek, ja cieszyłam się listami wygrzebywanymi z archiwum.

Im bardziej grzebałam, tym bardziej zastanawiałam się nad tym, co lubimy w literaturze nazywać wpływem. Bywa, że retrospektywnie przypisujemy tekstowi moc, której sam tekst nie miał, a dopiero zbieg zwykłych przypadków, mechanizmów władzy i przywileju, wszystkiego, co wydarza się „za kulisami", wprawia go w rodzaj pośmiertnego rezonansu. Bywa też, że twierdzimy, iż umarły poeta czy pojedyncze dzieło antycypuje tendencję, teorię lub styl, o której to tendencji umarły poeta czterysta lat temu nie miał prawa wiedzieć.

Niedawno miałam przyjemność rozmawiać ze Stephenem Greenblattem – bodaj najbardziej znanym szekspirologiem, wykładowcą Harvardu i współtwórcą nowego historyzmu. Angażujący styl i technika tak zwanego „gęstego opisu", z jakimi wiele książek Greenblatta przybliża Shakespeare'a czytającym, są przykładami dzielenia się radością badań w sposób, który bierze odpowiedzialność za to, czy pozyskuje się popularnego czytelnika, a nie zakłada jego ignorancję.

Rozmawialiśmy między innymi o frustracji powodowanej zawężaniem możliwych relacji z tekstem dawnym do osobistej identyfikacji lub odrzucenia. „Aprobata nie wyklucza i nie musi wykluczać sceptycyzmu" – mówił Greenblatt, dodając: „Nie wszystko, co doceniasz, musisz akceptować. W przeciwnym razie byłoby

niezwykle trudno interesować się czymkolwiek z przeszłości".

Jeśli w trakcie pracy zaczyna się wątpić w sensowność własnej metodologii i znaczenie, jakie dany rodzaj pisania ma dla kogokolwiek, stanowi to, paradoksalnie, dobry punkt wyjścia. Wierzę, że dobra krytyka potrafi podważyć własne założenia i dopisywać apendyks, w którym stara się pokazać inną perspektywę, poddawać własne myślenie – jak bliska mi eseistyka Adrienne Rich – ciągłej autorewizji.

Intryguje mnie, że w akademickim literaturoznawstwie każde, choćby i najbardziej marginalne wydarzenie lub nowy materiał archiwalny służyć może za dowód w służbie nowego spojrzenia. Zachęcani do specjalizowania się w tematach nieznanych i niszowych szukamy więc tego, co pozwoli nam zapełnić luki. W związku z tym nierzadko łatwiej w pierwszym kontakcie znaleźć wspólny język z ludźmi odkrywającymi egzoplanety czy ekscytującymi się nanocząstkami niż ze znajomymi od literatury.

W szukaniu nisz i diagnozowaniu braków w badaniach doszliśmy, przynajmniej w moim odbiorze tego czasu, do momentu, kiedy niewiele jest już w literaturze lektur wspólnych. Łączą nas kontestowany kanon, teoria literatury i aktywizm. Z jednej strony efekt decentralizacji lektur oznaczać może coś cudownego, wyciągać nas ze stref komfortu, wychodzić poza europocentryzm i hegemonię angielszczyzny w strony, o czym pisze Franco Moretti, literatury światowej. Z drugiej – krytyczna dyskusja jest coraz trudniejsza, kiedy nie wiemy, o czym dyskutujemy.

Wobec ogromu przestrzeni, którą Margaret Cohen nazwała *the great unread*, akademickie rozmowy o literaturze ulegają niekiedy schematyzacji. Po referacie na seminarium doktoranckim jako pierwsze padają słowa: „Thank you for your fascinating talk", po czym następuje nieśmiała prośba o przypomnienie: „So what was the author's name again?", zwieńczona obietnicą osoby pytającej, że na pewno poczyta więcej. Następnie czas na właściwe pytanie. Zaskakująco często (jak na bogactwo językowe, którego można się spodziewać po seminarium anglistyki) zaczyna się ono od tych samych słów: „I was just wondering... [wstaw pytanie]".

Krytyka literacka kojarzy się z gestami nieufności i podważania.

Bywa, że traktuje własnego czytelnika i czytelniczkę pobłażliwie, jak osobę bezkrytyczną, impulsywnie emocjonalną.

Nie chodzi mi o krytykę systemu, który wiele mi dał i którego sama byłam częścią, ale o otwarte pytanie w kwestii szukania innych metod angażowania odbiorców i odbiorczyń.

Słownik krytyki

Jonathan Flatley – autor „Affective Mapping" (2008) – zauważał, że pisząc, stale stajemy „wobec trybów czy tonacji, które były już przeżyte i opowiedziane przez innych, które są ukształtowane i wprowadzone w obieg". Wychodząc poza mury akademii, w stronę dziennikarstwa, krytyki, prowadzenia wywiadów, staram się o tym pamiętać.

Myślę o tym i coraz bardziej wierzę, że krytyka literacka wymaga nie tylko umiejętności pisania w różnych „trybach", ale też dojrzałości, która pozwala traktować naszego projektowanego czytelnika na serio. Nie obniżać rejestru, ale stawiać sobie poprzeczkę coraz wyżej. Żeby to było możliwe, muszę widzieć w czytelnikach i czytelniczkach osoby dociekliwe, krytyczne, inteligentne. Także wtedy, a może szczególnie wtedy, gdy z moim tekstem się nie zgadzają.

Podobnie nasi mentorzy czy mentorki: jeśli naprawdę udało im się nauczyć nas krytycznego myślenia, to w pewnej chwili muszą znieść to, że ich uczniowie nie tylko mogą się z nimi nie zgadzać, ale potrafią wystąpić z rozbudowaną kontrargumentacją. Może warto przekształcić relacje hierarchiczne w relacje partnerskie, bo może zamiast lęku przed wpływem, by nawiązać do wpływowej książki Harolda Blooma, potrzebujemy częściej wyrażać radość ze współpracy i wdzięczność, że literatura może być działaniem. Choć i to, oczywiście, warto robić z dozą krytycznego dystansu.

Od pewnej chwili zastanawia mnie, w jaki sposób ton pisania staje się przestrzenią projektowania autorytetu, gdzie jest granica między krytycznym myśleniem a krytykanctwem.

Szukam takiego słownika krytyki, który będzie dwujęzyczny: zmieści idiom niezgody, kwestionowania, aktywistycznej interwencji, ale też leksykon afirmacji, wdzięczności, ekscytacji. Cieszy mnie przyglądanie się kontekstowi poddawanej ciągłej autorewizji feministycznej twórczości Adrienne Rich; lubię bawić się humorem, jak przy okazji myślenia o przekładzie i grzybach w książce Jennifer Croft; daję się wciągnąć równinnemu krajobrazowi powieści Geralda Murnane'a.

Choć nie wymazuję w artykułach własnej podmiotowości ani nie performuję obiektywizmu, ten abstrakcyjny i w dodatku pisany w autobiograficznym trybie szkic jest dla mnie czymś nowym, bo tam, gdzie zazwyczaj umieszczam konkretny tekst, tu umieszczam intuicje związane z krytyką literacką wycinkiem własnego doświadczenia.

Skoro jednak testuję nowy tryb i zastanawiam się nad wpływem, wspomnę, że moja droga do krytyki literackiej wiodła nie tylko przez teorię literatury, ale też teorię przekładu, a dokładniej: opasły tom antologii Lawrence'a Venutiego – badacza znanego z książki dotyczącej domestykacji przekładu i idei widzialności tłumaczy i tłumaczek. Od 1972 r., kiedy James S. Holmes pisze założycielski dla dziedziny tekst i odwraca się od lingwistycznego podejścia do przekładu, wiele z powstałych na gruncie *translation studies* idei starało się wyjść poza dualizmy prostych ocen. Kulturowo wdrukowane i oddane we włoskim powiedzeniu „traduttore, traditore" (czyli „tłumacz – zdrajca") przekonanie zostało zakwestionowane.

Teksty doby zwrotu kulturowego w przekładoznawstwie, od Lori Chamberlain, przez Theo Hermansa, po Gayatri Chakravorty Spivak, różnią się (w końcu odbijają nie tylko warsztat autora czy autorki, ale i zainteresowania ważne w danym czasie), ale mam poczucie, że coś je łączy. Spoiwem jest wiara, że kiedy przestaniemy mówić o przekładzie w kategoriach dobry/zły czy wierny/niewierny, możemy powiedzieć coś ciekawszego i zobaczyć w nim więcej. Szczególnie ↦

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

↦ kiedy przyjrzymy się – jak proponował André Lefevere – momentom refrakcji.

Nie znaczy to, że nie dokonujemy wartościujących ocen, ale ocena często jest jedynie punktem wyjścia do pisania o przekładzie. Ważniejsze jest, jak to, co wydarza się w tłumaczeniu, odbija potrzeby kultury przyjmującej. Jak w każdej dziedzinie życia, zdarzają się takie teksty, które wykorzystują autorytet teorii po to, by serwować nam własną ideologię i dewaluować przekłady, które nie wpisują się w polityczny światopogląd osoby piszącej.

Wpływ widzi się wyraźniej dopiero w perspektywie czasu, może nawet procesu dojrzewania do własnego głosu. Zapytana kiedyś w wywiadzie dla „The Paris Review" o to, czy zawsze chciała zostać pisarką, Toni Morrison odpowiedziała: „Nie, chciałam zostać czytelniczką". W dalszej części rozmowy autorka „Umiłowanej" podkreślała, jak ważne jest, by nauczyć się być krytycznym czytelnikiem własnego tekstu.

Wśród wielu moich lektur, czasem odnajdywanych poprzez ich drugie, intertekstualne życie (fascynacja „Rajem utraconym" Johna Miltona wzięła się z dużo wcześniejszej lektury „Mrocznych materii" Philipa Pullmana), teorie przekładu były ważne. W szczególny – mniej hierarchiczny, a nastawiony na zrozumienie, skąd bierze się potrzeba takiej, a nie innej narracji – sposób pozycjonowały one moje myślenie o literaturze.

Cudowne jest to, że literatura raz przyciąga nas gatunkiem, innym razem intryguje hybrydyczną formą; uwodzi językiem czy stylem; bywa, że kusi konstrukcją pędzącej i pełnej suspensu akcji, odhaczając każdy punkt teoretyzowanego już przez Tzvetana Todorova schematu narracyjnego rodem z filmów o Jamesie Bondzie. Jeśli motywacje naszych lektur są tak różnorodne, jak często deklarujemy, czemu krytyka nie miałaby stale szukać języka i tonalnego trybu, żeby tę różnorodność oddać?

Nie jest rzecz jasna tak, że krytyka nie próbuje. Przy okazji pisania tego tekstu w ręce wpadła mi książka „Close Reading and its Alternatives" (2026) pod redakcją Mun-Hou Lo. Cudowna próba zebrania alternatywnych wobec nowoformalistycznych tradycji *the close reading* tekstów: od gęstego eseju Eve Kosofsky Sedgwick o czytaniu paranoicznym *versus* reparacyjnym (2003), przez pełen wewnętrznych sprzeczności tekst Stephena Besta i Sharon Marcus o czytaniu powierzchownym (2009), po esej, w którym Bruno Latour pytał: „Why Has Critique Run out of Steam?" („Dlaczego krytyka utraciła swoją siłę?", 2004).

Choć wymienieni badacze i badaczki często postulują odejście od metaforyzowania przestrzeni krytyki jako pola walki, to na własny sposób wciągają nas w walkę o poszerzenie pola interpretacji i *update* języka. Widzimy więc ciekawy metakrytyczny paradoks: autorytet tekstów, które domagają się wyraźniejszej obecności afirmatywnego języka, często budowany jest na ich krytyce języka krytyki. Definiowanie własnych założeń poprzez ukazanie, czym one nie są, nie jest niczym nowym, ale część osób jest sceptyczna wobec tekstów postkrytycznych, zarzucając im strategiczne unikanie wypracowania metody.

„Krytyczny obserwator jest obserwatorem samego siebie" – pisała Felski, dodając, że współczesną krytykę nieodparcie pociąga to, co „meta", a świętym Graalem staje się w tekście autorefleksyjność. Przyjemność, którą niebezkrytycznie czerpię z lektur postkrytycznych, przypomina mi rodzaj ekscytacji, jaki czuje się podczas skakania po dmuchanym zamku. W chwili skoku jest super, ale po zejściu na grunt doświadczenie wydaje się nagle ciężkie, a nam kręci się w głowach.

Co krytyka robi

Z zainteresowaniem śledzę to, co się dzieje na polskim polu literackim, jednoczące w zgodzie czy niezgodzie debaty, ale nie jest to tekst o nich. Sytuując się w opozycji, tekst polemiczny z założenia zawierza samemu sobie bardziej niż tekstowi, któremu zawdzięcza własne istnienie, choć myśl ta jest dużym uogólnieniem.

Wierzę, że dobre teksty najlepiej mówią same za siebie, a te o aspiracjach opiniotwórczych odnoszą sukces także wtedy, gdy opinie o nich są podzielone. Problem pojawia się, gdy krytyka zaczyna nie tylko gonić własny ogon, ale z cynizmem podgryzać ogony innych. A przecież ogon, jak potwierdza mój pies Gustaw Eliot, jest ważny: można nim merdać, komunikować emocje, zachowywać równowagę.

Piszę „problem", a jednocześnie wiem przecież, że punktując ton innej krytyki, jej intelektualną arogancję czy retoryczne efekciarstwo, metakrytyce zdarza się samej powielać schemat, który starała się dekonstruować. Eseje odsłaniające własną niepewność, wdzięczność, procesualność myślenia nie przysparzają takiej popularności ani nie dają tylu lajków i udostępnień, co pewna siebie polemika i zdecydowany ton diagnoz.

Szukam takiego słownika krytyki, który będzie dwujęzyczny:
zmieści idiom niezgody, kwestionowania, aktywistycznej interwencji, ale też leksykon afirmacji, wdzięczności, ekscytacji.

Już sama figura tego, co personifikowana krytyka „robi" czy jaka „jest", przysparza kłopotów, bo podobnie jak figura „czytelnika", jest w dużej mierze naszą projekcją. Ta, jak wiemy, zależna jest od chwili i miejsca, z którego mówimy, wrażliwości, naszych identyfikacji i tożsamości, preferencji lekturowych, sublimacji lęków, osobistych zachwytów itd. Pierwszą reakcją, jaką, jak sobie wyobrażam, wystosuję względem teoretycznego zdania, że „krytyka zbyt często wciąga nas w grę, w której stawką jest x, y czy z", będzie prośba o doprecyzowanie. Chcę dowiedzieć się, jaka dokładnie krytyka, czyje to słowa, jaki był ich oryginalny kontekst, do czego się odnoszą.

Niezadawanie tego rodzaju pytań w dobie klikbajtów prowadzi coraz częściej do tego, co najbardziej mnie martwi: myślowego radykalizmu, manipulacji, wykorzystywania jednego fragmentu w celu dyskredytowania całości, esencjonalizmu odczytań, obniżenia standardów publicznej dyskusji, terroru zasięgu i moralizatorstwa. Niezgodę budzą we mnie szczególnie kuluarowe próby uciszania i cenzorowania krytyków czy krytyczek w imię opacznie rozumianej i hierarchicznej lojalności. Aż do niedawna nie miałam świadomości, jak bardzo w przestrzeni środowiska związanego z kulturą to nie kompetencje, lecz osobiste uprzedzenia mogą determinować współpracę i zawiązywane sojusze.

Wracając do viralowych debat: inaczej niż w polskim polu literackim, na brytyjskim rynku książki nie spotkałam jeszcze sytuacji, żeby szersze środowisko zaciekle dyskutowało na Facebooku o jednym konkretnym tekście. Uwagę przykuwają duże spotkania autorskie albo oddolne kluby dyskusyjne, kuratorską i jednocześnie popularyzatorską rolę odgrywają nagrody literackie, a festiwale literackie mają nieporównywalnie mniejsze znaczenie, będąc nie tyle miejscem dyskusji, co składową wydawniczej promocji.

Decentralizacja, umiędzynarodowienie i zróżnicowanie rynku to tylko niektóre z powodów rozproszenia krytyki literackiej. Inna sprawa to fakt, że z kilkoma wyjątkami krytyka usadowiła się w Anglii za murami akademii i raz na czas wychodzi zza murów do popularnego czytelnika. Ale to już materiał na osobny szkic.

Dla przyjemności

W cudownej, ale też onieśmielającej ilości i różnorodności tekstów wartych lektury można się pogubić. Już na etapie selekcji tego, co czytamy, dokonujemy wartościujących wyborów. W ostatnich latach szczególnie esej na granicy autoteorii, autobiografikcji, metakrytyki przeżywa renesans, jest też gatunkiem wymykającym się definicji oraz weryfikatorem warsztatu i zdolności autora czy autorki do znajdywania odpowiedniego języka dla tematu ich opowieści.

W samym procesie opiniotwórczego pisania jest, oczywiście, pewien rodzaj narcystycznej przyjemności. Jeśli krytykę literacką przyrównalibyśmy do gry, każdy z liczących się i biegłych w języku interpretacji graczy zdaje się mieć inną interpretację jej zasad. Bywa, że teksty innych mnie zachwycają, ale bywa też, że myślę: gramy chyba w inną grę.

Pisanie krytyki literackiej jest dla mnie najciekawsze w momentach, kiedy zastanawiam się, czy mu podołam, kiedy nie jestem pewna języka ani struktury, która pozwoli wyjść tekstowi naprzeciw.

Szkic ten jest, z założenia, niedokończony. Bo jeśli krytyka literacka ma prowokować do myślenia, szukać języka zarówno dla polemiki, jak i dla zachwytu, wydobywać ze splotów naszych lektur, relacji z ludźmi i doświadczeń czy to zawodu, lęku, straty, czy miłości, zachwytu, głodu życia coś konstruktywnego i nieoczywistego, to życzę sobie, żebym za jakiś czas mogła napisać go na nowo.

© ALEKSANDRA MAJAK

Autorka jest krytyczką i badaczką literatury, skończyła studia doktorskie z literaturoznawstwa na Uniwersytecie Oksfordzkim.

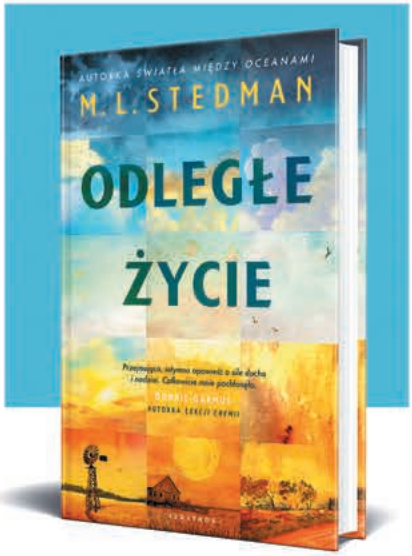

Nowa, od lat wyczekiwana książka autorki bestsellerowego „Światła między oceanami".

Australia Zachodnia, rok 1958. Rodzina MacBride'ów od pokoleń mieszka i hoduje owce na rozległych pustkowiach Meredith Downs. W zwyczajny dzień, na prostej drodze, pod bezkresnym błękitnym niebem, dochodzi do tragicznego wypadku…

Książka Roku 2024 w Szwecji, która rozgrzała zimne serca czytelników z północy.

Bosse ma już 90 lat. To piękny wiek, by umrzeć. Ale przecież nikt z nas nigdy nie jest na to gotowy… Przejmująca powieść o sensie życia, nieuchronności śmierci i trudnych relacjach łączących kolejne pokolenia ojców i synów. Czuła opowieść o odchodzeniu, która nade wszystko afirmuje życie.

Napisana z epickim rozmachem biografia wszechstronnej mistrzyni nastrojowego suspensu, muzy Alfreda Hitchcocka, kluczowej pisarki XX wieku.

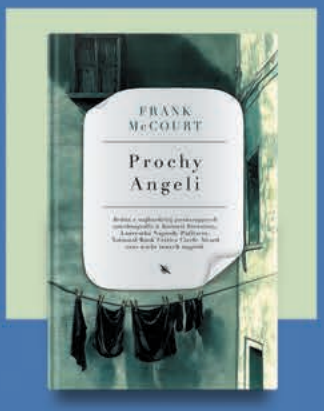

Literacki fenomen! Beletryzowana autobiografia obsypana deszczem prestiżowych wyróżnień – z Nagrodą Pulitzera na czele.

LITERACKA UCZTA
Z WYDAWNICTWEM ALBATROS

Albatros.
Leć poczytać!

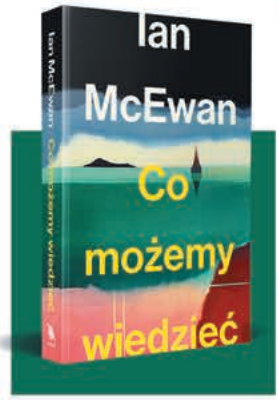

Najnowsza, osiemnasta już książka w dorobku Iana McEwana, laureata Nagrody Bookera, jednego z najbardziej cenionych współczesnych pisarzy.

Lemaitre nawiązuje do tradycji największych powieściopisarzy francuskich – Balzaca, Stendhala i Zoli – tym razem składając hołd Johnowi le Carré.

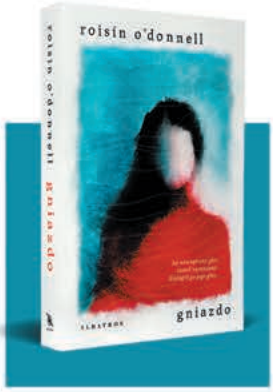

Niezwykły i poruszający debiut powieściowy wielokrotnie nagradzanej irlandzkiej pisarki. Powieść nominowana do Women's Prize For Fiction 2025.

Porywająca saga rodzinna i historia niemożliwej przyjaźni. Fascynująca opowieść o miejscu, które do dziś jest zarzewiem międzynarodowych konfliktów.

WYDAWNICTWO ALBATROS

REKLAMA

W głowie czytelnika

MARYANNE WOLF, PSYCHOLINGWISTKA:

Mózg najmocniej aktywuje się w czasie lektury wierszy. Musi wówczas poradzić sobie z wieloznacznością słów i znaleźć między nimi połączenia, odwołując się przy tym do całej zgromadzonej przez nas wiedzy.

MARIA HAWRANEK: W naszych mózgach nie ma żadnego obszaru genetycznie zaprogramowanego na czytanie. Mimo to naukowcy stwierdzili, że tzw. obwód głębokiego czytania (ang. deep reading circuit) aktywuje go niemal w całości. Opowie Pani o tym coś więcej?

MARYANNE WOLF: Z radością! Temat fascynuje mnie od lat. Głębokie czytanie aktywuje wszystkie pięć warstw mózgu – od mózgowia do rdzenia, a także obie półkule i cztery płaty w każdej z nich (czołowy, ciemieniowy, skroniowy i potyliczny). Oznacza to, że przeczytanie jednego tylko słowa pobudza do działania miriady neuronów! Możemy sobie wyobrazić, co dzieje się w mózgu, gdy czytamy eseje, opowiadania albo wiersze.

Co się dzieje?

Generalnie, kiedy czytamy dłuższe teksty, zachodzi proces, w którym nasze prognozy czy założenia spotykają się z percepcją, a czasem wręcz ją antycypują. Interakcje między percepcją, językiem i procesem głębokiego czytania przyspieszają rozumienie tekstu, bo pozwalają nam przeczytać zdanie jako sumę prognozowanych myśli o wiele szybciej, niż gdybyśmy czytali je jako informację zawartą w indywidualnie przeczytanych słowach.

W swojej książce cytuje Pani badanie przeprowadzone przez Natalie Philips z neuronaukowcami z Uniwersytetu Stanforda.

Studentów poproszono, by czytali tekst „normalnie" lub „ze skupioną uwagą" – już sama prośba o skupienie wystarczyła, by aktywowały się różne obszary związane z obwodem głębokiego czytania.

Okazuje się, że kiedy czytamy o jedwabnej sukience Emmy Bovary, w mózgu aktywują się obszary związane z dotykiem, a kiedy czytamy o tym, jak bohaterka potknęła się, wybiegając z powozu w pogoni za młodym kochankiem, aktywują się obszary odpowiedzialne za ruch.

Czy głębokie czytanie to działanie, które najbardziej aktywuje mózg?

Dekadę temu przeprowadzono badanie, które wykazało, że mózg najbardziej się aktywuje w czasie lektury wierszy, bo musi poradzić sobie z wieloznacznością słów i znaleźć między nimi połączenia, odwołując się do całej zgromadzonej przez nas wiedzy kontekstualnej i semantycznej.

Druga sytuacja największej aktywacji mózgu miała miejsce u pianistów grających koncert, ponieważ muszą oni łączyć pamięć motoryczną z afektywnymi funkcjami poznawczymi. Zatem rzeczywiście niektóre formy czytania aktywują nasz mózg w najbardziej totalny sposób.

Aby w ogóle ten obwód powstał, musimy słuchać i czytać od najmłodszych lat.

Wysiłek włożony w proces głębokiego czytania rozbudowuje obwód. Wszystko, co już przeczytałaś, przyczynia się do tego, co przeczytasz w przyszłości. Jak mawia argentyński pisarz Alberto Manguel, czytelnik nieustanie „buduje" swoje czytanie. Jeśli nie korzystasz z tych umiejętności, budowa po prostu staje.

Podam przykład: gdy jakiś czas temu po latach sięgnęłam po „Grę szklanych paciorków" Hermana Hessego, którą kiedyś się zachwycałam, pomyślałam: mój Boże, jak on mógł kiedykolwiek dostać Nobla? A przecież to nie on zgłupiał przez lata – to ja się zmieniłam. Książka wydała mi się zbyt gęsta, zdania zbyt długie, opisy – nadmiarowe. Dlaczego? Mój mózg przyzwyczaił się do pasywnej konsumpcji krótkich, niewymagających treści i rozproszenia uwagi.

Ale nie poddałam się i codziennie przez 20 minut zmuszałam się do tego Hessego. Ostatecznie przeczytałam tę książkę jeszcze dwa razy – z wielką satysfakcją.

Lata temu Ziming Liu i inni badacze ruchów gałek ocznych opisali nowy rodzaj cyfrowego czytania – „skimming". Szybko przebiegamy tekst, by zrozumieć kontekst, wyłapać kluczowe słowa i wnioski końcowe. Ten sposób czytania w internecie przekłada się na to, jak obcujemy z tradycyjnymi tekstami. A badanie zwyczajów medialnych wykazało, że dzisiejsze dwudziestolatki zmieniają źródło mediów 27 razy na godzinę! Zamieszkujemy świat dystrakcji.

Powinniśmy się zmuszać do czytania?

Nie mogę mówić ludziom, co mają robić. Ale mogę mieć nadzieję, że staną się świadomi tego, co tracą, nie podejmując wysiłku lektury bardziej wymagających tekstów i nie przeznaczając czasu na czytanie w skupieniu. Jeśli podejmą ten wysiłek, będą mogli utracone umiejętności odzyskać. ↦

↦ W przypadku obwodu głębokiego czytania u dorosłych, którzy już go kiedyś odpowiednio zbudowali, obowiązuje zasada „use it or lose it". U dzieci ten obwód może się po prostu nie wykształcić w odpowiednim stopniu.

Dwie trzecie uczennic i uczniów czwartych klas amerykańskich szkół podstawowych nie osiągnęło biegłości w czytaniu. W społeczności afro-latynoskiej jest to prawie połowa. Biuro Więziennictwa od lat na tej podstawie kalkuluje, ile łóżek będzie potrzebnych w przyszłości w aresztach.

Najnowsze badania pochodzą z ubiegłego roku. Okazuje się, że wśród czwartoklasistów i ósmoklasistów tylko jedna trzecia osiąga biegłość w czytaniu ze zrozumieniem. A i tak dotyczy to dzieci bardziej uprzywilejowanych. Wśród dzieci o kolorze skóry innym niż biały tę biegłość osiąga tylko 15 procent.

Ubiegłoroczny wynik jest najgorszy od dwóch dekad dla czwartoklasistów, a dla ósmoklasistów – od czterech! Zatem to nie tylko bardzo palący kryzys, ale też największy, z jakim mieliśmy do czynienia od lat.

Dlaczego jest gorzej?

Zmiennych jest wiele. Jedna, z którą nic nie możemy zrobić, to strata czasu szkolnego w czasie pandemii. Drugi czynnik to przestarzała metodyka nauczania. Tu powoli zachodzi zmiana ze względu na naukowe doniesienia związane z czytaniem i w swojej książce opisuję, jakie metody powinniśmy stosować. Ważne, by nie zakładać, że po trzeciej klasie szkoły podstawowej wszyscy potrafią biegle czytać – nadal należy dzieci w tym wspierać, a nie, jak teraz, po prostu iść dalej z materiałem.

Trzeci istotny czynnik to regres związany ze spędzaniem zbyt dużej ilości czasu z urządzeniami cyfrowymi, który okrada dzieci z chwil, jakie powinny przeznaczać na czytanie dla przyjemności. Znaczenie ma również fakt, że dzieci dostają często zadania za pośrednictwem ekranów, a nie w formie drukowanej.

Oczywiście do tego wszystkiego musimy dodać biedę, dramatyczne zdarzenia związane z deportacjami, które dzieją się teraz w całych Stanach, i wszystkie tragiczne błędy popełniane przez aktualną administrację, niemającą pojęcia o edukacji.

Podam przykład – moja praca w obszarze dysleksji w dużej mierze była finansowana przez Biuro ds. Edukacji Specjalnej. To biuro zostało zamknięte przez Donalda Trumpa.

Badanie na Uniwersytecie Stanforda wykazało ogromny spadek empatii wśród młodych ludzi. **Trudno nie wiązać tego ze wzrostem obecności dzieci w internecie.**

Gdy myślimy o analfabetyzmie, przychodzą nam do głowy kraje Globalnego Południa. Tymczasem na całym świecie możemy się spodziewać pogorszenia umiejętności czytania ze zrozumieniem. Tracimy poznawczą cierpliwość.

Jakość naszej uwagi spada. Piszą do mnie zaniepokojeni profesorowie literatury z różnych uniwersytetów, skarżący się, że studenci nie mają cierpliwości do czytania „gęstszej" literatury amerykańskich twórców – Henry James pozostaje dla wielu z nich poza zasięgiem. Piszą też o rosnącej niechęci do podejmowania wysiłku. Średnia długość zdań w bestsellerowych powieściach jest dziś o połowę mniejsza niż w tych z początków XX w., jest w nich mniej zdań składowych i fraz.

W kontekście młodszych uczennic i uczniów mówi się z kolei o nowym rodzaju nudy wynikającym z przebodźcowania – zmęczone mózgi nie są w stanie podjąć twórczej aktywności. Inny fenomen zgrabnie określił Seymur Papert, naukowiec z MIT, mówiąc o „umyśle konika polnego". To umysł przyzwyczajony do spazmatycznego korzystania z treści cyfrowych, przeskakiwania z jednej aktywności na drugą, który nie potrafi skupić uwagi na dłuższym tekście z jednego medium.

To, że dzieci mają coraz więcej trudności z pisaniem z powodu deficytów uwagi, również ma związek z nadmierną ekspozycją na ekrany. Wychowujemy dzieci, których mózgi doświadczają nadmiaru informacji, co utrudnia im skupienie, a tym samym zapamiętywanie, a więc budowanie wiedzy ogólnej. Dzieci nie mogą spędzać kilku godzin dziennie z telefonem. Ale do tego potrzebujemy

LUCIANO GONZALEZ / ANADOLU / GETTY IMAGES

rozwiązań politycznych, odgórnych, dotyczących szkół.

Dzieciom jest dziś o wiele trudniej skupić uwagę na bardziej wyrafinowanych procesach głębokiego czytania, które stanowią podstawę rozumowania. Jeśli nie opanują tego w podstawówce do tego stopnia, by czytać płynnie i z uwagą, będą mieć kłopoty z rozwojem krytycznego myślenia i empatii. Badanie Sary Konrath i jej współpracowników na Uniwersytecie Stanforda wykazało 40-procentowy spadek empatii wśród młodych ludzi w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Najgwałtowniejszy nastąpił w ostatniej dekadzie. Trudno nie wiązać tego ze wzrostem obecności dzieci w internecie.

Zatem, kiedy mówimy o spadku umiejętności czytania, mówimy w istocie o spadku umiejętności myślenia i odczuwania, co jest znacznie poważniejszym kryzysem. Dzieci nie potrafią myśleć w złożony sposób, którego wymaga od nich uczestnictwo w społeczeństwie demokratycznym.

To nie tylko problem dzieci.

Oczywiście! Kiedy mamy tysiące opcji do wyboru, pojawia się tendencja do wybierania tego, co już znamy i co nie wymaga od nas wysiłku i uwagi. Bezkrytycznie przyjmujemy tylko jedną perspektywę, słuchamy tylko jednej partii, jednego lidera. Wszystko to jedynie utwierdza nas w naszych własnych przekonaniach. A demokracja to wielogłos.

Czytanie ze zrozumieniem to jedyny sposób, by rozwinąć krytyczne myślenie, empatię, zdolność podejmowania świadomych decyzji, rozumienia innych punktów widzenia?

Czytanie ze zrozumieniem daje podstawy, które są wykorzystywane we wszystkich tych procesach. Im więcej czytasz, tym bardziej rozbudowują się obwody głębokiego czytania w twoim mózgu.

Jednym z największych zagrożeń dla demokracji jest niezdolność do przyjęcia perspektywy innych, niezdolność ↦

↦ do krytycznego przetworzenia potężnej dawki informacji, jaką codziennie dostajemy. Chcę, byśmy zauważyli niebezpieczeństwa związane z tym, że przestajemy czytać. Pisarka Jane Smiley zapytana, czy powieść umrze, odpowiedziała, że nie, ale że znajdzie się na peryferiach, a wtedy naszymi przywódcami staną się ludzie niezdolni do rozumienia innych.

Wiele razy wspomina Pani w swojej książce o Sokratesie, który był przeciwnikiem pisma. Filozof pomstował, że zuboży ono naszą pamięć. Mylił się. Nie jest Pani teraz trochę jak Sokrates XXI wieku, pomstujący na ekrany?

Cóż, on mylił się tylko w połowie. Uważał, że pisanie jest receptą na zapominanie. I rzeczywiście zapisywanie myśli całkowicie zmieniło sposób funkcjonowania naszej pamięci. Z jednej strony pomaga nam pamiętać, bo możemy sięgać do tego, co zostało powiedziane, opisane. Z drugiej strony nasza osobista pamięć funkcjonuje przecież zupełnie inaczej niż w czasach sokratejskich.

Może zatem nasz mózg stworzy inną ścieżkę rozwoju krytycznego myślenia i empatii?

Ta myśl bardzo mi się podoba, bo jest w niej nadzieja. Mieszkam w Kalifornii, mój syn pracuje w Dolinie Krzemowej, dzięki niemu spotkałam ludzi, którzy wierzą, że za jakiś czas będziemy programować informacje w naszym mózgu.

Być może nastąpią niesamowite zmiany w sposobie, w jaki będziemy odbierać informacje, jednak tym bardziej wymaga to od nas rozwiniętej inteligencji i etyki, która zabezpieczy nas przed stworzeniem mózgowych Frankensteinów. Może się bowiem zdarzyć, że pojawią się tacy, którzy stwierdzą, że ludzie o przeciętnej inteligencji nie są nam potrzebni, bo nasz gatunek powinien się składać jedynie z najwyższych form inteligencji.

Spodziewamy się, że szkodliwy wpływ ekranów jest związany z ekspozycją na smartfony, iPady. Tymczasem w Pani książce przeczytałam, że i dorośli i dzieci o wiele gorzej zapamiętują treści czytane na czytniku niż w papierowej książce.

MATERIAŁ PRASOWY

MARYANNE WOLF – doktorka psychologii, neuronaukowczyni i psycholingwistka zajmująca się tym, co dzieje się w mózgu w trakcie czytania i dlaczego niektóre dzieci mają trudności z opanowaniem tej czynności. Opracowała programy diagnostyki i interwencji dla dzieci z dysleksją. Dyrektorka Center for Dyslexia, Diverse Learners and Social Justice na Uniwersytecie Kalifornijskim, współzałożycielka programu alfabetyzacji dzieci na świecie Curious Learning: A Global Literacy Initiative, autorka książek.

Nasza pamięć działa inaczej w interakcji z ekranem. Papier sprawia, że bardziej zanurzamy się w lekturze, lepiej zapamiętujemy jej treść, a w efekcie rozbudowujemy naszą wiedzę ogólną. Z książkami papierowymi wchodzimy też w głębszą relację – Susan Sontag mówiła o nich: moi przyjaciele.

Kiedy rodzic czyta dziecku papierową książkę, tworzy się między nimi magiczny moment współdzielenia uwagi, interakcji, fizycznej obecności, bezpieczeństwa związanego z powtórzeniem. Wciąż przecież najlepiej przewiduje się rozwój umiejętności czytania u dziecka w przyszłości na podstawie tego, jak często rodzic czytał mu w dzieciństwie.

Choć sama zabieram kindla w każdą podróż, to gdy chcę coś dobrze zrozumieć i zapamiętać, sięgam po książkę papierową. Wszyscy powinniśmy stosować naprzemiennie oba te rodzaje czytania.

Ale czy wciąż potrzebujemy wiedzy ogólnej, skoro jest ona teraz na wyciągnięcie palca?

To prawda, że z jednej strony wiedza jest bardzo dostępna, jak nieskończony magazyn. Jednak korzystając z niego, sięgamy do repozytorium wszystkiego, czego dowiedzieliśmy się do tego momentu naszego życia – wszystkie informacje przetwarzamy w kontekście tego, co już wiemy i co potrafimy zrobić.

Dlatego im większa nasza wiedza ogólna, tym lepiej rozumiemy to, co czytamy, i tym bardziej potrafimy dostrzegać zasadne analogie i oceniać informację. Nasze zasoby wiedzy ogólnej są krytycznie ważne dla całego tego procesu. Wiedza ogólna stanowi podstawę wychodzenia poza własną perspektywę, podstawę krytycznego myślenia. Marcel Proust napisał, że istotą aktu czytania jest prze-

kroczenie mądrości autora, by odnaleźć swoją własną.

To szczególnie istotne w dobie nadmiaru informacji i braku umiejętności ich krytycznej oceny – prawda jest dziś bardziej zagrożona niż w czasie, gdy pisałam książkę. Kiedy zabito pielęgniarza Aleksa Pretty'ego, sekretarz prezydenta USA powiedział, że strzelano do niego, bo był uzbrojony. Mimo że na własne oczy mogliśmy zobaczyć na filmach udostępnionych w mediach społecznościowych, że to, co trzymał w ręce, to był telefon – nie broń.

Powiedziała Pani, że musimy zbudować dwujęzyczne mózgi. Co to znaczy?

Nie chcę nawoływać do porzucenia ekranów – to byłoby nieracjonalne. Jednak równie nieracjonalne jest twierdzenie, że wystarczy nam tylko nauczanie cyfrowe. Dlatego sądzę, że musimy znaleźć sposób na włączenie edukacji cyfrowej w rozwój dzieci w taki sposób, by nie przejmowała ona kontroli nad ich umysłami. A do tego konieczne jest równoległe nauczanie różnych umiejętności, może na wzór tego, jak pracują w szkołach Reggio Emilia we Włoszech, gdzie dzieci czytają książki i budują z klocków Lego, ale mają też czas na naukę programowania i kodowania.

Kiedy rodzic czyta dziecku papierową książkę, tworzy się między nimi wyjątkowy moment **współdzielenia uwagi, fizycznej obecności, bezpieczeństwa związanego z powtórzeniem.**

Wszystkie aktualne badania z USA, Singapuru, Tajwanu, Kanady, Norwegii, Hiszpanii, Włoch czy Izraela wykazują, że większa ekspozycja na technologie cyfrowe w młodym wieku wpływa na pogorszenie rozwoju mechanizmów uwagi i języka u dzieci w wieku 8-12 lat.

Dlatego kiedy ostatnio byłam w Korei i dowiedziałam się, że digitalizują tam wszystkie materiały drukowane, w każdym wywiadzie namawiałam ich do tego, by nie rezygnowali z książek w podstawówce, ponieważ to one stanowią podstawę głębokiego czytania. Musimy korzystać z materiałów drukowanych i cyfrowych równolegle przynajmniej do 12. roku życia.

Moja propozycja oparta jest na wynikach badań, ale można z nią dyskutować. Jej celem jest wywołanie refleksji nad tym, jak na nowo budować edukację. Jesteśmy w momencie wielkiej tranzycji – w historii było takich momentów wiele. Jednak tym razem mamy technologię i naukę, które pozwalają nam zrozumieć, z jakimi wyzwaniami mamy do czynienia, i zmierzyć się z nimi, zanim będzie za późno.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

REKLAMA

MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

WIEŹ
WYDAWNICTWO.WIEZ.PL

Stadion Narodowy
28–31 maja
stoisko 24/V

REKLAMA

Oko na literaturę, od 1946 roku.

Zapraszamy do księgarni PIW-u przy ul. Foksal 17 w Warszawie, do księgarń kameralnych i do sklepu online www.piw.pl

Osiemdziesiąt lat
Państwowego Instytutu
Wydawniczego

1946-2026

PIW

RADEK ZAWADZKI / MATERIAŁY PRASOWE PIW

Łukasz Michalski

Kultura długiego trwania

ŁUKASZ MICHALSKI, dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego: Naszym obowiązkiem jest ułatwiać dostęp do tekstów ważnych dla dziedzictwa kulturowego, które z różnych powodów nie funkcjonują w szerokim obiegu.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Państwowy Instytut Wydawniczy obchodzi w tym roku 80-lecie. Jak instytucja z taką historią świętuje jubileusz?
ŁUKASZ MICHALSKI:
Nie chcieliśmy robić jednej wielkiej fety, po której wszyscy rozejdą się do domu. Od początku zależało nam raczej na tym, żeby jubileusz był rozwinięciem tego, co PIW robi na co dzień: wydawania ważnych książek, budowania kontaktu z czytelnikami, pracy z bibliotekami i instytucjami kultury.

Dlatego świętujemy już od jakiegoś czasu. W zeszłym roku ruszył jeden z największych projektów historycznych w dziejach PIW-u, czyli „Poczet Władców Polskich". Pomysł polega na tym, że każdy z władców otrzymuje osobną monografię, a większość tych książek powstaje od nowa. Wszystko zbiegło się też z rocznicą tysiąclecia koronacji Bolesława Chrobrego, czyli, w pewnym sensie, z symbolicznym momentem wejścia państwa polskiego w obręb klasycznej cywilizacji zachodniej.

Na co jeszcze w tym roku położycie szczególne akcenty?
Jako instytucja kultury bardzo dużo książek przekazujemy bibliotekom, ośrodkom kultury, stowarzyszeniom polonijnym, zakładom karnym, szpitalom i różnym innym instytucjom. Bardzo często są one zlokalizowane w małych miejscowościach.

W tym roku chcemy zrobić dodruki osiemdziesięciu tytułów, które w ostatnich dziesięciu latach najlepiej się sprzedawały, i przekazać je pięciuset wybranym instytucjom. To duże, kosztowne i logistycznie skomplikowane przedsięwzięcie, ale otrzymaliśmy już wstępną aprobatę ministerstwa, więc projekt będzie realizowany.

Minęło dziewięć lat, odkąd PIW został państwową instytucją kultury, a więc, de facto, został uratowany przed likwidacją. Czy po okresie odbudowy przyszedł już czas spokoju?
To bardzo trafne pytanie, bo w Polsce nie do końca rozumiemy wartość trwania instytucji. Jest to poniekąd oczywiste, jeśli weźmiemy pod uwagę ostatnie trzysta lat naszej historii. Nie jesteśmy nauczeni tego, że ogromną wartością jest samo istnienie instytucji, których zadaniem jest utrzymywanie pewnego poziomu i pewnej jakości kulturowej. Dzięki temu stają się one przestrzenią odniesienia. PIW niewątpliwie był taką przestrzenią odniesienia dla polskiej inteligencji. I pochlebiam sobie, że w jakimś stopniu znowu się nią staje.

Co dziś uważa Pan za najważniejsze zadanie PIW-u jako instytucji kultury?
Bardzo ważna jest dla mnie kwestia ciągłości tradycji intelektualnej. Trudno o lepsze miejsce niż „Tygodnik Powszechny", by o tym mówić, bo właśnie tutaj po wojnie znalazła się duża część przedwojennej elity intelektualnej, która mogła jeszcze publikować.

Moim marzeniem jest stworzenie serii stu, może stu pięćdziesięciu kluczowych książek humanistycznych, które albo nigdy nie ukazały się po polsku, albo nigdy nie doczekały się nowoczesnych, krytycznych tłumaczeń. To byłoby niezwykle ważne, bo pod tym względem wciąż mamy do nadrobienia pewne zaległości wobec najbardziej rozwiniętych kultur europejskich. I zamiast nad tym ubolewać, po prostu trzeba zakasać rękawy i robić swoje.

Na tym polega rola takich instytucji jak PIW?
Naszym obowiązkiem jest ułatwiać dostęp do tekstów ważnych dla dziedzictwa kulturowego, które z różnych powodów nie funkcjonują w szerokim obiegu.

To łączy się z pracą popularyzatorów, krytyków, prasy i dziennikarzy. Książkę trzeba nie tylko wydać, ale też wprowadzić w obieg: opowiedzieć o niej i pokazać, dlaczego może być ważna także dla kogoś, kto nie jest zawodowym badaczem.

Po co przywracać dziś książki zapomniane, takie jak „Obłęd" Jerzego Krzysztonia?
To jedna z odpowiedzi na pytanie, po co istniejemy. Nikt nie zakłada, że czytelnicy masowo rzucą się do księgarń po „Obłęd", choć byłoby wspaniale, bo to książka jedyna w swoim rodzaju. Trudna, ciężka percepcyjnie, ale niezwykle ważna.

Dlatego otwiera ona naszą nową serię „Polskie Prozy", która nieprzypadkowo nawiązuje tytułem do „Polskich dróg". Chcemy w niej przypominać polskie ścieżki prozatorskie: zapomniane, nieoczywiste, często nieznane młodszym czytelnikom. Mogą oni dzięki temu zobaczyć, że wiele rzeczy uznawanych dziś za nowoczesne czy awangardowe było już wcześniej obecnych w literaturze, nieraz w formach znacznie bardziej oryginalnych.

Czego życzyć PIW-owi na kolejne lata?
Przede wszystkim spokoju. Myślę, że jest on potrzebny nie tylko instytucjom kultury. Potrzebna jest możliwość docenienia tego, że pewne rzeczy nadbudowują się powoli. Żeby powstał dąb, który nas zachwyca, trzeba poczekać wiele lat. Tak po prostu urządzony jest świat.

Kultura jest przestrzenią, w której trzeba zgromadzić pewien zasób. Trzeba pozwolić instytucjom rozwijać się w czasie. Nie domagam się ani większych pieniędzy, ani szczególnego uznania. Chciałbym po prostu, żebyśmy mogli we względnym spokoju robić tę robotę, którą wszyscy w PIW-ie kochamy. To byłoby chyba najwspanialsze, co mogłoby nam się przydarzyć.

©℗ ROZMAWIAŁ MICHAŁ SOWIŃSKI

ŁUKASZ MICHALSKI – *dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego, wydawca i animator życia literackiego.*

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Anomalie i sny

MIRCEA CĂRTĂRESCU, PISARZ:

Wielu chciało wyjaśnić świat, a przecież ważne jest, by się z niego uwolnić. Powieść jest naszym planem ewakuacji.

GEORGINA GRYBOŚ: Pisze Pan dzienniki od siedemnastego roku życia. Czy ta rutyna wpływa na pisanie powieści?

MIRCEA CĂRTĂRESCU: Zgadza się, piszę dziennik od ponad pięćdziesięciu lat i uważam, że to najważniejsza rzecz, jaką w ogóle piszę. I to zarówno jeśli chodzi o samą formę dziennika, ale też fakt, że wszystkie tematy, które w nim zapisuję, rozwijam później w książkach. Moje książki są odgałęzieniami myśli, które rodzą się w dzienniku i stamtąd wyrastają.

Czyli jesteśmy, jako czytelnicy powieści, na straconej pozycji.

Dobra metafora działa w ten sposób, że nie trzeba znać drzewa, żeby smakować jego owoce. Książki wciąż pozostają osobnymi bytami, nawet jeśli początek ich wszystkich jest właśnie w dzienniku. W zasadzie przypominam tu chyba Witolda Gombrowicza, dla niego też dziennik był najważniejszy.

Dziennik to również codzienne pisanie. O ile wyobrażam sobie zaprzestanie pracy nad książką na dwa, może trzy dni, to taka przerwa w pisaniu dziennika jest dla mnie niewyobrażalna.

Jest jeszcze jeden ważny wymiar codziennego pisania. Zarówno dziennik, jak i książki piszę ręcznie. „Orbitor" oraz „Solenoid" powstawały w notesach. Bez powrotów, poprawek, redakcji – pisałem dokładnie tak, jakbym robił swoje zwyczajowe zapiski. Tu spotykam się też z Kafką – każdy tekst jest swoistą kontynuacją dziennika.

Naprawdę niczego Pan nie poprawia?

Zwykle o tym nie mówię, bo mam wrażenie, że ludzie będą myśleć, że to jakaś mistyfikacja. Na szczęście mam świadków tego procesu. „Orbitor" powstał w ośmiu notesach – praktycznie bez żadnego skreślenia, wyrwanej kartki. Dokładnie tak samo powstał „Solenoid".

PÄR BÄCKSTRÖM / TT NEWSAGENCY / FORUM

MIRCEA CĂRTĂRESCU urodził się w roku 1956 w Bukareszcie. Jeden z najwybitniejszych i najciekawszych współczesnych rumuńskich autorów.

Zresztą moje książki piszą się w zasadzie same, z moim minimalnym udziałem. Ja jestem właściwie tylko przyczynkiem do ich pojawienia się na świecie. Są złożone, z wieloma odnogami i mnóstwem odniesień, ale głęboko wierzę, że podczas pisania, jeśli skupię się na stronie, jej teksturze, to ta masa wątków złoży się później w jedną całość.

To wróćmy na moment do Kafki.

Mówią mi, żebym nie odwoływał się do Kafki, bo wszyscy mówią o Kafce, a ja zawsze odpowiadam, że mam swojego Kafkę – pisarza, który nie uważał się za pisarza i może właśnie dlatego był wielkim pisarzem. Pisarza, który odrzucił grę z kulturą, pisząc po prostu dla siebie.

Jego pisanie było cielesne, biologiczne. Było jak oddychanie, akt somatyczny. Kafka nie pisał po to, aby go recenzowano, aby być znanym, dla nagród. Po prostu pisał. Był bardziej profetą niż artystą. Profetą w rozumieniu Starego Testamentu – gdyby nie przepowiadał, byłby przeklęty. Był poetą języka i podświadomości, jak inni wielcy: Bruno Schulz, Max Blecher.

W pewnym sensie jest też podobny do Hrabala lub innych pisarzy z Europy Środkowo-Wschodniej. Ale najbardziej wydaje mi się, że podobny jest do Ludwika Wittgensteina. To bracia bliźniacy: urodzeni na terytorium języka, ale nauczyli się żyć w pewnym sensie na jego marginesie.

Uwielbiam Kafkę także dlatego, że on w jakiś sposób zidentyfikował swój ludzki los przez los literacki. Jest moim ideałem, w pewnym sensie niedościgłym.

Pan gra w tę grę, którą odrzucił Kafka?

Wszyscy gramy w tę grę. Nie możemy zrezygnować z owoców naszego literackiego wytworu. Ale też my wszyscy, którzy funkcjonujemy jako jego spadkobiercy czy uczniowie, jednak traktujemy go jako niedościgły ideał. Główna postać z „Solenoidu" to jest właściwie sobowtór Kafki: on również jest pisarzem, który pisze tylko dla siebie, który nie chce wcale publikować, bo publikowanie to pierwszy kompromis.

Patrząc na bohatera „Solenoidu", mam jednak wrażenie, że to los zdeterminował jego wejście w rolę anty-pisarza. Fiasko pierwszego głośnego czytania tekstu go złamało.

Zaczynając pracę nad „Solenoidem", chciałem napisać inną książkę. Miała to być bardziej książka eseistyczna, pod tytułem „Moja anomalia".

To miała być książka odwołująca się do mojego wewnętrznego życia i przeżyć, które czasem są trudne do zrozumienia dla mnie samego. Miała być mieszaniną snów, które zapisuję w dzienniku, jak i wszystkich innych przeżyć, które w jakiś sposób wynotowałem i dla których chciałem znaleźć wyraz. Ale ostatecznie sama powieść zadecydowała o zmianie kierunku.

I ten wieczór, do którego pani nawiązała, czyli czytanie wiersza na Kole Księżycowym, był momentem rozłamu. Kiedy odchodzimy od zaczerpniętego z życia faktu, wchodzi literacka historia, która jest przeciwko faktom, rodzi się pisarskie *alter ego*. Czyli tak jak w pewnych wydarzeniach fizyki kwantowej: rzeczywistość rozłamuje się, rozszczepia.

Otóż ten wieczór miał miejsce, naprawdę. Ja rzeczywiście uczestniczyłem w takim kole na uniwersytecie. I rzeczywiście czytałem tam mój pierwszy, powiedzmy, profesjonalnie napisany wiersz. Tylko tamto koło nazywało się Kołem Poniedziałkowym. I odniosłem tego wieczoru ogromny sukces.

Wielki krytyk współczesnej literatury, Nicolae Manolescu, był zaskoczony i zachwycony poziomem utworu. I to był, powiedzmy, punkt wyjścia dla mojej tak zwanej kariery literackiej. Ale w czasie, kiedy zacząłem pisać moją książkę, przyszedł mi do głowy pomysł, jak by to było, gdyby życie potoczyło się inaczej.

Od tego zaczął się „Solenoid"?

Pojawiło się pytanie, co by się zdarzyło w moim życiu, w mojej karierze literackiej, gdyby tamtego wieczoru, zamiast być zachęconym do dalszego pisania i docenionym, zostałbym odrzucony i skrytykowany. Jak wtedy wyglądałaby moja kariera?

W tamtym momencie pojawił się jakby anty-ja, który nie powinien był istnieć. I byłem zaskoczony, że właściwie ten człowiek, który zdecydował się pozostać nauczycielem i żyć swoje życie poza literaturą, tak naprawdę był prawdziwym, autentycznym pisarzem.

I zdałem sobie sprawę, że „Solenoid" to jest właściwie jego dzieło, a nie moje. I dlatego w pewnym sensie dokonałem przez tę postać konfiguracji tego kogoś, kogo uważam za swój ideał pisarski – Kafki.

Chowa się Pan za swoimi bohaterami?

Praktycznie każda z postaci jest odpowiedzialna za swoją porcję powieści. A postać, która jest właściwie bez imienia – jak bohater „Solenoidu" – jest odpowiedzialna za całą książkę, bo to ona właściwie ją napisała. To jest ekstremalna książka, „Solenoid". Jak „Pieśni Maldorora" Lautréamonta.

Postaci, które w pewnym momencie pojawiają się w powieści, mówią też o sposobie postrzegania rzeczywistości. W pewnym sensie jest to również powieść filozoficzna, w której rozważa się postrzeganie różnic między rzeczywistością a podświadomością.

Marks na przykład mówił, że wielu chciało wyjaśnić świat, natomiast istotne jest, żeby go zmieniać. Moja postać przejęła to w jakiś sposób i powiedziała: wielu chciało wyjaśnić świat, natomiast ważne jest, by się z niego uwolnić. Powieść staje się planem ewakuacji, ucieczki. Rzeczywistość jest w pewnym sensie cierpieniem, więc istotne jest, byśmy wyszli z tego świata.

Gdzie w tych rozważaniach umieścimy kolejnego bohatera „Solenoidu", Palamara?

On, jako soteriolog, jest specjalistą od ucieczek. I to on wysyła moją postać w świat roztoczy. To jest najważniejszy moment w mojej książce i myślę, że też bardzo udana parabola.

Moja postać została wysłana w mroczny świat, który nie wie, że poza nim są inne światy. Zostaje wysłana do tego drobnego świata, który nie zdaje sobie sprawy, że istnieje jeszcze jakiś nadświat. Zarówno w świecie z książki, jak i w naszym, wybawcy zostają poświęceni. Nie ma komunikacji czy łącznika między tym, co immanentne i transcendentne. Oznacza to ciągłe uderzanie o ściany więzienia – świata.

Dlaczego?

Język transcendentny w pewien sposób nas przerasta. To jest zresztą główny ↦

temat literatury współczesnej. Niemożność skomunikowania się między postaciami ludzkimi, ale też postaciami, które znajdują się „ponad nami". I właściwie ta powieść rozwija się przez poszukiwanie momentu wyjścia, ucieczki.

Ostatnie strony książki pokazują, dlaczego mój bohater odnajduje spokój w samym centrum apokalipsy, wyprowadzając się wraz ze swoją rodziną do zrujnowanej kaplicy. Ten temat jest bardzo ważny w literaturze Europy Środkowo-Wschodniej. Znajdujemy go również u Tarkowskiego czy Dostojewskiego. I w innych dziełach, które pokazują wartość duchową świata, w którym żyjemy.

Czytając tę powieść, patrzyłam na istoty, które się rozmywają, są niedookreślone.

To temat, który jest dla mnie niezwykle ważny. Zarówno w „Nostalgii", jak i w „Travesti" pojawia się temat postaci androgynicznej i ona w jakiś sposób przenika do moich pozostałych książek. Od zawsze miałem bardzo dużo pytań, byłem bardzo zainteresowany różnicami zarówno psychologicznymi, jak i fizjologicznymi między tymi dwoma biegunami.

I to oczywiście wychodzi ze sfery dzieciństwa i relacji z rodzicami. Właściwie we wszystkim, co napisałem, próbuję w jakiś sposób objaśnić sobie moją relację z rodzicami. Pierwszy tom „Orbitora" jest dedykowany mamie, ostatni ojcu.

Myślę, że najlepiej rozwinąłem temat tych relacji w książce, która jeszcze nie pojawiła się po polsku, chodzi mi o „Melancholię". Tam mama i tata są postrzegani jako postaci boskie. Dwie statuy, dwumetrowe posągi. Mama zrobiona jest z czekolady, jak wielkanocne zajączki czy bożonarodzeniowi mikołaje. A tata z szarej gumy. Proszę nie pytać dlaczego, nie mam pojęcia. Takich ich zobaczyłem.

Jest taka scena w „Solenoidzie", która nie daje mi spokoju: scena z matką. Czy musimy się zawieść na kimś bliskim, żeby rozpocząć samodzielną drogę?

Jesteśmy związani z mamą dwoma węzłami. Jeden to ten, który jest odcinany przy narodzinach, a drugi to psychologiczna pępowina, czyli powiązanie między naszymi umysłami. Jeden z tych wymiarów jest bardzo kojący, uspokajający, a drugi wprowadza niepokój.

Ten moment zwątpienia w mamę, moment oddzielenia się, wiąże się w moim życiu z chwilą narodzin siostry. Wtedy zdałem sobie sprawę, że mama jest w stanie kochać kogoś drugiego równie mocno jak mnie. Byłem bardzo zazdrosny i poczułem się zdradzony.

Myślę, że to odczucie odzwierciedla scena, o której pani mówi. Ale mama w tym roku kończy 97 lat i w dalszym ciągu jest w centrum mojego życia.

Czyta Pana książki?

Jest ogromnie inteligentną osobą, która nie miała możliwości studiowania. Pochodziła z rodziny o korzeniach wiejskich, gdzie kobiety nie były zachęcane do nauki. Bardzo lubiła czytać, natomiast ojciec zawsze jej mówił, że nie rozumie, dlaczego tyle czyta, przecież nie zostanie duchowną.

Skończyła tylko cztery klasy, ale z ogromną radością czyta do dziś. Niekoniecznie moje książki, być może są dla niej zbyt skomplikowane. Ale czyta książki Juliusza Verne'a. Najważniejsze, żeby były przyjemne, chociaż literatura podobno nie zawsze musi być przyjemna.

> Mnie nie interesuje historia, tylko moje wewnętrzne życie i mój własny sposób postrzegania rzeczy. **Więc jeśli nie pamiętam jakichś wydarzeń, po prostu je wymyślam.**

Podczas czytania „Solenoidu" powracał do mnie fragment wywiadu, który z Wiesławem Myśliwskim przeprowadził Wojciech Bonowicz. Pisarz mówił: „Piszę powieści tak, żeby o mnie było jak najmniej. Owszem, korzystam – bardzo często, nawet zawsze – z własnej biografii. Ale jeśli biorę jakiś fragment mojego życia, to go następnie przekształcam do tego stopnia, że staje się w ogóle niepodobny do tego, co mi się w życiu zdarzyło". Czy możemy myśleć o „Solenoidzie" jako kolejnej odsłonie wciąż przepisywanej biografii lub jej fragmentów?

Istotne jest to, że wszystko, co jest napisane, w pewien sposób deformuje rzeczywistość. Fakt przelany na papier nie jest tożsamy z rzeczywistością. Bo pisanie jest jak różnica między snem a rzeczywistością, tworzy anamorfozę. Sen w pewnym sensie żywi się naszymi przeżyciami, wspomnieniami, ale przekształca je według własnej logiki.

Nasza pamięć nosi punkty wyjścia dla twórczości artystycznej. Ale zwłaszcza nasze wewnętrzne archetypy są tymi, które w pewnym sensie deformują rzeczywistość. Mnie nie interesuje biografia ani historia, ale moje wewnętrzne życie i mój własny sposób postrzegania rzeczy. Więc jeśli nie pamiętam jakichś rzeczy z mojego życia, po prostu je wymyślam.

© Rozmawiała GEORGINA GRYBOŚ

Autorka jest redaktorką programową Radia Kraków Kultura.

Wywiad powstał przy wsparciu Rumuńskiego Instytutu Kultury. Rozmowę przetłumaczyła Joanna Kornaś-Warwas.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 22/2026

REDAKCJA: Monika Ochędowska, Edward Augustyn
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

OPOWIEŚCI, KTÓRE ZOSTAJĄ Z TOBĄ NA ZAWSZE

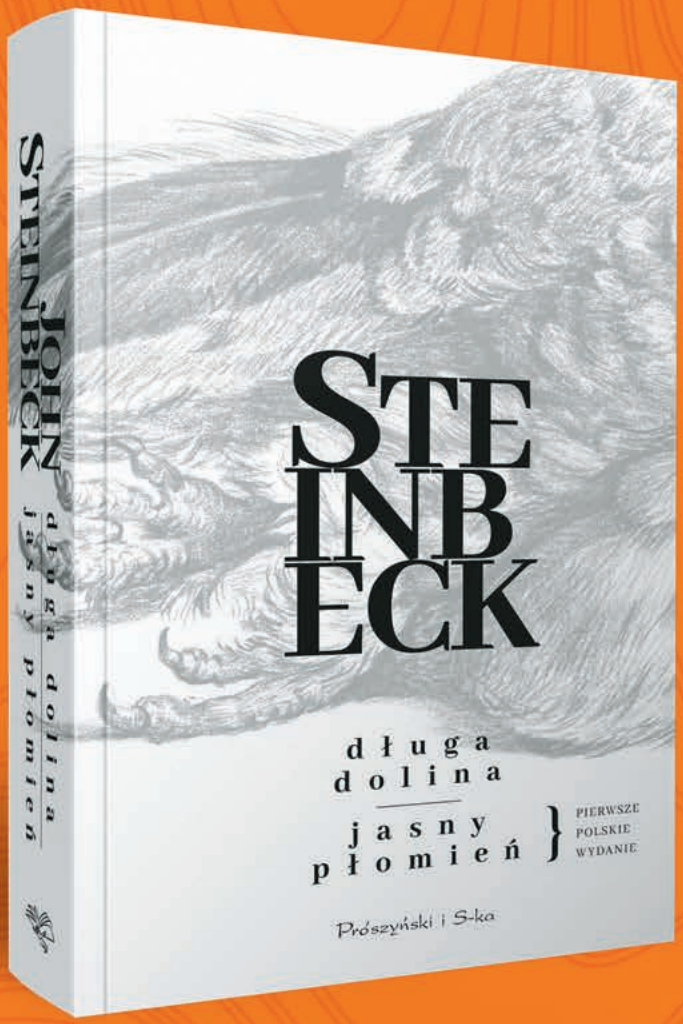

Prószyński i S-ka

REKLAMA

Miejsce mocy

BEATA CHOMĄTOWSKA

„Solenoid" jest odtrutką na zalew literatury miałkiej, poprawnej i wtórnej. Ale nie tylko o czytelniczą satysfakcję tu chodzi. Ta powieść jest czwartym wymiarem.

Oto jedna z tych książek, wobec których trzeba się zadeklarować: miłość albo nienawiść. Jeśli lubisz poetykę snu i umiesz odpuścić kontrolę, pozwalając się prowadzić przez mocno rozgałęziony labirynt, w którym raz za razem trafia się ślepa odnoga – nie pożałujesz.

Trzeba tylko wskoczyć bez zastanowienia w głąb tej króliczej nory, która ostatecznie okazuje się termitierą. Bawiłam się przednio, jak każdy, kto w świecie realnym nie odpuszcza okazji, by wściubić nosa w opuszczone miejsca. „Solenoid" jest jak odtrutka na zalew literatury miałkiej, poprawnej i wtórnej. Ale nie tylko o czytelniczą satysfakcję tu chodzi.

Główny zamysł ujawnia się już w języku, jaki narzuca się do opisu doświadczenia lektury: jest on bowiem architektoniczny. Po trosze realna, częściowo widmowa struktura Bukaresztu ery Ceaușescu, z bujnym życiem podziemnym, inkrustowanym w kilku miejscach solenoidami, czyli czymś na kształt tech-czakramów, służy za scenerię opowieści – ale na równi z architekturą umysłu narratora i zarazem głównego bohatera.

W konwencjonalnym życiu to niespełniony pisarz, zatrudniony jako nauczyciel języka rumuńskiego w podstawówce na peryferiach, mieszkaniec domu w kształcie parowca, pod którym tkwi jeden z solenoidów. Surrealistyczne relacje z pokoju nauczycielskiego, korytarzy i klas, wraz z opowieściami o nauczycielach i podopiecznych, niepozbawione komizmu, powinny ucieszyć wszystkich, którzy zaznali publicznej edukacji w czasach PRL-u i wskutek tego nadal zdarza się im błądzić we snach po woniejących lizolem korytarzach tysiąclatek.

Ale istnieje też rewers tej monotonnej egzystencji, gdzie – jak w pewnej opuszczonej fabryce sąsiadującej ze szkołą – na odwiedzających czekają rozliczne atrakcje, choćby w postaci żywiących się bólem foteli dentystycznych oraz ludzkich płodów i pajęczaków gargantuicznych rozmiarów (bodaj najbardziej sugestywny motyw entomologiczny od czasów „Piaseczników" George'a R.R. Martina).

Mircea Cărtărescu
SOLENOID
tłum. Joanna Kornaś-Warwas
ArtRage 2026

Bez obaw, nie spoiluję. Fabuły „Solenoida" nie da się streścić. Choć stwierdzenie „niepodobne do niczego wcześniej" też nie jest do końca prawdziwe, bo sporo tu znajomych odwołań, począwszy od Borgesa, Mallarmégo, Kafki, Hoffmanna i Pessoi, po Pynchona, którego sam Cărtărescu wymienia często w wywiadach jako ulubionego autora.

Halucynogenne miasto-matryca (przypominające fantasmagorie z rysunków Monsù Desiderio) oraz matryca mózgu nakładają się na siebie. Jedno i drugie zawiera w sobie cały świat. Z perspektywy ezoterycznej „Solenoid" jest też rodzajem podróży prowadzącej do przemiany, podporządkowanej starej jak świat zasadzie kosmicznej ekwiwalencji: „jako i na górze, tako i na dole". Stąd tak liczne nagromadzenie rozważań wychodzących od mikrokosmosu ciała, nie tylko zresztą ludzkiego, ku prawom rządzącym wszechświatem, a także poszukiwań czwartego i piątego wymiaru egzystencji.

W przestrzennych odniesieniach, opisach wędrówek po mieście i mózgu, gdzie zakazany, niedostępny pokój oznacza umysł, można dopatrzeć się odwołań do świętej geografii wraz z jej symboliką, obecnej zwłaszcza w hinduskiej mistyce. Wydzielony obszar, wokół którego się pielgrzymuje, jest zarazem kosmosem, każdorazowo odtwarzanym przez pielgrzymującego w trakcie rytuału. Koncepcja solenoidów bliska byłaby pojęciu pith, miejsc mocy (i centrów pielgrzymkowych), wspólnych dla hinduistycznych i buddyjskich tradycji. Istnieją one zarówno w konkretnych geograficznych miejscach, jak i symbolicznie. Idąc tym tropem dalej, w niektórych praktykach tantrycznych mamy też do czynienia z nakładaniem makrokosmicznej mapy na własne ciało i przekształcaniem jego elementów w odpowiedniki świętych punktów.

Stąd, być może, obsesyjnie powracający w „Solenoidzie" motyw tatuowania, zarówno powierzchni skóry, jak i wnętrza. Tatuaże tworzą mapy. Pochłaniając książkę, czytelnik krąży jednocześnie po głowie autora, dokonując na niej trepanacji. Pojawia się też motyw innego narzędzia, jakim jest mantra w postaci słowa „help", powtarzanego przez udręczony tłum mieszkańców Bukaresztu, buntujących się przeciwko śmierci. Autor powtarza je na dziesięciu stronach książki. Ambicje Cărtărescu sięgają daleko: sama powieść ma być czwartym wymiarem.

Według psychoanalitycznego klucza można ją odczytywać jako próbę dotarcia do O, czyli Ostatecznej Rzeczywistości z prac Wilfreda Biona, której nie sposób objąć umysłem, dostępnej tylko przez przybliżenia i przekształcenia. I jak zagadkowy manuskrypt odkryty przez polskiego antykwariusza Michała Wojnicza – ważny motyw powieści – „Sole-

noid” też ma skrywać zaszyfrowaną w języku prawdę o mechanizmach rządzących światem i stworzeniem. Mistyczną pielgrzymkę napędza zwykle pragnienie wyzwolenia.

Czaszka, w której kryje się mandala mózgu, a w niej pokój umysłu, jest zarazem więzieniem. Podobnie Bukareszt, miasto mistyczne, o dwoistym, rajsko-piekielnym obliczu. Na dożywotnie więzienie, z nieuchronnym starzeniem się i śmiercią u kresu drogi, skazuje też sama ludzka kondycja. Wyzwolenie może mieć wyłącznie formę samozbawienia, jak w powracającej w fabule historii o więźniu, który uciekł, rozszyfrowując sygnały dobiegające zza muru (które, jak przekonuje się już na zewnątrz, były przypadkowymi dźwiękami morza). Wizja Carterescu jest mocno gnostyczna.

W kosmologii Cărtărescu strażnik, czyli domniemany Stwórca, ma raczej postać demiurga, traktującego stworzenie obojętnie, co najlepiej ilustruje kafkowska transformacja bohatera w pasożyta pod nadzorem szalonego antykwariusza, który, współczując kolonii świerzbowców na własnej skórze, chciałby otworzyć przed nimi świat wykraczający poza ich nieszczęsną egzystencję, czwarty wymiar dla nanoskali. Próba zaniesienia dobrej nowiny pozostałym świerzbowcom, nieświadomym istnienia swoich żywicieli, kończy się fatalnie. Na początku była przemoc prowadząca do śmierci i tak już zostanie – czy to kosmos, czy nanoskala. Tylko zakończenie odbiega od tego trybu rozumowania – wielu może odebrać je jako wręcz rozczarowujące.

„Solenoid” to rajd bez trzymanki, ucieleśnienie dziecięcych marzeń każdego książkowego mola o rzeczonym manuskrypcie, którego karty, pełne cudownych i przerażających obrazów, ożywają w trakcie lektury. Ale może też być tak, że siedemset stron już po kilku akapitach wydadzą się czytającemu bełkotem – choćby przez nadmiar barokowych fraz. Fragmenty zbyt chaotyczne, miejscowe dłużyzny czy językowe rozpasanie narrator usprawiedliwia szczwanym chwytem formalnym: całość jest jakoby rodzajem pamiętnika, zapisywanego przezeń w kolejnych zeszytach i nieprzeznaczonego bynajmniej dla zewnętrznego oka.

Wielki Rumun (sądzę, że ten przydomek należy się Cărtărescu bez przekąsu) jest autorem starej daty, który pisze po bożemu, odręcznie, a nawet bez skreśleń, prowadząc odbiorcę przez labirynt świadomości i nieświadomości zbiorowej wydeptanymi samodzielnie ścieżkami.

Te same wątki, obsesje i motywy, które znaczą jego opus magnum, widać już w debiutanckim „Travesti” (polskie wydanie 2007, również w przekładzie Joanny Kornaś-Warwas). Wplata on też często w fabuły wątki z osobistych dzienników, prowadzonych od wczesnej młodości, wraz z sennymi retrospekcjami, nadreprezentowanymi w „Solenoidzie”, co daje rodzaj zmitologizowanej autobiografii. Rezultat siedmiu lat pracy to ucieleśnienie fantazji o dziele totalnym, które „byłoby pejzażem, nie mapą”.

Wiąże się z tym rodzaj literackiego manifestu. „Tekstami, które należałoby czytać, są wyłącznie te nieartystyczne i nieliterackie, surowe i niemożliwe do zrozumienia, te, których autorzy musieli być szaleni, by je napisać. Gdyby młodzieńczy poemat narratora został dobrze przyjęty, jego kolejne dzieła trafiłyby do podręczników, on sam zaś, wędrujący z jednych targów książki na drugie, między spotkaniami autorskimi i debatami, „dałby się porwać grze świateł i doskonałości”, zdobyłby świat „poprzez stopniową utratę własnej duszy”.

Pomijając interpretację mistyczną, w której narrator przedkłada wędrówkę drogami wewnętrznej alchemii nad wydobycie słów, ostentacyjne odrzucenie rozpoznawalności jest gestem radykalnym. Nie tylko jako pociecha dla grafomanów. Jest przypomnieniem, skąd wyrasta literatura. W rzeczywistości coraz bardziej zdominowana przez przymus stania się literacką marką – czytaj: produktem, który trzeba bez ustanku performować, by przypominać o swoim istnieniu i ścigać się z maszyną – twórczość jako czynność zwrócona wyłącznie lub przede wszystkim do wnętrza to deklaracja brzmiąca co najmniej wywrotowo.

Zwłaszcza że pochodzi od autora, który w odróżnieniu od protagonisty-pariasa osiągnął sukces. Mogła robić wrażenie już w 2015 r., gdy „Solenoid” miał swoją premierę. A co dopiero dziś. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep „Tygodnika Powszechnego”

DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA

SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl

Gra z cieniem

Nakładem wydawnictwa Sensus ukazała się właśnie książka pt. „Pojednanie z cieniem. Jak zaakceptować mroczną stronę naszej osobowości i przejąć nad nią kontrolę" autorstwa uznanego specjalisty, Jarosława Gibasa. To ważna i potrzebna publikacja poświęcona koncepcji cienia – jedyna na polskim rynku, która ujmuje ten temat w sposób kompleksowy, łącząc perspektywę psychologiczną, socjologiczną, kulturową i społeczną.

Cień dawno wykroczył poza koncepcję Carla Gustava Junga i samą psychologię. W skrócie można go dziś rozumieć następująco: cień to ukryta część naszej psychiki. Cechy, myśli i emocje, które wypieramy, ponieważ są sprzeczne z tym, jak chcemy widzieć siebie i jak chcemy być postrzegani. Często ujawniają się one w impulsach i reakcjach, których się wstydzimy, lub które uznajemy za społecznie nieakceptowalne. Unikamy konfrontacji z cieniem, ponieważ jest ona bolesna i podważa nasz obraz samych siebie. W efekcie projektujemy te cechy na innych, odczuwając wobec nich niechęć.

Wyparte aspekty osobowości jednak nie znikają – przeciwnie, mogą zyskiwać nad nami większą kontrolę i ujawniać się w nieoczekiwanych momentach. Cień to wszystko to, czym nie chcemy być, a jednocześnie podejrzewamy, że w nas istnieje. Im bardziej go odrzucamy, tym silniej na nas wpływa – tworząc błędne koło lęku i wyparcia. Brak jego akceptacji zwiększa ryzyko utraty kontroli nad własnym zachowaniem. JAROSŁAW GIBAS to znany i ceniony specjalista, socjolog, dawniej dziennikarz i publicysta, obecnie nauczyciel. Jest autorem kilku książek z zakresu inteligencji duchowej i emocjonalnej. Prowadzi warsztaty i szkolenia obejmujące zarówno umiejętności EQ, mindfulness, jak i obszary związane z psychologią transpersonalną.

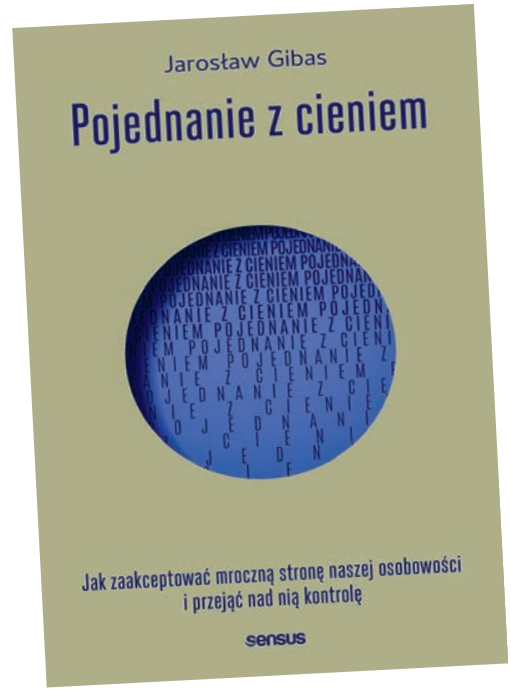

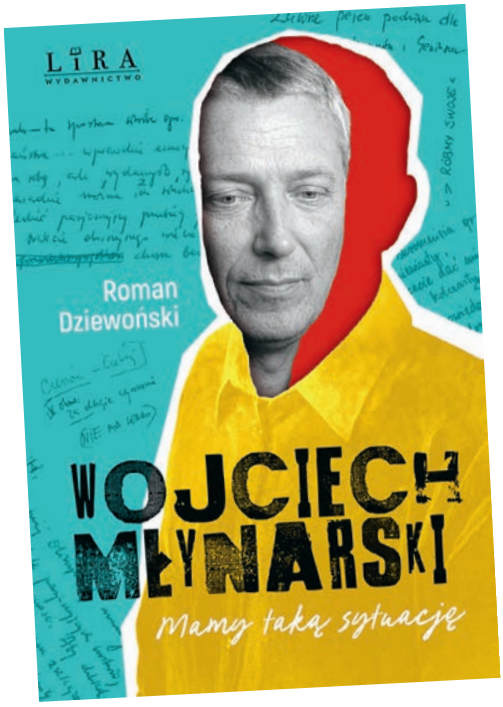

Twórca totalny

Roman Dziewoński osobiście znał Wojciecha Młynarskiego, a jego książka wydana nakładem wydawnictwa Lira jest pierwszą monografią artystyczną tego wyjątkowego twórcy.

WOJCIECH MŁYNARSKI – poeta. Wnikliwy obserwator. Samotnik, mimo że tak bardzo obecny i aktywny w życiu. Niecnie korzystał z piękna polszczyzny. Sprowadzał nieokiełznaną wyobraźnię na ziemię. Tę, tutaj, w dorzeczu Wisły...

Kojarzony głównie z tekstami popularnych piosenek, autor scenariuszy, librett operowych, operetkowych i musicalowych, tłumacz, artysta kabaretowy, reżyser, wykonawca, a nawet kompozytor muzyki do kilku swoich utworów. Jak to wszystko łączył w całość i za każdym razem celnie komentował rzeczywistość od lat 60. ubiegłego wieku aż do czasów nam współczesnych?

„A już się bałem, że zmądrzeli", napisał kiedyś i dziwnym trafem te słowa są nadal aktualne. Niepublikowane dotąd, unikatowe teksty Młynarskiego uzupełnione zdjęciami z prywatnych archiwów zachęcają do lektury książki pełnej wspomnień, anegdot i opowieści o tym niepowtarzalnym artyście.

MATERIAŁY PROMOCYJNE

Poza logiką rynku

ADAM WOŹNIAK

Dawid Kujawa, jak przystało na filozofa, próbuje podważać obiegowe opinie. Warto go posłuchać. To gość, który ma odwagę myśleć pod prąd.

Chcę opowiedzieć o prawidłach współczesnego kapitalizmu, który nie zważając na nic, odbiera nam ostatnie przestrzenie wolności" – pisze jak przystało na marksistę. Ale zaraz potem wskazuje ciemne strony rewolucji obyczajowej lat sześćdziesiątych, krytykuje strategie współczesnych aktywistów klimatycznych czy tzw. kulturę *woke*.

Choć nie jest „symetrystą", to zwykle stara się myśleć w poprzek podziałów politycznych. Pewnie dlatego dostaje mu się z obu stron. Lewica widzi w nim mimowolnego sprzymierzeńca tradycjonalistów, tradycjonaliści – wywrotowca, który nawołuje do opodatkowania bogatych w trosce o ich dobrostan psychiczny.

Dawid Kujawa to krytyk literacki i teoretyk kultury, który czerpie inspiracje z (traktowanej swobodnie) myśli Marksa oraz jej włoskich i francuskich kontynuatorów. Debiutował w 2014 r. niszową książką dotyczącą awangardowej wideoliteratury („Wideopoezja. Szkice"). Potem były zdecydowanie głośniejsze „Pocałunki ludu. Poezja i krytyka po roku 2000" (2021) i „Niedzielne ziemie. Poezja i dobra wspólne" (2024), w których autor stosował pojęcia ukute przez klasyków myśli lewicowej do analizy współczesnej poezji, a z poezji czynił punkt wyjścia do krytyki późnego kapitalizmu.

W wydanym jesienią minionego roku zbiorze esejów Kujawa rezygnuje z pośrednictwa tekstów literackich i sięga do świata kultury oraz polityki – zamiast wierszy interpretuje happeningi Ryszarda Petru, działania Partii Razem, współczesny rap i modę na buddyzm.

Punktem wyjścia dla rozważań autora jest historia Saula Williamsa – znanego z antykapitalistycznych poglądów amerykańskiego muzyka, który pozwolił, by jego protest song został wykorzystany w kampanii reklamowej koncernu Nike. Zdaniem Kujawy właśnie tak funkcjonuje współczesny świat – kapitalizm pożera i przekształca w towar wszystko, co nie mieściło się kiedyś w jego „strefie wpływów".

Internet, który mógł być przestrzenią oporu, stał się miejscem, gdzie ludzie działają jako „tanie generatory danych treningowych" dla zniewalającej nas technologii. Antykapitalistyczni aktywiści publikują w sieci pełne oburzenia posty, a my poświęcamy im uwagę i lajkujemy, generując zyski dla korporacji. Pozostaje więc zamilknąć, wycofać się w głąb siebie. Ale czy zwykle nie robimy tego tylko po to, by za chwilę wrócić na rynek i móc produkować jeszcze więcej?

Dawid Kujawa
W MYŚL PRAW GEOMETRII. JAK LEWICA PRZESTAŁA SIĘ MARTWIĆ I POKOCHAŁA LOGIKĘ TOWAROWĄ
Filtry 2025

Ciekawe, że pisząc o wspomnianych kwestiach, Kujawa chętnie korzysta z tradycji romantycznej. Tym, co z niej czerpie, jest przede wszystkim opór wobec mierzenia wszystkiego „szkiełkiem i okiem", tabelką w Excelu czy poziomem PKB. „Jedyną akceptowalną wartością staje się [dziś] wartość pieniężna" – pisze, sugerując nieśmiało, że być może o własnej pracy, pasji, życiu wewnętrznym czy rodzinie można by myśleć jakoś inaczej – poza logiką rynku.

Jak? Cóż, trzeba powiedzieć, że Kujawa rzadko udziela jednoznacznych pozytywnych odpowiedzi – z dwóch sokratesów wygrywa w nim ten, który bezlitośnie rozbija poglądy przeciwników, a nie ten pomagający Ateńczykom „rodzić" wiedzę.

Najbardziej dostaje się chyba lewicowemu mainstreamowi. Autor pozostaje wierny tradycjom z początku XX w. – uznaje, że rolą socjalistów jest przede wszystkim przeobrażanie relacji między pracownikami i pracodawcami, a nie ułatwianie emancypacji poszczególnym mniejszościom. Zdaniem Kujawy, kładąc nacisk na sprawy światopoglądowe, lewica zmniejsza swoje szanse na dotarcie do robotników, pchając ich jednocześnie w ramiona konserwatystów.

Podobny efekt przynosi „oddanie walkowerem" spraw związanych z rodziną. Czy koniecznie musimy iść w ślady kontrkultury lat 60. i uznawać, że „najmniejsza komórka społeczna" jest tylko polem nadużyć, które trzeba opuścić, trzaskając przy tym drzwiami? Czy myśląc w ten sposób, dotrzemy do kogoś poza wielkomiejską młodzieżą?

Wszystko to zdążyło już rzecz jasna wzbudzić kontrowersje. Ze sprzeciwem spotkały się przede wszystkim uwagi Kujawy na temat psychoterapii czy „biurokratyzacji" życia seksualnego – w pewnym momencie autor stwierdza, że drobiazgowe wymagania dotyczące zgody na stosunek przypominają mu styl myślenia ludzi w spektrum. Nie brzmi to oczywiście najlepiej, ale poprzedzone jest uwagami, z których wynika, że autor nie podważa sensu terapii ani też nie neguje pozytywnych efektów kampanii przeciw przemocy seksualnej. Po prostu, jak przystało na filozofa, próbuje podważać obiegowe opinie i kopać głębiej. A że przy okazji zostawia po sobie kilka niefortunnych cytatów?

Cóż, możliwe, że należało wyrażać się prościej. Możliwe też, że spotykając się z tak ostrą krytyką, autor płaci po prostu cenę za wyjście z akademii, gdzie można pomyśleć wszystko. I wejście do mainstreamu, w którym można zostać zmieszanym z błotem za cokolwiek, co choć odrobinę nieszablonowe. Tak czy inaczej, warto choć przez chwilę go posłuchać. Nie jako proroka, ale jako człowieka, który ma odwagę myśleć pod prąd. ©

Podwójne życie Jacqueline

AGATA PYZIK

Książki Harpman należy czytać jak powiastki filozoficzne, mające coś z „Metamorfoz" Owidiusza doprawionych myślami Jeana-Paula Sartre'a.

Nieco zapomniana książka niszowej pisarki staje się międzynarodowym hitem, a prawa do jej przekładu kupuje 30 wydawców – to nie dzieje się zbyt często, prawda? Tymczasem taki właśnie los spotkał jedną z powieści Jacqueline Harpman. „Ja, która nie poznałam mężczyzn" to eksperymentalna dystopia umieszczona w pozbawionej mężczyzn przyszłości, opublikowana oryginalnie w 1995 r. Podczas pandemii, dzięki platformie TikTok i rosnącej z dnia na dzień grupie fanek, okrzyknięto ją „Opowieścią podręcznej Generacji Z".

Choć Harpman nie była niedoceniona za życia – opublikowała kilkanaście powieści i otrzymała m.in. Prix Médicis – jej nazwisko znane było wyłącznie wąskiej grupie frankofońskich czytelników. Wznowiona w 2019 r. powieść drugie życie zyskała w trakcie lockdownów, kiedy wszystkim wydawało się, że nadchodzi już koniec świata.

O czym opowiada w niej Harpman? Otóż w powieści poznajemy losy 39 kobiet zamkniętych w bunkrze. Ich piekielną sytuację komentuje młoda dziewczyna, żyjąca w zamknięciu od dziecka. Pewnego dnia rozlega się alarm, strażnicy uciekają, a wrota bunkra otwierają na oścież. Wraz z nimi otwiera się też nieprzyjazny, pustynny świat, co do którego nie można być pewnym, że to wciąż ziemia. Kobiety natrafiają podczas wędrówki na strzępy przedmiotów, na podstawie których próbują zrekonstruować, co się tak naprawdę wydarzyło. Robią też wszystko, by przetrwać.

Książka bardzo realistycznie oddaje doświadczenie izolacji: podniesioną, zintensyfikowaną wrażliwość na każdy element rzeczywistości, a następnie szok wyzwolenia i życia w zrujnowanym, pustynnym świecie. Zawieszenie w bezczasowości, zatarcie ograniczeń w postrzeganiu rzeczywistości. To niezwykłe, że tak wyrafinowana powieść stała się bestsellerem (choć, niestety, wciąż nie w Polsce!), poświadczając, że ekstremalna sytuacja pandemii wraz z jej konsekwencjami znosi łatwe podziały na sztukę „wysoką" i „niską". Twórczość Harpman jest tego rodzaju cudem.

Jacqueline Harpman
JA, KTÓRA NIE POZNAŁAM MĘŻCZYZN
tłum. Katarzyna Marczewska,
ArtRage 2024

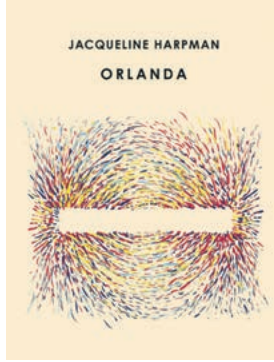

Jacqueline Harpman
ORLANDA
tłum. Katarzyna Marczewska,
ArtRage 2025.

Nic dziwnego, w życiorysie pisarki zmieściło się wiele katastrof XX w.: antysemityzm, Holokaust, wysiedlenie, poczucie obcości. Urodzona w 1929 r. w belgijskim Etterbeek, jako córka handlarzy tkaninami, w 1940 r. musiała się wraz z nimi ewakuować z okupowanej Belgii do Casablanki, wówczas strefy międzynarodowej. Z niebezpieczeństw rodzina wybrnęła, chrzcząc swoje dzieci. Jacqueline została też na jakiś czas umieszczona w publicznej placówce, skąd zapamiętała głównie swoje niedopasowanie (została np. ukarana 40-dniowym przymusem milczenia za brak okazania współczucia dla poległego brata koleżanki) i świadomość inności, kiedy kazano jej słuchać przemówień antysemity Jacques'a Doriot.

Mała Jacqueline czuła się wyobcowana, była też w permanentnym konflikcie z sekującą jej zainteresowania i niezależność matką. Uciekała od niej w świat lektur, więc jako nastolatka obeznana była z całą klasyką francuską.

Jej kariera pisarska zaczęła się dość wcześnie. Harpman odkryła pragnienie tworzenia światów, kiedy po powrocie do Belgii próbowała ukończyć studia medyczne. W nauce przeszkodziła jej gruźlica. Młoda kobieta musiała wówczas spędzić dwa lata w sanatorium.

Ostatecznie została lekarką, a jej powieści nawiązywały do klasyków, zachowując zarazem modną elegancję języka (krytycy porównywali autorkę do Françoise Sagan).

„Orlanda", druga wydana po polsku powieść Harpman, to dzieło późne, z lat 90., kiedy pisarka miała za sobą kolejną zmianę kariery – porzuciła gabinet lekarski na rzecz gabinetu psychoanalityczki. Zaciekawiła ją próba rozmontowania jednego z klasycznych dzieł, „Orlanda" Virginii Woolf. Na podstawie lektury dzienników angielskiej pisarki Harpman uznała, że Virginia czuła się w swoim ciele dobrze mniej więcej do dwunastego roku życia, kiedy żyła jak chłopiec, zatracała się w zabawach i nic nie ograniczało jej umysłu. Dopiero dojrzewanie, a także molestowanie ze strony przybranych braci zburzyło idyllę, o powrocie do której Virginia snuła fantazję w swoim „Orlandzie".

W wersji Harpman, 35-letnia profesor literatury Aline zostaje nagle „porzucona" przez znużoną jej poukładanym życiem część własnego ja, które postanawia zamieszkać w ciele atrakcyjnego 20-letniego mężczyzny, Luciena Lufrene. Od tej chwili zaczyna się pełna ekwilibrystyk, dowcipu, ale też niepozbawiona gorzkich szczegółów odyseja Orlandy – bo tak zamieszkała w Lucienie postać każe się tytułować.

Harpman bawi się tu naszymi oczekiwaniami, nie szczędzi też pełnych erotyzmu opisów pięknego ciała Luciena i jego zachwytu nad nowo „nabytym" penisem. Oczywiście należy pamiętać, że polityka seksualna tej książki jest bardzo staroświecka w porównaniem z tym, co o gender i jej płynności wiemy dziś.

Ale też książki Harpman należy przede wszystkim odczytywać jako powiastki filozoficzne mające coś z „Metamorfoz" Owidiusza doprawionych myślami Jeana-Paula Sartre'a. To egzystencjalna, ale też dość ironiczna eksploracja człowieczeństwa. Jej intelektualny, chłodny, analityczny styl może początkowo zrazić. Warto jednak zwrócić uwagę na pokaz autorskiej niezależności od literackich mód.

Bohaterki Harpman obserwują ludzi i ich ciała w sposób beznamiętny, obiektywny, nieco dehumanizujący. Może takie właśnie spojrzenie ujawnia coś zarówno o kobiecości i męskości, jak i w ogóle dziwności doświadczenia płci oraz specyfiki pożądania? Bo czy pożądanie to doświadczenie odmienne, zależne od uwarunkowań i gender?

Wedle powieści Harpman – nie bardzo. Wedle autorki – i w myśl koncepcji Freuda – wszyscy jesteśmy polimorficznymi perwersami. Jedynie socjalizacja i konsekwentne dyscyplinowanie sprawiają, że „wybieramy" tę, a nie inną osobowość. A, jak pokaże zakończenie „Orlandy", wiedzą nabytą za sprawą podróżowania między tożsamościami nie można sobie ot tak handlować. Podwójności nie można ostatecznie utrzymać. A za mnożenie bytów zostajemy ukarani. ©

REKLAMA

Danuta Danek

Rozpaczające dziecko

O wierszu Mickiewicza „Ach, już i w rodzicielskim domu..."

Studium psychoanalityczno-edytorskie z przemilczanymi wątkami historii naszej kultury w tle.
Książka prof. Danuty Danek jest pełna głębokiego namysłu analitycznego i skłania do współmyślenia. To polemika z klasykami polskich badań literackich. Autorka proponuje nowe spojrzenie na romantyzm i na Mickiewicza. Liryk *Ach już i [ja?] w rodzicielskim domu...* okazuje się w świetle rozważań autorki w istocie nieznanym, bo ani treść, ani forma tego wiersza nie zostały dotychczas rozpoznane.

słowo/obraz terytoria

Batman absolutny

HUBERT SOSNOWSKI

Ten komiks zrywa z naszym wyobrażeniem sprawiedliwości. Mroczny Rycerz stał się czempionem klasy pracującej, awatarem naszej złości i bezsilności.

Batman po raz pierwszy pojawił się na łamach „Detective Comics" w 1939 r. i od tamtego czasu nieustannie się zmieniał. Na początku był dosyć brutalny – korzystał z broni palnej. Później poszedł w camp, by w latach 70. i 80. wrócić do mrocznego anturażu. Zawsze jednak bronił Gotham przed złoczyńcami.

Komiksy o nim również bywały ostrzejsze, nie bały się dosadnego komentarza na temat rzeczywistości. Prawdopodobnie jednak żadne dotychczasowe wydanie przygód Batmana nie przygotowało nas na to, co trafia właśnie do polskich księgarń. To połączenie warsztatowej wirtuozerii, wrażliwości i buntowniczej natury.

Na czele inicjatywy „Absolute Universe" stanął scenarzysta Scott Snyder. Założenie było proste – zgromadzić zdolnych, nieco wywrotowych autorów, i dać im wolność twórczą. Mieli oni opowiedzieć o ikonach wydawnictwa DC: Batmanie, Supermanie czy Wonder Woman na nowo, pokazując, co się stanie, gdy każdemu z herosów odbierze się jeden z kluczowych aspektów mitu. Wonder Woman na przykład nie wychowała się wśród Amazonek, Superman nie dorastał na farmie w Kansas z kochającymi, przybranymi rodzicami, a Batman ruszył na krucjatę w Gotham bez nieskończonych funduszy. Udało się, seria odniosła sukces komercyjny. Komiksy doczekały się memów, remiksów, analiz na YouTubie.

Co je wyróżnia? Komiks o Batmanie zrywa z naszym wyobrażeniem sprawiedliwości. Nowy Mroczny Rycerz stał się czempionem klasy pracującej, awatarem naszej złości i kumulowanej latami bezsilności. Bruce Wayne walczy z przestępczością, ale jednocześnie nie zawaha się okaleczać swoich wrogów. Na aktualność „absolutnego" Batmana składają się też zmiany w mitologii, wizerunku i symbolice. Widać to choćby po stroju i nowych narzędziach bohatera. Są kolczaste, rdzawe, wpisują się w estetykę robotniczą. Batmobil to ogromna wywrotka przerobiona przez Bruce'a na czołg.

DC ABSOLUTE NOIR
Scenarzyści: Scott Snyder, Kelly Thompson, Jason Aaron
Ilustratorzy: Nick Dragotta, Rafa Sandoval
Tłum.: Tomasz Sidorkiewicz, Paulina Walenia, Marek Starosta
Egmont 2026.

Chłopak zachowuje swoje oryginalne obsesje, geniusz detektywa-konstruktora i determinację, ale nie odbywa podróży po tajemnych szkołach walki za odziedziczone po rodzicach pieniądze. Idzie na siłownię, tajski boks i brazylijskie jiu-jitsu. Robi użytek z publicznego wykształcenia oraz zasobów, do których zyskał dostęp podczas pracy.

Alfred Pennyworth nie pełni z kolei roli lokaja i przyszywanego ojca, choć jest narratorem całej historii. Pracuje w tajemniczej organizacji jako asasyn i przybywa do Gotham, gdy Bruce staje się Batmanem. Klasyczni złoczyńcy w „Absolute Batman" zaczynają jako przyjaciele głównego bohatera, potworami staną się później – w wyniku poważnych traum.

W fabule głośno wybrzmiewa los ofiar systemu – ludzi, których środowisko ustawiło na przegranej pozycji. Gang „Animalsów" z pierwszych zeszytów okazuje się tak naprawdę grupą zamaskowanych obywateli Gotham, których sytuacja ekonomiczna pchnęła do szukania finansowych nagród za popełnianie przestępstw.

Prawdziwe zło, któremu Batman rzuca wyzwanie, to przedstawiciele wielkiego kapitału. Joker jest potworem hodowanym na reaganowskich reformach, które dały większą swobodę korporacjom i rozpędziły procesy przyzwalające na prywatyzację USA. Stanowi symbol współczesnych, kontrolujących wiele branż holdingów, które dążą do konsolidacji wpływów i władzy, wpływając na politykę całych kontynentów.

Scott Snyder zawsze zdradzał wywrotowego ducha i skłonności do grozy. W branży zaistniał dzięki „American Vampire" – odysei wampira-bandyty obnażającej mielizny i brutalność amerykańskiego społeczeństwa. O Batmanie pisał dla DC już nie raz, nie stroniąc od dziwności, wątków psychologicznych czy społecznych. „Heavy-metalową" wrażliwość pokazywał, pisząc serię „Dark Nights: Death Metal" czy publikując na Spotify tematyczną playlistę „DC: Metal", na której mogliśmy znaleźć utwory Power Trip czy Black Sabbath.

Scenarzysta otwarcie opowiadał też o zmaganiach z depresją i zaburzeniami lękowymi. U podstaw serii „Absolute" tkwi pytanie, które zadał w jednym z wywiadów: „Jaki świat pozostawię swojemu 17-letniemu synowi?".

To dosyć ironiczne, że krzyk buntu wybrzmiewa z przeróbki znanego, korporacyjnego produktu (DC należy do koncernu Warner Bros.), ale Scott Snyder robi dobry użytek z tuby, do której ma dostęp. Operuje metaforami prostymi i dobitnymi, a w rebelii chodzi przecież o to, żeby sprzeciw wybrzmiewał głośno, wyraźnie i docierał jak najdalej. ©

WOJCIECH

Bonowicz: *Skupieni na sobie*

Od czterech miesięcy ten tekst nie daje mi spokoju. Miesięcznik „Znak" w styczniowym numerze opublikował esej niemiecko-irańskiego pisarza i publicysty Navida Kermaniego, zatytułowany „Zachód, w którym się urodziłem". Właściwie jest to wystąpienie, które Kermani wygłosił podczas przyjęcia dla przedstawicieli mediów zorganizowanego w maju 2025 r. w Hamburgu. Porusza w nim cały szereg problemów, związanych głównie ze zmianą polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych pod rządami Donalda Trumpa. Jego esej wyprzedza i w pewnym sensie zapowiada to, co dziś obserwujemy w Iranie, czy to, co dzieje się w relacjach amerykańsko-niemieckich i amerykańsko-polskich.

Równocześnie autor zwraca uwagę na zmiany, jakie zachodzą w mediach – przede wszystkim w sposobie informowania o wydarzeniach na świecie i komentowania ich. Z konieczności skupia się na mediach niemieckich, ale jego obserwacje mają znaczenie ogólniejsze. Procesy, które zachodzą w Polsce, są dość podobne i zapewne będą mieć podobne skutki.

Fragment, który szczególnie dał mi do myślenia, dotyczy czegoś, co nazwałbym kurczeniem się naszego pola widzenia. Znikają z niego całe połacie świata, wyłaniając się na moment tylko wtedy, kiedy dochodzi do spektakularnych katastrof albo krwawych konfliktów. Za informacjami, które mają wywołać wstrząs, nie podążają analizy, które pozwalałyby zrozumieć, co było przyczyną takich czy innych dramatycznych wydarzeń. W efekcie postrzegamy świat głównie jako miejsce rozlicznych nieszczęść – ale nie rozumiemy, skąd się one biorą. Wiemy bardzo mało o globalnym układzie sił, o powstających i rozpadających się koalicjach czy o związkach, jakie zachodzą między odległymi niekiedy zjawiskami. A w ślad za tą niewiedzą przybywa „ekspertów", którzy na niej żerują.

„Jeśli porówna się [dzisiejszy] dziennik czy tygodnik z jego wydaniem sprzed 20, 30 lat, to widać, że nie tylko udział wiadomości z zagranicy był nieporównywalnie większy, a reportaże o wiele dłuższe; w oczy rzuca się też fakt, że redakcje mogły zakładać u swoich czytelników o wiele większą niż dzisiaj wiedzę na tematy najważniejszych światowych konfliktów i punktów zapalnych", pisze Kermani (tłum. Piotr Napiwodzki). I podaje wymowny przykład: w latach 70. i 80. informacje o klęsce głodu w Etiopii obiegły cały świat i w końcu zmobilizowały opinię publiczną do działania. O podobnej klęsce głodu, której w ostatnich latach doświadcza Madagaskar, media milczą albo informują tak skąpo, że informacje te umykają naszej uwadze. Podobnie jest z innymi tego typu wydarzeniami; dzisiejsze serwisy informacyjne zdają się wręcz unikać przedstawiania katastrof humanitarnych, chociaż państwa wysoko rozwinięte często mają swój udział w ich powstawaniu.

Wiąże się to, zauważa Kermani, z jeszcze jednym zjawiskiem: „Paradoksem globalizacji jest to, że wszędzie na świecie, a zwłaszcza wśród klasy średniej, która jest najmocniej przez globalizację dotknięta, promuje się skupianie na sobie, egoizm, lewicową, prawicową lub religijną politykę tożsamościową". Niemiecko-irański intelektualista podaje przykład trzech dużych tygodników niemieckich, które od pewnego czasu zajmują się przede wszystkim tematami z zakresu psychologii i samodoskonalenia. „Uczynienie samego siebie punktem odniesienia i idący za tym narcyzm stały się cechą charakterystyczną naszych zachodnich społeczeństw, i w tym sensie narcyz z Białego Domu, który pierwotnie zasłynął jako gwiazda telewizyjna, jest odbiciem nas samych".

Tę zmianę dobrze widać również na naszym rynku idei. On także stał się bardziej partykularny, egoistyczny. Zewsząd słychać wezwania, żeby przede wszystkim zająć się sobą. Oczywiście, to, że częściej pisze się o dobrostanie jednostek, o tym, jak pogodzić się z własnym ciałem, własną historią, jak uzdrowić swoje relacje z innymi itd., jest czymś bardzo pożytecznym. Nadrabiamy tu wieloletnie zaniedbania. Z drugiej jednak strony, świat przy takim nastawieniu zaczyna nam uciekać, znikać z oczu. Przestajemy go rozumieć, nie mamy argumentów, żeby przeciwstawić się rosnącym w siłę uprzedzeniom. Przybywa polityków – także w polskim parlamencie – którzy otwarcie demonstrują swój rasizm, poczucie wyższości wobec mieszkańców Afryki czy Azji. Przybywa szowinistów, którzy umiejętnie rozbudzają szowinizm w innych.

Nie da się tego procesu zatrzymać, odwracając wzrok i kierując go na samych siebie. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem.
Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

ROZSUPŁANIE

Krystyna Janda odkrywa przed nami wciąż nowe karty.
Tworząc role, w których sztuka i życie splecione są w trwały węzeł.

JACEK WAKAR

Gra, reżyseruje, w dzień i w nocy prowadzi dwa teatry należące do jej fundacji, ze swymi spektaklami i rolami jeździ po Polsce, od Krakowa po Wejherowo. Ostatnio intensywnie opowiadała o Andrzeju Wajdzie – wiadomo, setna rocznica urodzin mistrza i przyjaciela. Krystyna Janda nic nie musi, ale prawie wszystko może. Odkrywa raz za razem nowe karty swego aktorstwa, wydaje się, że nieustannie biegnie. Kiedy się ją spotka, uśmiecha się, ale jej uśmiech zdaje się przydymiony, za delikatną mgłą. Bo to, co widać, jest tylko częścią jej wizerunku – tą, którą chce pokazać innym. Do tego, co głębiej, nie mamy dostępu.

Bez słów

Dwa wspomnienia. Pierwsze – dalsze i w gruncie rzeczy całkiem prywatne.

Jakoś w pierwszych miesiącach pandemii tworzyłem zbudowaną z wywiadów książkę „Zawód: aktor". Był rok 2020, w planie rozmowy z przedstawicielami umownie pojmowanego pokolenia średniego: czterdziesto-, czterdziestoparolatków. Jednak było dla mnie zupełnie jasne, że w tym gronie musi znaleźć się również Krystyna Janda. Zgodziła się, zaprosiła do Och-Teatru, akurat grała „Białą bluzkę", bo na chwilę „odmrozili kulturę". Siedliśmy – sam nie wiem – w maleńkiej garderobie, trochę biurze, a trochę pokoju spotkań. Znaliśmy się, w końcu pisałem o niej wielokrotnie, nie trzeba było tracić czasu na konwencjonalne wstępy. Mówiła fascynująco, choć bez żaru w oczach, jakby ówczesny czas był namacalnie odczuwalnym ciężarem, metaforycznie odbierał tlen, bo nie pozwalał pracować jak dawniej.

Janda, jak to ona, nigdy nie uderzała w patetyczne tony, za to trafiała w punkt. Nie zdążyłem dokończyć pytania, a ona wypowiedziała słowa, które towarzyszą mi do dziś. „Nie szukam, bo już dawno znalazłam. Przy realizacji »Przesłuchania« wiedziałam o zawodzie dokładnie to, co wiem dziś". Wielki film Ryszarda Bugajskiego kręcono w 1981 r. Minęło lat czterdzieści pięć.

Drugie wspomnienie całkiem bliskie. 9 marca, Teatr Polski w Warszawie, gala rozdania Polskich Orłów. Kluczowy moment wieczoru – Krystyna Janda ma odebrać nagrodę za osiągnięcia życia. O jej wręczenie i laudację zostaje poproszony Jerzy Radziwiłowicz, Mateusz Birkut z „Człowieka z marmuru" Wajdy. Aktor jest już na scenie, ucisza oklaski. Spogląda na ludzi i konstatuje, że teraz powinien powiedzieć coś o Jandzie. Powinien, ale nie powie, bo to nie ma żadnego sensu. Bo to Krystyna Janda i żadne słowa jej nie oddadzą. Zaprasza wielką aktorkę, a swoją przyjaciółkę. Ona wchodzi na scenę, sala podrywa się z miejsc. Wybucha owacja.

W pętli

Ostatnia premiera Jandy odbyła się w Teatrze Polonia 1 maja. Realizatorzy najwyraźniej nie bali się majówki – wiedzieli, że mimo wolnych dni wszyscy przyjdą. I przyszli, jak zwykle. Stała publiczność. Na scenę blisko Placu Konstytucji przychodzi jak do siebie. Poza tym po mieście poszedł hyr, że nowa rola aktorki to nie tylko gwiazdorski popis, że w „Zapętlonej" mierzy się z aktorskimi demonami, no i w ogóle – partia Tallulah Bankhead, hollywoodzkiej gwiazdy, która stoczyła się na dno, wydaje się jakby dla niej pisana.

Janda opowiada, że prowadząc dwa teatry, przede wszystkim czyta. Dziesiątki sztuk, adaptacji, wszystko, co potencjalnie mogłoby trafić na którąś ze scen. Tak znalazła dramat Matthew Lombardo, autora wcześniej w Polsce niewystawianego. W programie do „Zapętlonej" czytam, że w czymś, co napisał, grała Kathleen Turner, że w Nowym Jorku w rolę Tallulah Bankhead wcieliła się Valerie Harper, wyróżniona potem nominacją do prestiżowej nagrody Tony. Nie zmienia to faktu, że przed 1 maja 2026 r. o panu Lombardo nic nie wiedzieliśmy, a i teraz ja przynajmniej na jego teksty nie będę czekał ze szczególną niecierpliwością.

Nie znaczy to, że „Zapętloną" skreślam. Przeciwnie, to kawałek nieźle skrojony, z jedną popisową partią i dwiema pobocznymi, ale nie marginalnymi rolami. Napisany nieźle i dobrze przez Andrzeja Kłosińskiego przetłumaczony, pomyślany jako materiał dla teatru, aktorki i aktorów. Tylko tyle, ale i aż tyle. Nie udaje literatury cięższego kalibru, a jednak kilka życiowych prawd przemyca. Nie zdziwię się, jeśli po sukcesie premiery w Polonii trafi w inne miejsca. Byłoby dobrze, ale koniecznie trzeba pamiętać, że to materiał dla wyjątkowej aktorki, że w wykonaniu aktorów o poziom słabszych może wyjść z niego zwykła miałkość.

To wszystko jednak bez znaczenia, bowiem w Polonii Tallulah Bankhead gra Krystyna Janda.

MACIEJ ZIENKIEWICZ / FORUM

Krystyna Janda w Teatrze Polonia, 2019 r.

Nie z nią te numery

Najpierw czekają na nią w studiu nagraniowym. Danny Miller (Paweł Ciołkosz), montażysta i po trosze asystent reżysera, oraz młody dźwiękowiec Steve (Adam Tomaszewski) mają dopilnować, by Tallulah dograła jedną kwestię do jej ostatniego, ukończonego właśnie filmu. Podczas ujęcia w jej słowa wkradły się zniekształcenia, niewykluczone, iż aktorka była pijana. Jedno zdanie, zaledwie kilkanaście słów: „Ten zakłamany kapelan nie wpuścił mnie w dosłownym tego słowa znaczeniu do kościoła". A jednak od tych sekund zależy bardzo wiele. Dlatego Danny rwie włosy z głowy, bowiem kobiety ciągle nie ma. Wreszcie wchodzi, lekko zataczając się na schodach. Pierwszym słowem, jakie usłyszymy z ust Tallulah/Jandy, będzie siarczyste „k...".

Nie policzyłem, ile razy owo słowo pojawia się w dwugodzinnym przedstawieniu, dochodzą jeszcze inne wyrazy podobnej proweniencji, ale mam pewność, że bohaterowie, dajmy na to, „Psów" Pasikowskiego byliby w tej konkurencji skazani na porażkę. Janda rzuca mięsem ↦

↦ z widoczną przyjemnością, wie, że taki język jest immanentnie wpisany w postać. Publiczność z początku reaguje na to z przesadnym jak dla mnie entuzjazmem, ale aktorka nie daje się ponieść szarży.

Tylko ludzie o słabej pamięci, słuchając granej przez Jandę Bankhead, przeżyją szok. Ona jest zawodowcem, używa takich słów i narzędzi, jakich potrzebuje bohaterka. I oczywiście, nie zamierza się z tym kryć i niektórych wyrazów wstydliwie szeptać w kołnierz. Jej Tonka Babić ze wstrząsającego monodramu Vedrany Rudan „Ucho, gardło, nóż", osierocona przez chorwacko-serbskich rodziców po bałkańskiej wojnie, siedzi na kanapie przed szemrzącym telewizorem i słowami detonuje świat, by dać upust swej rozpaczy. Tego nie dało się zagrać łagodniej, grzeczniej. Nie z Jandą takie numery.

Albo bohaterka „Alei Zasłużonych" Jarosława Mikołajewskiego (wciąż na afiszu Polonii). Za życia próbuje przygotować sobie pochówek, jest szanowaną poetką, która znalazła się na marginesie i walczy o miejsce w tytułowej alei, bo tylko to gwarantuje pochówek na koszt państwa. Polska i świat chcą jednak wypluć ją – teraz i po śmierci. Dlatego wypowiada albo wykrzykuje tyrady skierowane przeciw bezdusznej głupiej władzy i nieczułemu społeczeństwu. Słuchając Jandy w „Alei Zasłużonych", czułem, że jej bohaterka mówi nie tylko w swoim imieniu, ale wyraża opinie inteligentów i artystów, których każda władza ma w nosie, a społeczeństwo lekceważy.

Znaki szczególne

Pierwsza godzina „Zapętlonej" wybrzmiewa zatem jak aktorski popis, wśród ciętych ripost, siarczystych przekleństw i wybuchów śmiechu zachwyconej publiczności. Bankhead cynicznie komentuje wszystko i wszystkich. Janda ma bezbłędne wyczucie puenty, więc wodzi nas za nos, ale na razie nie odsłania sensu tej gry. Na razie Tallulah żąda alkoholu, zapala papierosa, choć to zabronione, no i ni w ząb nie potrafi powtórzyć owego kluczowego zdania. Oglądam to, zadając sobie pytanie, kiedy aktorka przestanie dokładać do tego pieca i jakie szykuje dla nas przełamanie, bo przecież już wysyła sygnały i niemożliwe, by poprowadziła rolę jedynie w takiej tonacji.

Rzeczywiście – drugi akt przynosi zmianę. Nastrój nabiera ciemnej barwy, spod schrypniętego słowotoku hollywoodzkiej upadłej gwiazdy, co sama sobie wmówiła własną wielkość, wyzierają dojmująca samotność i przerażenie światem. Grę z partnerami – przede wszystkim dotrzymującym jej kroku Pawłem Ciołkoszem – Janda zamienia w rozmowę i odsłonięcie samej siebie. Czyni to niejako ponad zręcznym, choć w gruncie rzeczy miałkim tekstem Lombardo, jakby chciała zaakcentować, iż jej Tallulah w pełni świadomie wybiera drogę ku autodestrukcji jako ucieczkę przed światem, który nie ma dla niej krztyny zrozumienia. „Ból będzie zawsze, a cierpienie jest opcjonalne" – mówi na koniec przedstawienia Tallulah/Janda. Przesłanie takie sobie, jak cały utwór amerykańskiego autora, ale wypowiedziane przez Jandę, nieszukającą banalnych pocieszeń, mimo wszystko daje odrobinę światła, choć nie rozprasza mroku.

> Aktorka, która obierając ziemniaki na scenie, zapełniała gigantyczne widownie teatrów operowych, wie jak nikt inny, **że bez publiczności przedstawienie nie istnieje.**

Można to uznać skądinąd za jeden ze znaków charakterystycznych ostatnich ról Jandy. Przed „Zapętloną" wcieliła się w tytułową postać w „Matce" Witkacego w inscenizacji Waldemara Zawodzińskiego. Tak się złożyło, że mniej więcej w tym samym czasie swoją „Matkę" przygotowała nieopodal w Ateneum Anna Augustynowicz, w roli Janiny Węgorzewskiej obsadzając Agatę Kuleszę, i ta realizacja przyćmiła widowisko z Polonii. Niewykluczone, że dlatego, iż znakomita reżyserka użyła bardziej wyrazistych środków formalnych, choćby wizualizacji złączonych ze scenicznymi obrazami, podczas gdy spektakl Zawodzińskiego trzymał się mocniej realistycznych ram.

Niezależnie od oceny całości, rola Jandy była jednak imponująca, bo pozbawiona wszelkich efektownych ozdobników, jakimi kusi ślepnąca i topiąca smutki w alkoholu Węgorzewska. Szefowa Polonii zagrała ją tymczasem pozornie wprost, akcentując heroizm trwania bohaterki, niszczonej przez zaborcze otoczenie i samej zagłębiającej się w obłęd, potęgowany przez narastający, namacalny absurd świata. Janda jest aktorką zbyt świadomą i inteligentną, by w każdym przypadku, niezależnie od wpisanych w dzieło okoliczności i motywacji, bronić swych postaci. Zwykle rysuje ich portrety wieloma barwami, chętnie podkreślając ewentualne sprzeczności. Tym razem jednak otwarcie mówiła, że bardzo lubi Węgorzewską i twardo stoi po jej stronie.

One, czyli nie ja

Prowadząc dwa prywatne teatry, Krystyna Janda nie może sobie pozwolić na przesadne ryzyko. Aktorka, która na swoich monodramach z „Danutą W." czy legendarną „Shirley Valentine", obierającą ziemniaki na ogromnych scenach, zapełniała do ostatniego miejsca gigantyczne widownie teatrów operowych, wie jak nikt inny, że bez publiczności przedstawienie nie istnieje. Przy okazji „Zapętlonej" pisała w swoim internetowym dzienniku, że się tej realizacji obawiała, bo materiał efektowny, ale piekielnie trudny, a główna postać daleka od łatwej jednoznaczności. I właśnie to najmocniej zaakcentowała, przy okazji po raz kolejny udowadniając, że niczego na scenie się nie boi, a mając taki arsenał środków wyrazu, zagra, kogo zechce.

„Zapętlona" dopełnia, choć zapewne jeszcze nie zamyka, galerię kreowanych przez Jandę wielkich kobiet sztuki. Była też „najgorszą śpiewaczką świata", Florence Foster Jenkins w „Boskiej!", chociaż zapewne nic nie ma z nią wspólnego. Śmieszyła do łez, fałszując niemiłosiernie (to dopiero jest karkołomnie trudne technicznie zadanie), a jednocześnie dała ciepły portret kobiety, która w imię pasji gotowa jest znieść wszystko.

W muzycznym widowisku „Marlene" reżyserowanym przez Magdę Umer wcielała się w Marlenę Dietrich. Było to efektowne, pamiętam jak przez mgłę. Ale zdecydowanie istotniejsze stało się podwójne spotkanie z Marią Callas, najpierw w warszawskim Teatrze Powszechnym, w „Marii Callas. Lekcji śpiewu" (1997), a po 18 latach w Och-Teatrze w spektaklu

KATARZYNA KURAL-SADOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Z Pawłem Ciołkoszem w spektaklu „Zapętlona", Teatr Polonia, 2026 r.

„Maria Callas. Master Class". Oba przedstawienia według tej samej sztuki Terence'a McNally'ego przygotował Andrzej Domalik, ale z powodu konstrukcji dramatu, a przede wszystkim siły aktorki, w centrum była wyłącznie ona.

Mocne wrażenie zrobiło na mnie przede wszystkim owo zmienione wobec pierwszej wersji wznowienie w Och-Teatrze. Janda – niemal dwie dekady starsza, po doświadczeniu opuszczenia Powszechnego, uruchomienia fundacji i dwóch teatrów, dotknięta osobistymi przeżyciami – znalazła w Callas medium, by od siebie opowiedzieć o tym, że w życiu niektórych ludzi sztuka jest absolutnie niezbędna. Jej czasem wściekłe, a czasem nasycone smutkiem monologi cięły powietrze. Nie było wątpliwości, że podpisuje się pod słowami divy, można było odbierać je jako jej deklarację wiary w siłę sztuki.

– Rozumiem ją, ale się nie utożsamiam – mówiła mi po latach, kiedy rozmawialiśmy do książki „Zawód: aktor". Choć jednocześnie podkreślała, że już wie, iż całe życie poświęciła staniu na scenie i przed kamerą.

W czyim imieniu

Krystyna Janda deklaruje chyba od zawsze, że aktorstwo to zawód i nigdy szczególnie jej nie kosztowało. Bywają jednak chwile, kiedy mówi tekstem roli, a jednak w swoim i nie tylko swoim imieniu. Absolutnym fenomenem jest utożsamienie publiczności, przede wszystkim kolejnych pokoleń kobiet, z graną od 36 lat Shirley Valentine. Szefowa Polonii opowiada, że dawniej w Powszechnym i również teraz wystarczy wstawić „Shirley..." do repertuaru, by usłyszeć brzęk monet przy kasie.

O bohaterce „Alei Zasłużonych" już wspominałem, czas więc na dwa monodramy, gdzie Janda będąc na scenie, niejako wycofuje się w cień, aby oświetlić autentyczne bohaterki. Danutę W. gra bez ozdobników, z wielką uważnością. Celem nie jest tym razem żaden teatr, ale opowiedzenie o niej – żonie Lecha Wałęsy, która przez lata walczyła, by stać się podmiotem, a nie przedmiotem opowieści. Dzięki wyreżyserowanemu przez Janusza Zaorskiego monodramowi i skupionej w nim obecności aktorki (a potem także musicalowi „1989") tak się stało. W sprawie Danuty Wałęsowej między sceną a widownią narodziła się wspólnota. Niezwykłe były chwile, gdy aktorka przygotowywała na naszych oczach jabłka na szarlotkę, a potem bardzo wyraźnie czuliśmy zapach świeżego ciasta. Owa szarlotka z „Danuty W." stała się znakiem przekraczającym ramy przedstawienia, dowodem, że są chwile, gdy do teatru wkracza prawdziwe życie – wraz z historią niezwykłej kobiety, która przez całe życie zabiegała, aby być widzialną.

Jeśli szukać najważniejszej kreacji aktorki w ostatnich latach, wybór nie będzie trudny. W „Zapiskach z wygnania", inscenizowanych ascetycznie przez jej przyjaciółkę Magdę Umer, opowiada słowami Sabiny Baral, wypędzonej z Polski w marcu 1968 r. Wychodzi na scenę w prostej czarnej sukience, cały czas stoi przed mikrofonem, oddziela ją od nas tylko matowo przezroczysty tiul. Janda, dawniej często kojarzona z rozbuchaną aktorską ekspresją, tym razem niemal odziera się z aktorstwa. Daje świadectwo i wszystko podporządkowuje temu, by ono wybrzmiało mocno, czysto i nieubłaganie. W historii Sabiny Baral skrapla się los Żydów wygnanych z tego kraju – ich ojczyzny. Na scenie Polonii przeszłość spotyka się z teraźniejszością. W finale widzimy film z ogromnej manifestacji narodowców – przerażające agresją obrazy. „Zapiski z wygnania" wciąż są w repertuarze i myślę, że powinny zostać na zawsze. W czasie, gdy świat i Polska brunatnieją w błyskawicznym tempie, stały się lekcją teatru obywatelskiego.

Teatr zaangażowany

To spojrzenie łączy się z życiową i zawodową drogą Krystyny Jandy, zawsze postrzegającej siebie nie tylko jako artystkę, ale i obywatelkę właśnie. Uczył ją tego Wajda, a ona pozostała mu wierna. Opowiada o tym w monologu „My Way", napisanym i zagranym po raz pierwszy w grudniu 2022 r. na jej siedemdziesiąte urodziny. Sceny zabawne spotykają się w nim z czystym wzruszeniem, mocne słowa („Od kiedy rządzi PiS, mam uczucie, jakby cały czas ktoś srał mi na głowę") z anegdotami o przyjaciołach i sobie samej. W jednym z najbardziej pamiętnych fragmentów Janda oddaje hołd pani Honoracie, która przez lata prowadziła jej dom.

A zatem – Krystyna i Honorata. Wielka aktorka i prosta kobieta, która myślała, że ekran telewizora jest oknem, za którym pada deszcz. W tej opowieści obie równoważne, bo prawdziwe życie ważniejsze jest od sztuki.

Choć przecież bywa inaczej. Kiedy zmarł jej mąż, Edward Kłosiński, kilka godzin później grała w Polonii „Boską". Potem nie pamiętała ani drogi do teatru, ani samego przedstawienia. Opowiedziała o tym, a przede wszystkim o umieraniu swego męża, w „Tataraku" Andrzeja Wajdy, w nieruchomym kadrze, jak z hotelowych obrazów Edwarda Hoppera. Wcześniej jednak monolog zapisała, nauczyła się go na pamięć. I nie zmieniła w nim ani słowa, bo stał się częścią roli. Życie znów połączyło się ze sztuką w węzeł nie do rozsupłania. © JACEK WAKAR

Autor jest szefem działu kultury Polskiej Agencji Prasowej.

GONZALO FUENTES / REUTERS / FORUM

Paweł Pawlikowski z nagrodą za reżyserię filmu „Ojczyzna".

Kryzys mistrzów

MICHAŁ WALKIEWICZ

CANNES | Kino jest efektem wielu kompromisów. Do świata za oknem zbliża się o tyle, o ile ów świat nie wymaga mocnych, symbolicznych gestów.

Wygrał Rumun Cristian Mungiu. Dla reżysera filmu „Fjord" to druga Złota Palma w karierze. Pierwszą otrzymał w 2007 r. za dramat o aborcji „4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni". Szkoda, że elitarne grono dwukrotnych triumfatorów festiwalu nie ma strefy spadkowej. Mungiu spokojnie zepchnąłby z ligi Rubena Östlunda albo Emira Kusturicę.

Kibicowałem „Fjordowi", ponieważ jest to kino spełnione zarówno jako „obyczajówka" o zderzeniu kultur, jak i dramat o nierozwiązywalnym splocie polityki i religii. Opowiada historię rodziny ewangelicznych chrześcijan, która wchodzi na kurs kolizyjny z norweską opieką społeczną. To, co zaczyna się jak psychodrama, kończy się w rejonach moralitetu.

Trudno jest nakręcić film, w którym każdy ma swoje racje, widz zaś nie wie, komu kibicować i kogo podejrzewać o złe intencje. Jeszcze trudniej o tym, że chrześcijańska oraz laicka moralność to dwa wilki zaciekle walczące w duszach współczesnych Europejczyków.

Kibicowałem również Pawłowi Pawlikowskiemu, którego nagrodzono za reżyserię „Ojczyzny" (*ex aequo* z Javierem Calvo i Javierem Ambrossi za „La bola negra"). Zaledwie 82-minutowy film o Tomaszu Mannie to (dość hermetyczny) popis narracyjnej ekonomii. Mann, który w obrazie Pawlikowskiego przemierza powojenne Niemcy z córką Eriką, najpewniej by go polubił. Poświęciłby mu takie motto z „Czarodziejskiej góry", wedle którego: „Czas studzi. Czas rozjaśnia. Żaden nastrój nie zdoła trwać nieodmiennie w ciągu długich godzin".

Czy po domknięciu monochromatycznej trylogii o ofiarach zbrodniczych reżimów Pawlikowski zmieni swój elegijny ton? Mam nadzieję. Mówiąc szczerze, tęsknię trochę za facetem, który opowiadał o młodości, witalności i nadziei.

Dobrzy Rosjanie

Polak rzucił ze sceny zdanie o tym, że w czasach politycznych i społecznych turbulencji sztuka powinna być bezkompromisowa. Świadomie bądź nie, unaocznił ogromny problem z nagrodzonym Grand Prix filmem „Minotaur" Andrieja Zwiagincewa. Reżyser jest bowiem symbolicznym ojcem wszystkich „dobrych Rosjan", którzy uciekli za granicę, żeby wycelować armaty w Kreml.

Nie tylko wierzę w misję dysydentów. Uważam, że jest ona niezbywalną moralną obligacją. Natomiast fakt, że Zwiagincew, po dekadzie nieobecności i w piątym roku wojny na Ukrainie, melduje się w Cannes z przeróbką francuskiej ramoty Claude'a Chabrola, uważam za skandaliczny.

Gdyby pokazać na Lazurowym Wybrzeżu jego „Lewiatana" albo „Niemiłość", filmy nakręcone na długo przed pełnoskalową wojną w Ukrainie, zadrżałaby ziemia.

SCOTT A GARFITT / INVISION / EAST NEWS

Andriej Zwiagincew z nagrodą Grand Prix za film „Minotaur". Cannes, 23 maja 2026 r.

„Minotaur" tymczasem sprawia wrażenie uniku – filmu, w którym kontekst wojny wydaje się dosztukowany do mieszczańskiej opowieści o erozji małżeństwa.

Odbierając statuetkę, reżyser poprosił Putina o zaprzestanie działań wojennych. Rymuje się to z równie mdłą narracją o niedoli „zwykłych Rosjan", która stanowi sedno „Minotaura". Myślę, że jego szept na wietrze usłyszą co najwyżej Ukraińcy. I raczej nie będą zadowoleni.

Triumf Zwiagincewa to oczywiście część szerszej dyskusji o politycznych wektorach w Cannes. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego festiwal nie potrafi zabrać w sprawie Rosji jasnego stanowiska. Rosyjscy dziennikarze i filmowcy z początku nie mogli przyjeżdżać na Lazurowe Wybrzeże. Potem mogli. A dziś? Trudno powiedzieć.

Ponieważ nie ma żadnego systemu sprawdzania ich afiliacji, a festiwal chowa głowę w piasek, bagaż politycznej narracji taszczą na plecach filmowcy. W tym roku wylosowaliśmy mądre wypowiedzi aktora Javiera Bardema o toksycznej męskości jako paliwie imperializmu oraz scenarzysty Paula Laverty'ego o big techach, USA i Gazie.

Trzeba jednak pamiętać, że za krzewienie świadomości politycznej powinien odpowiadać festiwal.

Ponure żarty

W Cannes z pewnością zawiedli mistrzowie. Pedro Almodóvar od lat nie wyściubia nosa ze swojej piaskownicy, kręcąc kolejne wariacje tego samego filmu. Hirokazu Koreeda przestrzelił z sentymentalną opowieścią o humanoidalnym robocie, który zastępuje parze żałobników ich zmarłego syna. Wreszcie – rozczarował też Asghar Farhadi, który rozpoczął w Cannes wielką, rozpisaną na dziesięć pełnometrażowych filmów, reinterpretację „Dekalogu" Kieślowskiego.

Mam do jego „Historii równoległych" słabość. Niewiele było w tegorocznym konkursie dzieł oddychających absurdalnym humorem oraz nagłymi zmianami tempa, konwencji, perspektyw. Ale nawet ja rozpoznam upupianie Kieślowskiego, gdy zobaczę je na odpowiednio dużym ekranie. Farhadi zaś zamienia „Dekalog" w coś na kształt uniwersum Marvela.

Dobrze wypadli Japończyk Ryūsuke Hamaguchi oraz Koreańczyk Hong-jin Na. Ten pierwszy w monumentalnym „Soudain" z wybitnymi i wyróżnionymi rolami Virginie Efiry oraz Tao Okamoto. Ten drugi w „Hope", czyli kinie akcji o kosmicznej inwazji, które zawstydza wielkie hollywoodzkie produkcje zarówno precyzyjnym scenariuszem, jak i skalą ekranowej demolki.

Z dwóch filmów o francuskim ruchu oporu z czasów II wojny światowej wygrał ten gorszy – nagrodzony za scenariusz „A Man of His Time" (oryg. tytuł „Notre salut") Emmanuela Marre. Szkoda, gdyż to w „Moulinie" Lászla Nemesa stawka jest wyższa, a horror wojny – bardziej namacalny.

Opowieść o przesłuchaniach lidera partyzantów Jeana Moulina przez szefa Gestapo Klausa Barbiego to zresztą niezła zmyłka. Gęsta fraza oraz słowna szermierka bohaterów sugeruje, że mamy do czynienia z kinem heroicznym, pojedynkiem dwóch równorzędnych rywali. Wkrótce jednak Nemes zaczyna mierzyć heroizm skalą odporności na psychiczne i fizyczne cierpienie.

Brak jakiejkolwiek nagrody dla Rodriga Sorogoyena („The Beloved"; oryg. tytuł „El ser querido") to ponury żart. Hiszpan najpierw obejrzał wnikliwie „Wartość sentymentalną" Joachima Triera, a potem nakręcił ją jeszcze raz – tym razem dobrze. Opowieść o ojcu-reżyserze i córce-aktorce na drodze do pojednania zamienił w pompujący adrenalinę thriller. Powiedział tym samym znacznie więcej i o pryncypiach sztuki, i o naturze ludzi.

Gorzkie kompromisy

Stali bywalcy festiwalu w Cannes lubią sobie pogwizdać. Kiedyś gwizdali na Tarantino, bo wygrał z Kieślowskim. Później na Netfliksa, gdyż wypowiedział wojnę „świątyniom X Muzy". W tym roku na Canal+, który trafił w ręce skrajnej prawicy.

Jeśli kino jest nitką przeciągniętą przez całą historię festiwalu, ów świdrujący dźwięk to zaplecione na niej supełki. Chwile, w których wracamy do rzeczywistości i przez sekundę dostrzegamy w Cannes coś więcej niż gigantyczne symulakrum. Dlaczego więc nie wygwizdano Zwiagincewa?

Myślę, że odpowiedź na to pytanie tkwi w pewnej ułudzie, którą festiwal tworzy od lat. Prezentowaną na Lazurowym Wybrzeżu sztukę zamyka bowiem w bezpiecznym nawiasie „święta kina", które powstaje dzięki najróżniejszym kapitałom i jest efektem wielu kompromisów. Do świata za oknem zbliża się o tyle, o ile ów świat nie wymaga politycznych i symbolicznych gestów.

I tak to się kręci: świat swoje, Cannes swoje. Wygrywa – będę się upierał, że tylko w teorii – kino. ©

Droga do zatracenia

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Męska przyjaźń i walka o przetrwanie w miejskiej dżungli tworzą fascynujący obraz. Nic dziwnego, że Quentin Tarantino tak bardzo zachwyca się filmem Elaine May.

W latach 70., uważanych za najciekawszy okres w amerykańskiej kinematografii, niewiele było kobiet za kamerą. A już na pewno takich, które w ramach Nowego Hollywoodu brałyby się za filmy uchodzące za „męskie" – pełnokrwiste, wartko opowiedziane historie, osadzone w ówczesnym klimacie społeczno-politycznej nieufności.

„Mikey i Nicky" jest takim właśnie przypadkiem i dziwne, że nigdy wcześniej świetny film Elaine May nie trafił do regularnej dystrybucji w Polsce. Wreszcie będzie można tę zaległość nadrobić, jakkolwiek tylko na nielicznych seansach i w wybranych kinach studyjnych.

Bo na duże ekrany coraz częściej powraca klasyka – i ta starsza, jak ostatnio „Windą na szafot" (1957) Louisa Malle'a czy filmy Luisa Buñuela, i ta, która dopiero niedawno doczekała się tego miana, jak „Zawieście czerwone latarnie" (1991) Zhanga Yimou, „Nagi instynkt" (1992) Paula Verhoevena czy „Pianista" (2002) Romana Polańskiego. Tym bardziej cieszy fakt, iż możemy oglądać również mniej znane tytuły, w tym przypadku za sprawą firmy dystrybucyjnej Past Perfect i kinofilskiego podkastu Spoiler Master.

W rolach głównych – dwieście procent ekranowej charyzmy, czyli John Cassavetes i Peter Falk, obaj dziś nieżyjący. A za kamerą kobieta, która potem jako reżyserka wielkiej kariery nie zrobiła, za to pół wieku temu przecierała swoim koleżankom szlaki w Hollywood.

„Mikey i Nicky" jest kinem tej kategorii tematycznej i wagowej, co o trzy lata wcześniejsze „Ulice nędzy", aczkolwiek warto dodać, że zaczął powstawać wcześniej, niż miała miejsce premiera filmu Martina Scorsesego. Cyfrowo odrestaurowana kopia, z zachowaniem oryginalnego „ziarna", zabiera nas w rejony filmowo niby znajome, ale naznaczone autorskim dotknięciem. Oraz do świata, w którym męska przyjaźń i walka o przetrwanie w miejskiej dżungli tworzą fascynującą, doskonale odmierzoną sinusoidę wątpliwości czy podejrzeń. Nic dziwnego, że Quentin Tarantino tak bardzo zachwyca się filmem Elaine May.

W ciągu jednej szalonej nocy spędzonej w Filadelfii, rodzinnym mieście reżyserki, towarzyszymy dwóm kumplom, z których jeden naraził się śmiertelnie lokalnemu „rzeźnikowi" – mafiosowi o jidyszowym nazwisku Resnick. Dlatego Nicky, zagrany z charakterystycznym nerwem przez Cassavetesa, ukrywa się w tanim hotelu i zdesperowany wzywa na pomoc Mikeya. A gra go Falk, serialowy porucznik Colombo, oczywiście w wymiętym trenczu.

Obaj są częścią tego samego półświatka, jednakże Mikey zdecydowanie lepiej się ustawił – ma rodzinę i dom w dobrej dzielnicy, podczas gdy jego przyjaciel z dzieciństwa nieustannie pakuje się w tarapaty. Nawet wtedy, kiedy trzeba szybko ewakuować się z miasta – już wiadomo, że poszło na Nicky'ego „zlecenie" – ten na każdym kroku zdaje się szukać guza.

Tylko czy troskliwy Mikey, biegający nocą za nabiałem, bo jego kumpel cierpi na ustawiczną zgagę, i oddający mu dla niepoznaki własny płaszcz, rzeczywiście osłania go przed gangsterskim wyrokiem? A może próbuje go „wystawić"? Elaine May dość wcześnie odsłania nam karty, chociaż potem jeszcze parokrotnie je przetasuje.

Wydawać by się mogło, że odtwarza tę nocną odyseję bez krzty litości dla głównych bohaterów. Wszędzie, gdzie się pojawiają, zwłaszcza destrukcyjny Nicky, wnoszą ze sobą napięcie i dyskomfort. Tanie bary, „czarne" kluby, nocne sklepiki czy kina stają się scenerią ucieczki i często zostaje po nich spalona ziemia. Najdobitniej widać to w scenie, kiedy bohaterowie odwiedzają dawną kochankę uciekiniera, który co chwila myli tropy ścigającemu go egzekutorowi (Ned Beatty), acz ewidentnie zwleka z opuszczeniem swojego miasta.

Sposób, w jaki Nicky traktuje zakochaną w nim Nellie (Carol Grace), poraża wyrafinowanym okrucieństwem, przy okazji także wobec Mikeya. A w kolejnym napadzie przemocy Nicky zniszczy rzecz, uważaną przez kumpla za najcenniejszą. Ale może obaj są w gruncie rzeczy nawzajem siebie warci? Już podobieństwo imion sugeruje, że łączy ich zbyt wiele i trudno po którymkolwiek oczekiwać jednoznacznie czystych intencji.

Ten jakże „brudny" i niespokojny film, łączący w sobie motywy kina gangsterskiego, kumpelskiego i czarnego krymi-

MATERIAŁY PRASOWE

MIKEY I NICKY
(Mikey & Nicky) – reż. Elaine May, Prod. USA 1976. Dystryb. Past Perfect. W kinach od 29 maja.

Elaine May to żywa legenda amerykańskiego kina. Zagrała w „Absolwencie" czy „Drobnych cwaniaczkach", ma też na koncie nominowane do Oscara scenariusze „Niebiosa mogą zaczekać" i „Barwy kampanii", a w 2022 r. otrzymała statuetkę za całokształt twórczości. Wyreżyserowała komedie romantyczne „Bogata, wolna, samotna", „Kid złamane serce" oraz „Ishtar".

Powyżej: John Cassavetes i Peter Falk w filmie „Mikey i Nicky" (1976).

nału, nie jest jednak do końca cyniczny w swej wymowie. Dowodem niech będzie brawurowa scena na cmentarzu, dokąd zaciąga kolegę Nicky, zanim pożegna się na dobre z Filadelfią. Szukanie po ciemku grobu jego matki i próby przypomnienia sobie przez Mikeya kadyszu wnoszą do tej historii jakiś tragikomiczny, szekspirowsko-łotrzykowski rys. Albo po prostu przykrytą błazenadą egzystencjalną rozpacz wobec tego, co wydaje się nieuniknione i coraz bliższe.

Lecz chociaż „Mikey i Nicky", wzorem wielu filmów amerykańskich z tego okresu, zanurzony jest w realistycznym, niemal dokumentalnym sztafażu, daje o sobie znać teatralny rodowód reżyserki i jej ironiczno-komediowy dryg, dobrze znany z czasów jej współpracy ze słynnym Mikiem Nicholsem. Oraz dar improwizacji, współdzielony też na planie przez Cassavetesa i Falka.

Dostajemy mocne kino o zaufaniu i lojalności, o ukrytej rywalizacji, odpowiedzialności i drodze do zatracenia, intensywnie falującej od moralnych dwuznaczności i dylematów. Filmowo nie zestarzało się, choć pewnie dziś uważniej przyglądamy się niektórym wątkom, na przykład kobiecym.

Nie da się jednak ukryć, że Elaine May pod tym względem wyprzedzała swój czas, a z pewnością swoich kolegów w bejsbolówkach. Jej film uznaje się dziś za wręcz modelowe studium toksycznej, autodestrukcyjnej męskości. Podobnie jak Scorsese, reżyserka nie próbuje romantyzować gangsterki, lecz w przeciwieństwie do niego unika także efektownie ukazanej przemocy. Bez nadmiernej stylizacji kreuje świat drapieżny i odpychający, klaustrofobiczny i nieprzejrzysty, dobrze korespondujący z nastrojami rozczarowania i osaczenia, właściwymi epoce Nixona.

O tę artystyczną wolność musiała May ostro zawalczyć, przeciwstawiając się wielkiemu studiu Paramount Pictures, które chciało jej odebrać prawo do własnej wersji montażu. Po wielu perypetiach dopięła swego, dosłownie wykradając kopię filmu, ale żeby nakręcić kolejny, była zmuszona czekać całą dekadę. Mimo że „Ishtar" okazał się spektakularną klapą, podobno dziś, w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat, Elaine May szykuje się do filmowego powrotu. ©

Lektor:
Przeciw czarnej legendzie

▪ *Hans-Georg Schede*
BRACIA GRIMM
przełożyła i opatrzyła posłowiem oraz przypisami Eliza Pieciul-Karmińska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2026.

Na liście bohaterów tej serii, ukazującej się już od pół wieku, najwięcej znajdziemy władców i polityków. Ten tom pokazuje, że historię polityczną, a zwłaszcza historię kultury znakomicie można opowiedzieć poprzez życiorysy wielkich humanistów. I że niewiele czasem wiemy nawet o postaciach, których nazwisko słyszał każdy. Grimmowie – no oczywiście baśnie, najlepiej z przymiotnikiem „okrutne". Plus zasłyszany kiedyś pogląd o złym wpływie tego okrucieństwa na dusze dzieci, zwłaszcza niemieckich.

Pierwsza u nas biografia sławnych braci została przetłumaczona i opatrzona posłowiem przez czołową polską grimmolożkę. Eliza Pieciul-Karmińska wydała wcześniej przekład „Baśni dla dzieci i dla domu" w wersji z 1857 r., a niedawno – wybór 50 nieznanych u nas tekstów z wydania pierwszego. Dzieje powstawania i edycji tego najbardziej znanego w świecie dzieła w języku niemieckim to oczywiście wątek istotny, istotniejsze jest jednak przybliżenie olbrzymiego dorobku naukowego Jacoba (1785-1863) i Wilhelma (1786-1859) Grimmów. Dla Niemców bracia Grimm to nie tylko wydawcy baśni, ale też współtwórcy kulturowej tożsamości.

No i tło historyczne. Niemcy podzielone na państewka, wojny napoleońskie, kongres wiedeński, rok 1848 i parlament frankfurcki... Krąg przyjaciół, z prawnikiem Friedrichem von Savigny i poetami Clemensem Brentano i Achimem von Arnim, audiencje u „tajnego radcy" Goethego. Do tego kłopoty materialne; gromadzenie ogromnej biblioteki kosztuje, a rodzinę trzeba wspierać.

Właśnie – rodzina. To właściwie powieść obyczajowa o niezwykłych relacjach wewnątrz niezwykłego rodzeństwa. Podstawą jest wieloletnia wspólna praca Jacoba i Wilhelma, różniących się charakterami i poglądami na wiele spraw, ale złączonych silną więzią uczuciową. Jacob nigdy się nie ożeni, Wilhelm owszem, ale dosyć późno, a jego żona stanie się częścią rodzinnej sieci. Z rodzeństwa wspomnijmy jeszcze obdarzonego talentem artystycznym Ludwiga Georga Grimma, któremu zawdzięczamy galerię rodzinnych portretów.

I na koniec – co z tym okrucieństwem? Tłumaczka rozprawia się w posłowiu z czarną legendą braci Grimm, przypominając przede wszystkim, że oni swoich baśni nie pisali, tylko je zbierali. A po lekturze ich biografii pozostajemy z przekonaniem, że poznaliśmy gigantów pracowitości, z pasją wypełniających przyjęte na siebie obowiązki. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Bierz swój czas

Jak smakuje czas? Tegośmy jeszcze tutaj nie wałkowali. Może dlatego, że choć naciąganie znaczeń podobne bywa do potraw będących zawsze czymś więcej niż sumą całości (a zwłaszcza kiedy kucharz wyczarował coś z niczego), to smak czasu stanowi zbyt wydziwioną metaforę nawet jak na standardy tutejszej jadłodajni filozoficznej.

Zrobimy dziś wyjątek, okazja jest szczególna, smutna, umarł patriarcha świeckiej religii, wobec której lubię czuć się jako heretyk, kwaśno komentując jej przesłodzone wygłupy, jednak nigdy nie zapominam o tym ziarnku mądrej soli, którym zaprawia każde doświadczenie jedzenia w kulturze europejskiej. Toteż nie będzie nic obłudnego w paru gorzkich łzach, jakie dziś uronię ku pamięci wielkiego Carla Petriniego. Kiedym przeglądał jego wypowiedzi programowe i postulaty ruchu Slow Food, którego był najbardziej rozpoznawalną postacią, zwróciła szczególnie moją uwagę kwestia „odzyskania czasu jako niezbywalnego czynnika przyjemności". Aspekt czasowy jest przecież zawarty, choć często go nie zauważamy, w tej powolności sugerowanej przez przymiotnik *slow*. „Take your time" – mówią Anglicy, gdy chcą powiedzieć: „nie spiesz się", ale dosłownie to brzmi: weź swój czas. Miej go w ręku. Piękne zdanie i na pewno dawni organizatorzy buntu przeciwko otwarciu McDonalda w barokowym epicentrum Rzymu w połowie lat 80. myśleli szerzej o czasie niż tylko, ile minut powinno się przeżuwać posiłek.

Carlo Petrini miał *emploi* i status proroka. Dość powiedzieć, że gdy ze 20 lat temu spotkał się z księciem Karolem, też znanym z miłości do archaicznego rolnictwa, prasa brytyjska pisała, że nie wiadomo, kto komu udzielał audiencji. Wszystko, co robił, było dziełem zbiorowym – zrazu drobnej grupki dzielnych brodaczy (tu należy koniecznie wspomnieć postać Stefana Bonilliego, który nie miał tyle medialnego szczęścia), potem już wielkich międzynarodowych zespołów – ale to jednak jego charyzma i zdolność przekładania pomysłów i celów na język różnych „interesariuszy", talent do budowy instytucji i zręczność w uwodzeniu wielkich tego świata zrobiła ze slow foodu coś tak powszechnego.

„Kto sieje utopię, zbiera rzeczywistość" – powiadał. Pachnie bardzo duchem roku '68, ale w jego przypadku to wszystko prawda. Rzeczywistością jest to, że każdy, kto odrobinę interesuje się jedzeniem, uważa dziś, że nie jest to temat neutralny politycznie. Że globalizacja i utowarowienie rolnictwa, oprócz niewątpliwych dobrodziejstw (tanie awokado w każdej Żabce!), są wehikułem zagłady całych połaci kultury materialnej, niszczą nie tylko bioróżnorodność, ale i człeko-

MAURIZIO DEGL'INNOCENTI / PAP / EPA

różnorodność. Zabijają więzi, i te małe, rodzinne, i te większe, plemienne. Że aseptyczna profesjonalność i efektywność supermarketu oraz sieciówki ze śmieciowym żarciem kastrują nas z resztek instynktu socjalizacji, jakich jeszcze nie wytępiło doświadczenie bycia konsumentem we wszystkim, łącznie z miłością.

To wszystko dla nas banały, ale nie były takie w 1989 r. (kiedy Slow Food zaczął wychodzić poza włoskie opłotki – znamienny rok!), w momencie triumfu zachodniego modelu wzrostu rozumianego czysto pieniężnie. Podobnie jak pomysł, by chronić wszelkie lokalne odrębności żywnościowe – zarówno ginące, rynkowo przegrane odmiany roślin lub zwierząt, jak i praktyki produkcyjne. Takoż rozmaite urzędowe znaczki „chronionego pochodzenia" czy kilometry zero i inne podobne hasła potem przemielone na papkę w coraz mniej znaczących pomnikach unijnego chciejstwa – to jest myślenie, które ma na sobie stempel Petriniego, nawet jeśli dzisiejsze realizacje rożnych slowfoodowych haseł mało mają z ducha tamtych działań na piemonckiej prowincji przed 40 laty, w rodzinnym miasteczku proroka o wdzięcznej nazwie Bra. Piemontczycy, jak wiadomo, to naród praktyczny, rzeczowy, oszczędny, nie marnują liter.

W tym sensie z Petrinim jest jak z Freudem lub Marksem – nawet jeśli odrzucamy w czambuł ich koncepcje i kreślimy w ich książkach brzydkie słowa na marginesach, to nie możemy już nie operować ich kategoriami. Za to drugie porównanie, sądzę, Petrini by się nie obraził. Jego rodowód to skrajnie lewicowy aktywizm studencki 1968 r., a potem niszowa maoistowska partyjka, która np. prowadziła w miasteczku spół-

Carlo Petrini w towarzystwie księcia Karola i jego małżonki, Florencja, 2007 r.

dzielnię spożywców. A stamtąd już prosta droga do przyglądania się z bliska, jak turbokapitalizm rozwala tradycyjną gospodarkę rolną. Starzy, oficjalni włoscy komuniści zachowywali jeszcze dawną stalinowską ascezę. Młodsze pokolenie, które orbitowało wokół inicjatyw takich jak te animowane przez Petriniego, chciało przywrócić klasie pracującej prawo do przyjemności z jedzenia i picia – tylko idąc inną ścieżką niż konsumpcjonizm. I zakładało np. dodatek do komunistycznej gazety pod nazwą „Czerwona Krewetka" (na cześć gospody z Pinokia). Którą to krewetkę doskonale kojarzycie, to jest Gambero Rosso, dziś topowy przewodnik winiarski i medialny filar propagandy włoskiej gastronomii.

No cóż, w wielu lokalnych wydaniach ślimak symbolizujący *slow food* stał się znaczkiem czczego hedonizmu dla znudzonych bogaczy, lecących na drugi koniec kontynentu, żeby skosztować wyjątkową rybkę złowioną w najdalszej zatoce czy owsiankę z szyszkami zebranymi w najgłębszej dolinie. Za pieniądze ciężko zarobione na biznesach, którym Petrini z kolegami próbował postawić tamę. Ale i to może jest jakiś rodzaj jego późnego triumfu. Może tylko dzięki temu owi lokalni rybacy, ogrodnicy, zbieracze i kozodoje mogą się ze swego trudu utrzymać. Siał swoją utopię na tyle szeroko, że powyrastała na bardzo różne, odległe od siebie rzeczywistości. Ale w każdej ktoś właśnie teraz pochyla się nad miską. I bierze swój czas. ©℗

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Sałatka Giovanni

pół kg fasoli Jaś jak największej 1 czerwona cebula dwa ząbki czosnku 4 fileciki anchois ▪ biały ocet winny ▪ rozmaryn ▪ tymianek

Slowfoodowcy nazywali swoje lokalne komórki zaangażowane w utrzymanie dawnych odmian i praktyk „redutami" (włoskie słowo presidio w Polsce widziałem tłumaczone jako „prezydium", dajcież spokój). Najwięcej oczywiście jest ich we Włoszech (pierwsza broniła pewnego szczególnego kapłona), w Polsce mamy tylko dwie – oscypek i miody pitne – bo szybko na ich miejsce weszły unijne znaczki „ChnP" i „ChOG". Reduta brzmi ładniej, ale nie czepiajmy się słówek. Z oznaczonych polskich specjałów wymienię dwa naprawdę wybitne, godne poszukiwań: suskę sechlońską znad Dunajca, a przede wszystkim moją najkochańszą fasolę wrzawską. Z Wrzawy w widłach Wisły i Sanu. Jej miękkość, tekstura, smak, skórka cienka jak filigran... to naprawdę jest wyższa postać znanego szeroko Jasia. Po to nawet warto specjalnie pojechać (ale da się zamówić przez internet).
Na cześć Petriniego zrobię ulubioną prostą, jak legendarne obiady w oberży w Bra, gdzie się wszystko zaczęło, ale zaskakująco „zjadliwą" sałatkę z dużej fasoli. Jedyne, co w niej trudnego, to czas – zdecydowanie lepiej wychodzi z fasoli gotowanej od zera, nie tej z puszki. Trzeba fasolę moczyć przez całą noc, gotować w dużej ilości wody z ząbkiem czosnku i gałązką rozmarynu, posolić dopiero pod koniec.
Siekamy na drobne piórka czerwoną cebulę, moczymy ją w mieszaninie pół na pół wody z octem przez godzinę. Rozgniatamy ząbek czosnku, dajemy na patelnię z pięcioma łyżkami oliwy, lekko podgrzewamy, kiedy zapachnie, dodajemy fileciki anchois, podgrzewamy tylko tyle, żeby rybki się rozpuściły. Wyłączamy ogień, doprawiamy tymiankiem. Ugotowaną fasolę łączymy na ciepło z namoczoną cebulą, zalewamy oliwą z patelni. Odstawiamy do wystygnięcia i przegryzienia, choć dobre jest też od razu. Ale ja lubię poczekać. I zjeść na zimno, skropiwszy jeszcze białym octem winnym. ©℗

MASQUE / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

SPORT DLA DZIEWCZYNEK

SEBASTIAN SNACZKE,
PREZES FUNDACJI USPORTOWIONA:

Problem nie w tym, że dziewczynki „mniej chcą sportu” albo „się do niego nie nadają”. Przez lata projektowaliśmy system pod potrzeby chłopców.

LENA GONTAREK: Często Pan słyszy: „sport to nie dla niej”, „lepiej niech zajmie się nauką”?

SEBASTIAN SNACZKE: Wiele osób wciąż uważa, że sport przeszkadza dziewczynkom w rozwoju. Zwłaszcza w okolicach końca podstawówki, początku szkoły średniej – nagminnie słyszymy od rodziców, że to moment, kiedy trzeba postawić na naukę, poświęcić temu wszystkie moce.

Gdy w ramach Girls Academy zaczynamy zajęcia z trzylatkami, takie słowa słyszymy rzadko. Tu siłą rzeczy to rodzic przyprowadza dziecko, więc musi dawać zgodę na to, żeby jego córka chodziła na zajęcia sportowe. Ale jeszcze kilka lat temu, kiedy tworzyliśmy wyłącznie klub dla starszych dzieci, słowa o tym, że sport tylko wadzi, padały częściej. A przecież to inwestycja w przyszłość.

Np. w zdrowie – i to nie tylko fizyczne, ale też psychiczne. Badania pokazują, że dorośli, którzy w dzieciństwie i młodości uprawiali sport, mają mniej objawów depresji i lęków.

Uprawianie sportu kształtuje też osobowość: buduje pewność siebie, dyscyplinę, uczy radzenia sobie z presją. Czy np. dwie godziny w tygodniu, które pozwalają zadbać o równowagę psychiczną, relacje z rówieśnikami, to dużo? A może dzięki temu w dorosłości będę mieć mniej wypalony umysł?

Tymczasem często słyszymy jeszcze jedno: „Z tej mojej Kamilki to sportowca nie będzie”. Powiedziałaby pani o siedmio-, ośmioletnim dziecku, że na pewno nie zostanie lekarzem? Na pewno nie. A jeśli chodzi o sport, takie słowa padają. Zresztą, to mówią również rodzice chłopców. Pokazuję im wtedy zdjęcia wielkich sportowców w dzieciństwie, np. Nikoli Jokicia [serbski koszykarz – red.] czy Roberta Lewandowskiego, którzy na tle rówieśników zdecydowanie nie wyglądali na tych, którzy zrobią wielkie sportowe kariery. Takie przykłady są również wśród kobiet. Otylia Jędrzejczak trafiła na basen, bo doradził jej to lekarz, który zdiagnozował u niej astmę. Czy nadawała się do sportu? Ktoś mógłby powiedzieć, że nie. Simone Biles, najwybitniejsza gimnastyczka w historii, ma 142 cm, zawsze była mniejsza od wszystkich. Niewielu twierdziło, że ma jakąś szansę w sporcie.

Przede wszystkim jednak powtarzam rodzicom: nie zapisujecie dziecka na sport po to, żeby zostało mistrzem świata. Zapisujecie je, żeby nauczyło się wierzyć w siebie, współpracować z innymi i radzić sobie z trudnościami. By zbudowało relacje z rówieśnikami na lata. By miało kiedyś masę pięknych wspomnień. A jeśli przy okazji pojawi się talent – tym lepiej. Ale najważniejsze rzeczy w sporcie dzieją się dużo wcześniej, niż przychodzą medale.

Co robi dziewczynkom brak wiary dorosłych w ich możliwości sportowe?

Zabiera radość z ruchu. Dziewczynki nie porzucają aktywności fizycznej przez brak talentu, ale dlatego, że nie czują się

AARON CHOWN / PA / GETTY IMAGES

YFA's Let Girls Play Big Football Day – akcja zachęcająca kluby w całej Anglii do wspierania piłki nożnej dziewczynek, 2023 r.

u siebie. Albo dlatego, że nie chcą zawieść oczekiwań, które ma wobec nich środowisko.

Swoje robi też presja oceny przez rówieśników, zwłaszcza gdy dziewczynki dojrzewają, ich ciało się zmienia, pojawia się menstruacja. Szybciej niż u chłopców pojawia się u nich problem wstydu i dotyczy większej liczby czynników. Mniej więcej w klasach 4-6 dużo większe znaczenie zaczynają mieć kwestie związane z higieną, dbaniem o wygląd.

Pamiętam z lekcji basenu w podstawówce, jakim stresem było dla nas, dziewczynek, powiedzenie nauczycielowi, że mamy okres. Mówiłyśmy: „jestem niedysponowana", żeby przy chłopcach nie mówić słowa „okres" ani „miesiączka".

Duże znaczenie ma tu wsparcie i podejście nauczyciela czy trenera, wyrozumiała postawa i przede wszystkim wiedza, co się dzieje z organizmem aktywnej sportowo dziewczyny w kolejnych fazach cyklu. Bez tego trudno budować mądre i wspierające środowisko treningowe. Istotne jest też to, jak reagują chłopcy z klasy, klubu czy drużyny. I tu potrzebna jest edukacja zdrowotna, żeby i oni wiedzieli, rozumieli i szanowali to, co dzieje się z koleżankami.

W koedukacyjnych zajęciach dochodzi jeszcze jeden element – porównywanie się z chłopcami, którzy w pewnym wieku zaczynają być szybsi czy silniejsi. Dla części dziewczynek to bywa zniechęcające, zwłaszcza że sport od początku koncentruje się głównie na tych aspektach: kto lepszy i pierwszy, kto wygrał.

Badania nad zachowaniami zdrowotnymi młodzieży szkolnej pokazują, że im dzieci starsze, tym mniej sportu uprawiają, ale płeć ma tu znaczenie – odsetek dziewcząt uprawiających sport jest niższy niż odsetek chłopców.

Spotkałem nauczycieli WF-u, którzy mówią, że w ich klasach licealnych większość dziewcząt nie ćwiczy. Sam znam szkoły, w których zwolnienia z wychowania fizycznego stały się niemal normą.

Problem nie polega na tym, że dziewczynki „mniej chcą sportu" albo „się do niego nie nadają", ale na tym, że przez lata projektowaliśmy system sportowy – sposób treningu, komunikacji i rywalizacji – przede wszystkim pod potrzeby chłopców. Tymczasem dziewczynki potrzebują często czegoś innego.

↦

Czego?

Jeśli spojrzymy na najmłodsze dzieci, to często widać różnice w tym, co je w sporcie pociąga. Wielu chłopców spontanicznie chce rywalizować: kto strzeli więcej goli, kto jest szybszy, kto silniejszy. Dziewczynki częściej szukają w ruchu zabawy, relacji, współpracy, poczucia bezpieczeństwa. Nie potrzebują od razu odpowiedzi na pytanie, kto jest najlepszy. Częściej potrzebują odpowiedzi na pytanie: „czy ja tu jestem bezpieczna i mile widziana?".

Ważniejsze niż sama rywalizacja jest to, czy mają obok siebie grupę, w której czują się „u siebie", czy trenerzy mówią do nich tak, że one rosną, a nie się kurczą, że ktoś je zauważa, docenia, ale też daje prawo do popełniania błędów. Oczywiście nie jest to reguła – wiele dziewczyn uwielbia rywalizację, a wielu chłopców potrzebuje relacji i bezpieczeństwa. Ale statystycznie te akcenty rozkładają się inaczej i sport powinien to uwzględniać.

Co więcej: sprawdzanie postępów jest częścią sportu, tego nie da się uniknąć. Problem pojawia się wtedy, kiedy wynik staje się jedyną osią całego doświadczenia.

Jak w takim razie stworzyć środowisko sportowe przyjazne dziewczynkom?

Kapitalna jest w tym rola trenerów i nauczycieli. W szatni żeńskiej nie można funkcjonować na tych samych zasadach, co w męskiej. Jeśli ktoś myśli inaczej, trudno mu wróżyć sukces. Najważniejsza jest uważna, wspierająca komunikacja zamiast deprymujących haseł i presji.

Dobrze też tworzyć przestrzeń, w której dziewczynki mogą realizować swoje potrzeby – np. wspierać budowanie relacji między sobą. Mam w głowie przykład Andrzeja Niemczyka, świetnego trenera reprezentacji kobiet w siatkówce, z którym zawodniczki dwukrotnie zdobyły złoto na Mistrzostwach Europy [w 2003 i 2005 r. – red.]. On bardzo dbał o taką „kobiecą" energię w zespole. Namawiał zawodniczki, by się malowały, żeby czuły się atrakcyjne – i żeby przeciwniczki były zazdrosne o ich wygląd. Zachęcał, żeby na bankiety ubierały się w eleganckie sukienki, nie dresy, podobno zabierał dziewczyny do dyskotek, żeby mogły się wytańczyć i zrelaksować, wprowadził wizyty rodzinne podczas zgrupowań, żeby mogły zaspokoić tęsknotę. Chodziło mu nie o powierzchowne rzeczy, ale o to, by zawodniczki czuły się dobrze same ze sobą i nie musiały rezygnować ze swojej kobiecości, by być świetnymi sportowcami. I to przynosiło efekty.

Gdzie w tym wszystkim jest rodzic?

Rodzic przede wszystkim musi dostrzec w całym procesie własne dziecko, a nie skupiać się na jego wynikach. Ma dawać komfort i poczucie bezpieczeństwa, być „przystanią". Dziecko nie potrzebuje drugiego trenera – w domu. To dotyczy i dziewczynek, i chłopców – zresztą nie tylko w kontekście sportu.

Rolą rodzica jest też kształtowanie od najmłodszych lat pozytywnego stosunku dziecka do aktywności fizycznej. Z różnych badań wiemy, że sprawa ta wygląda inaczej w przypadku dziewczynek i chłopców.

Naukowcy z Uniwersytetu Emory'ego i Uniwersytetu Arizony (USA) w badaniu opublikowanym na łamach „Behavioral Neuroscience" wykazali m.in., że ojcowie inaczej traktują córki, a inaczej chłopców. Dziewczynkom poświęcają więcej uwagi i używają emocjonalnego języka, z chłopcami częściej bawią się w gry i zabawy zręcznościowe, fizyczne i używają języka skoncentrowanego na sile i osiągnięciach.

ARCHIWUM PRYWATNE

SEBASTIAN SNACZKE jest prezesem Fundacji UsportowiONA, założycielem Klubu Sportowego Bystra. Inicjator publikacji „Jak zachęcić dziewczynki do sportu?".

Chłopców socjalizujemy do bycia silnymi, pewnymi siebie, wybaczamy im w pewnym sensie więcej – ich ruchliwość, żywotność, brak skupienia, przeszkadzanie na lekcji, bo nie mogą wysiedzieć w jednym miejscu. To dla chłopców „stan naturalny". Dziewczynka szybciej w takiej sytuacji usłyszy, że jej „nie wypada". Bo ją staramy się od małego ugrzecznić, przysposobić do roli spokojnej, zrównoważonej, mądrej, delikatnej. To potem przekłada się na odwagę podejmowania wyzwań, również tych sportowych, ale też gotowość rodziców do postawienia wszystkiego na jedną kartę i wspierania wszelkimi siłami córki, która ma potencjał w jakiejś dyscyplinie sportowej.

W efekcie sportowczyń odnoszących sukcesy, o których słyszymy, jest znacznie mniej – nie dlatego, że kobiety są mniej zdolne, ale dlatego, że wiele z nich nie miało przestrzeni, żeby się rozwijać. Brakuje w przestrzeni publicznej wzorców – kobiet, które osiągnęły wymierny sukces w sporcie i mogłyby inspirować kolejne pokolenia.

Najbardziej znaną polską sportowczynią jest aktualnie Iga Świątek. W raporcie „Sport kobiet oczami kibiców" czytamy, że zna ją aż 98 proc. Polaków, ale spontanicznie wymienia ją zaledwie 35 proc. Resztę sportowczyń wymieniało jeszcze mniej osób.

Osoba Igi Świątek niesie za sobą ogromny potencjał, jeśli chodzi o korzyści społeczne – według mnie niewykorzystany. Jest ona przykładem sportsmenki, która łączy wybitne wyniki z dojrzałością, inteligencją i autentycznością. Dla bardzo wielu dziewczynek mogłaby być naturalnym punktem odniesienia – kimś, kto pokazuje, że sport może być częścią ambitnego, świadomego życia, a nie tylko drogą do wyniku. W wielu krajach sukcesy wielkich zawodniczek stają się impulsem do znacznie szerszych działań: programów społecznych, kampanii zachęcających dziewczynki do aktywności, projektów w szkołach czy programów mentoringowych pokazujących różne ścieżki sportowej kariery.

Dobrym przykładem są Stany Zjednoczone, gdzie mówi się nawet o tzw. *Serena Williams effect*. Sukcesy Sereny i Venus Williams sprawiły, że tenis przestał być postrzegany jako

sport elitarny, a tysiące dziewczynek z różnych środowisk zaczęło wierzyć, że to także ich przestrzeń. Podobny mechanizm można było obserwować w piłce nożnej kobiet w Anglii po zwycięstwie reprezentacji w Euro 2022. Sukces drużyny, nazywanej „Lionesses" (Lwice), przełożył się na wyraźny wzrost liczby dziewczynek zapisujących się do klubów, a rząd uruchomił program wprowadzający piłkę nożną dla dziewcząt do wszystkich szkół. Pokazuje to, że sukces sportowy może stać się impulsem do realnych zmian społecznych, jeśli potrafimy go mądrze wykorzystać.

Ale inspiracja w sporcie dziewcząt nie działa wyłącznie na poziomie gwiazd. Z moich obserwacji – i z rozmów z wieloma trenerami – wynika, że dla dziewczynek ogromne znaczenie mają także dużo bliższe autorytety: starsza koleżanka z klubu, zawodniczka z lokalnej drużyny, dziewczyna z liceum, która już coś osiągnęła w sporcie. Często to właśnie takie osoby sprawiają, że dziewczynki zaczynają myśleć: „skoro ona może, to chyba ja też". Mam wrażenie, że tego potencjału również nie wykorzystujemy w pełni – rzadko budujemy kulturę sportu opartą na lokalnych wzorcach i inspiracjach.

W 2023 r. Polska zajęła trzecie od końca miejsce wśród krajów UE pod kątem liczby kobiet na stanowiskach kierowniczych w krajowych federacjach sportowych wśród dziesięciu najpopularniejszych sportów olimpijskich – było ich 9,5 proc. Od początku zeszłego roku działa nowelizacja ustawy o sporcie, która miała spowodować, że w zarządach polskich związków sportowych będzie co najmniej 30 proc. kobiet. Teraz to ok. 27 proc.

To nadal poniżej średniej unijnej, choć liczby idą w górę. Ale parytety w związkach to nie wszystko, bo żeby ktoś przy tym stole siedział, to najpierw trzeba wykonać ogrom pracy u podstaw. Tam trzeba zacząć wyrównywanie szans – to zresztą widać w liczbach, bo na niższych szczeblach kobiet jest procentowo jeszcze mniej niż w zarządach – wśród trenerów, instruktorów, sędziów czy zawodników.

Zawód trenera jest jednoznacznie kojarzony z mężczyzną – i z tym stereotypem nie da się walczyć inaczej niż wzmacnianiem dziewczynek w sporcie. W Girls Academy uruchomiliśmy program „Growth Up", w ramach którego wdrażamy w funkcję trenerek dziewczyny wchodzące w dorosłość, które mają do tego predyspozycje i chęci.

Umożliwiamy im kursy trenerskie, zapewniamy praktykę u boku bardziej doświadczonych trenerów i trenerek – w skali naszego niewielkiego w sumie miasta, Bystrej koło Bielska-Białej, mamy już dziewięć młodych kobiet, które najpierw z nami trenowały piłkę ręczną, a w ostatnich latach zdobyły kompetencje instruktorskie i trenerskie. Może to będzie dla nich wyłącznie sposób na dorobienie sobie w trakcie studiów, a może początek pięknej, życiowej przygody. Ja wierzę, że to drugie jest możliwe.

© Rozmawiała LENA GONTAREK

zlot POWSZECHNY

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie

Piątek, 29 maja 2026

Ogólnopolskie **spotkanie czytelników, autorów i przyjaciół** „Tygodnika Powszechnego"

Dziękujemy za tak ogromne zainteresowanie!

Z radością i wzruszeniem informujemy, że wszystkie miejsca na Zlot Powszechny zostały już zajęte.

P R O G R A M

12:00 **Powitanie** Jacek Stawiski i Ewelina Burda.

12:10 – 13:00 **Trzej naczelni „Tygodnika Powszechnego" ks. Adam Boniecki, Piotr Mucharski i Jacek Stawiski** w rozmowie z **Ewelina Burdą**. O świecie, który przyspiesza – i o tym, jak w nim nie stracić orientacji.

13:05 – 13:50 **Los a psychoterapia. Bogdan de Barbaro** w rozmowie z **Katarzyną Kubisiowską**: Na ile człowiek kształtuje swoje życie?

13:55 – 14:40 **Felieton i rytm codzienności. Eliza Kącka** i **Monika Ochędowska** o pisaniu i nasłuchiwaniu rzeczywistości.

14:45 – 15:30 **„Gdyby to był normalny kraj". Marcin Napiórkowski** i **Marek Rabij** o sile mitów rządzących naszym społeczeństwem.

15:50 – 16:35 **Jak film pomaga nam zrozumieć świat.** Próba odczytania współczesności przez kino – spotkanie z **Anitą Piotrowską**.

16:40 – 17:25 **Chaos, chrześcijaństwo, dysonans. Tomasz Stawiszyński** i **Michał Okoński**: Jak filozofia pomaga felietonom.

18:00 – 19:00 FINAŁ: **koncert Grzegorza Turnaua.**

PARTNERZY WYDARZENIA

Albatros travel · WODOCIĄGI Miasta Krakowa 125 lat! Jesteśmy z Wami. Każdego dnia. · HERBEWO CITY S.A. · FINE WINE

FOT.: GRAŻYNA MAKARA, KAROL PACIOREK, KATARZYNA WŁOCH, MACIEJ ZIENKIEWICZ // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TOMASZ

Stawiszyński:
Zraniony uzdrowiciel

Fenomen popularności seriali medycznych nie jest oczywiście nowy, ale „The Pitt" – o którym niedawno pisała na łamach „Tygodnika" Cveta Dimitrova (**tyg-pow.pl/pitt**) – winduje ten format na poziomy dotąd nieosiągalne. Nie tylko z powodu świetnych kreacji aktorskich – na czele, ma się rozumieć, z Noah Wylem, odtwórcą głównej roli i współproducentem, a przy tym weteranem gatunku, znanym z klasycznego już „Ostrego dyżuru" – lecz także wyjątkowego realizmu. Zarówno medycznego – widz miewa często wrażenie, że ogląda relację na żywo z jakichś skomplikowanych operacji, a ludzie są naprawdę krojeni, zszywani czy poddawani resuscytacji – jak i społeczno-psychologicznego. Istotnie, akcja każdego sezonu pędzi na złamanie karku, bo rozgrywa się w ciągu jednego dnia, a kondensacja zdarzeń jest, delikatnie mówiąc, ekstremalna. Tym niemniej twórcom udało się sportretować zarówno przekrój (*nomen omen*!) problemów i trosk amerykańskiego społeczeństwa, jak i specyfikę tamtejszego systemu ochrony zdrowia.

Zdaje mi się jednak, że oprócz powyższych walorów – na czele z zasadniczym: to się po prostu ogląda z zapartym tchem – pracuje tu jeszcze inny wymiar, który intensywnie działa na zbiorową wyobraźnię, a może nawet zbiorową nieświadomość. I to właśnie on w znacznej mierze decyduje o gigantycznym sukcesie serialu.

Zacznijmy od tego, że ów oddział ratunkowy w Pittsburghu – podobnie jak każdy inny oddział ratunkowy na dowolnej szerokości geograficznej – to miejsce, w którym rzeczywistość spotyka się z mitem. Miejsce, w którym oswojona codzienność społecznych ról, tożsamości, aspiracji, celów i pragnień zderza się ze śmiercią, a więc czymś, co w sposób radykalny stawia przed oczami skończoność i ulotność. I co uświadamia – nieważne, czy chodzi o wypadek komunikacyjny, zawał, udar – że życie, choćbyśmy w danej chwili doświadczali go w sposób bezpieczny, radosny i pełny, jest tylko wyjątkowo kruchym stanem równowagi, który zachwiać się może w każdej chwili. I jeśli człowiek w porę nie zadziała – w miarę możliwości, rzecz jasna, niekiedy bowiem nic się już nie da zrobić – rozchwieje się bezpowrotnie, aż do ostatecznego znieruchomienia.

Granica, która oddziela ten świat od wielkiej niewiadomej, siły witalne od nieustannie zagrażającego im rozpadu, jest więc cienka i wciąż narażona na mniej lub bardziej spodziewane naruszenia. Pilnują tej granicy lekarze, emisariusze życia, jego oddani strażnicy, poświęcający się mu bez reszty, często własnym kosztem. Czym dysponują? Tylko światłem wiedzy i hierarchią wartości. Owszem, także biegłością manualną, umiejętnością operowania skalpelem, wytrzymałością fizyczną. Ale w pierwszej kolejności – własnym morale i zdobyczami ludzkiego rozumu, jedynej instancji zdolnej przeciwstawić się chaosowi i entropii, a w każdym razie doraźnie ograniczyć ich ekspansję, odroczyć nieodwołalne zwycięstwo.

O tym, że we współczesnym świecie wiara w naukę i medycynę przybiera niekiedy religijną postać, napisano już mnóstwo. Tam, gdzie w nieśmiertelność duszy już się nie wierzy, gdzie brak opowieści, która życiu i śmierci nadaje jakiś głębszy sens, człowiek zostaje sam na sam ze ślepymi siłami przyrody. Cywilizacja, jej zdobycze, przysłowiowe szkiełko i oko – to wszystko, czym w tej nierównej konfrontacji może się posłużyć. Jeśli brak mu już „wielkiej narracji", zaczyna mitologizować to, co jest pod ręką. Nigdzie indziej nie widać tego wyraźniej niż w medycynie – właśnie dlatego, że pracuje ona w obszarze fundamentalnym, zawzięcie broni życia przed tym, co nieodwracalne i ostateczne. I – bez mitu – kompletnie niepojęte.

Twórcy „The Pitt" zdają się tego świadomi. Być może są świadomi również tego, że podobnie jak medycyna jawi się dziś jako jedyne remedium na przemijanie i chaos, tak i szpitalny oddział ratunkowy jawi się jako jedyne miejsce, w którym unieważniają się antagonizmy i podziały. Jedyne miejsce, w którym wciąż możliwy jest więc jakiś uniwersalizm, poczucie bazowego podobieństwa, niezależne od tożsamościowych czy politycznych totemów. Lęk przed końcem tego, co znane, cierpienie, ból, absolutna bezradność, kiedy ciało wymyka się spod kontroli, krew, płyny ustrojowe, rozpacz – to łączy niezależnie od poglądów i światopoglądów. Na tym poziomie jesteśmy bez wyjątku członkami realnej, nie zaś wyobrażonej wspólnoty, jesteśmy zjednoczeni w lęku, cierpieniu i bezradności.

Ale tajemnica sukcesu „The Pitt" polega przecież również i na tym, że – jak na amerykański serial przystało – z potyczek, bojów i wojen ze śmiercią nasi bohaterowie wychodzą zazwyczaj zwycięsko. Owszem, poobijani, owszem, ujawniający różne słabości i deficyty – ale przez to, paradoksalnie, jeszcze bardziej heroiczni, jeszcze bardziej mityczni. Niczym archetypowy doktor, centaur Chiron, zraniony uzdrowiciel, mistrz lekarskiej sztuki, który sam nie jest w stanie wyleczyć własnej rany, ale doświadczenie zranienia wzbogaca jego wiedzę i przybliża do losu śmiertelników (aż do końca).

Cóż, nawet jeśli dobre zakończenia możliwe są już tylko w serialach – choć chrześcijańska opowieść obiecuje, że nie tylko – jest to jakoś pokrzepiające. Tak powinna działać kojąca odmiana rozrywki w najlepszym wydaniu. A poza tym odsłania się tu jeszcze jeden (pozorny) paradoks. Otóż metafizyka uruchamia się właśnie tam, gdzie mamy do czynienia z bazową materią życia – ciałem i jego jak najbardziej ziemskimi wydzielinami. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

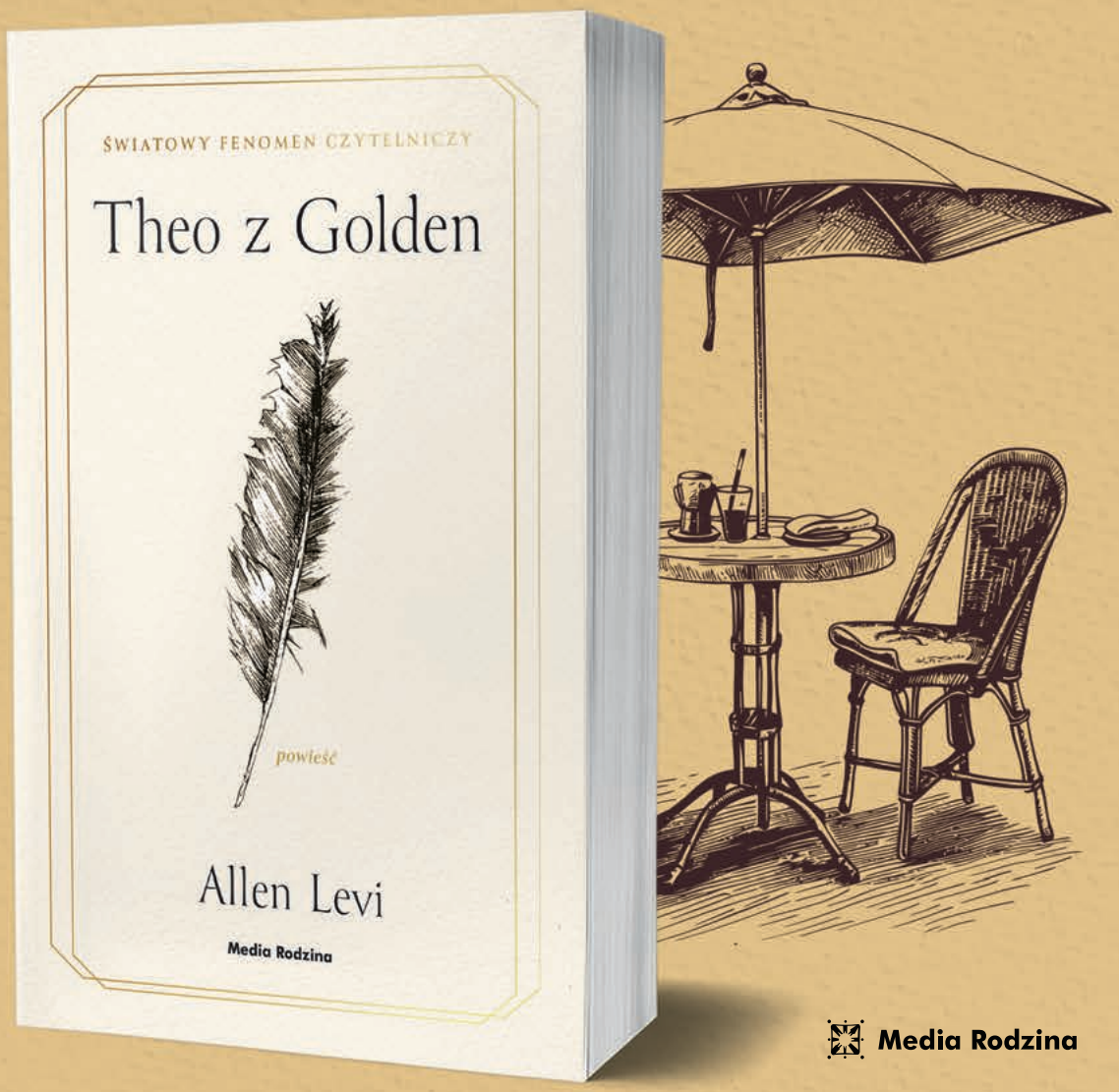

Powieść o potędze życzliwości oraz umiłowaniu życia. Panaceum na cynizm i balsam dla duszy.

Kiedy w miasteczku Golden pojawia się nieznajomy o imieniu Theo, nikt nie wie, skąd przybył ani dlaczego. W miejscowej kawiarni zwraca uwagę na portrety mieszkańców Golden autorstwa lokalnego artysty. Theo postanawia je kupić i oddać „prawowitym właścicielom", a przy okazji… odmienić ich życie.

REKLAMA

REKLAMA

SUBARU **CROSSTREK**

GOOD VIBES ONLY

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

LAT GWARANCJI
SUBARU SAFE8

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
ERSTE Leasing
ENEOS MOTOR OIL
ERGO HESTIA
YOKOHAMA